

Zygmunt Niedźwiecki

SPOSÓB NA DYABŁA

SPOSÓB NA DYABŁA.

Chwilę już trwała ta gonitwa rozindycznej wdowy z kijem w ręku za córką po podwórku, zalanem spieką lipca. Wśród klątw matki, symulowanych ataków i wpędzania na przeszkody, uciekała Zosia z całych sił przed widmem matczynego kija, przeskakując jak koza podwórzowe graty. W tym samym czasie drób domowy z wrzaskiem i rozpostartymi skrzydłami biegał na wsze strony w popłochu i wzlatywał wśród tumanów kurzu na wyniosłe przedmioty, a burek, piesstróż, któremu łańcuch nie pozwalał brać upragnionego udziału w tej hecy, targając z niecierpliwości pęta, szczekał zajadle na fruujące dokoła spódnice obu kobiet, dla tem większego efektu podwórzowej wojny, co powtarzała się tu parę razy na tydzień ku uciechu całego sąsiedztwa. Nagle starej udało się dosięgnąć Zośkę końcem kija w plecy. Podniecona bólem, nie mając gdzie uciec, puściła się dziewczyna prosto ku wysokiej, trochę koszlawej gruszy, rosnącej w środku podwórza, i wdarła się po pochyłym pniu szybko jak wiewiórka pomiędzy konary. Matka, znalazłszy się u stóp drzewa, ujrzała już tylko gole pięty zbiega, znikające w górze pośród gałęzi, a wymierzony laską raz uderzył z tępym łoskotem w korę gruszy. Przez chwilę stała pod drzewem bezradnie, jak pies, ścigający kota, — zasypując Zośkę groźbami i wymachując wściekle kijem. Nakoniec zrozumiała bezcelowość szturmu i postanowiła wziąć ją obłężeniem. W tym celu przywlokła sobie pod drzewo zydel z pod proga domu. Ustawiwszy go w cieniu, rzuconym przez gruszę, usiadła, pociągnęła nieznacznie z małej półkwaterkowej fla

szeczki, ukrytej zawsze w kieszeni spódnicy, i z kijem u boku, łypiąc niekiedy oczyma między liście, poczęła flegmatycznie robić pończochę. Burek tymczasem, zasmucony tak rychłym końcem zabawy, popatrzył chwilę wyczekująco na czerwoną twarz swej pani, potem spuścił głowę posepnie, wlaź w budkę wśród brzuku łańcucha i zdrzemnął się, mrużąc pod nosem. Drób również pozeskakiwał z płotów, z parkanu, wyłaził z pod łopuchów i począł na nowo skrzętne szukanie żeru wśród trawy, kurzu i śmieci. Brojące w słońcu wróble napępiały dalej radosną wrzawą swego hulaszczego świergotu podwórza, dokoła którego pachły w upale liście i kwiaty, otoczone rojami brzęczących much. Upalne słońce posuwało się nieznacznie na niebie, przenosząc jednocześnie cień gruszy. Ile razy zaś gorący jego promień wspiał się po kaftaniku starej i spiekł ją w szyję, posuwała się natychmiast z zydem o pół kroku dalej w uciekający cień, nie zapominając zabrać z sobą kija i pociągnąć z flaszczyki.

W zagrodzie wdowiej wiodło się żywot sielankowy, Nieboszyk mąż jej Śp. Wawrzyniec Koreczek, handlujący końmi w tym jedynym celu, aby mieć za co pić na umór, zapił się był na śmierć, ona zaś, wierna wspomnieniu zmarłego, odchowywała sobie rok rocznie po kilka świń, także nie na co innego, jak na pokrycie kosztów opilstwa. Zresztą wszystko w tym domu było dziełem przypadku lub konieczności. Jedyne dziecko z sześciorga, zabranych przez choroby, pieściło się w porywach dobrego humoru, a poniewierało w gniewie. Wstawało się na pianie koguta, a szło spać o zmroku. Głód zmuszał do niedbałych czynności gospodarskich, a wstyd przed sąsiadami do posługiwania się od czasu do czasu miotłą i mydłem. Resztę robiło słońce. Ono mnożyło drób na podwórku, króliki w stajni, ono pokrywało łąkę trawą, a ogród warzywami i owocem, które potem zabierał za bezcen pierwszy lepszy handlarz, dostarczający na lichwą pieniędzy dla egzekutora podatkowego i drobnych wierzycieli

w miasteczku. Jeżeli zaś czasem los nie dopisał lub ludzie dali się we znaki, klęło się ludziom i losowi zjadliwie i posyłało nabożne westchnienia tam, w górę, ku niebu, gdzie kara niechybna czeka każdy występki, a sowita nagroda cnotę.

... Kiedy po upływie pewnego czasu nieruchomość, upał i monotonne śpiewanie ciszy letniego południa poczęło starą snem morzyć, odezwał się nagle z wysokości gruszy głos płaczliwy i pełen skruchy:

— Mamo!... Daruj mi mama... Ja już nie będę...

Zosi było niewygodnie siedzieć na twardej gałęzi.

— Zleż z drzewa! — zabrzmiał krótko głos matki, która otrząsała się z drzemki i wyprostowała, wprawiając automatycznie w ruch druty pończochy.

— A daruje mi mama?!...

— Zleż z drzewa! — powtórzyła stara twardo. Oschły ton głosu przypominał, do kogo należy dyktowanie warunków.

Dziewczyna zaskomliła żałośnie, poprawiła się na gałęzi i znów nastała cisza, utkana z brzęku much, gdakania i pisku drobiu i ech miasteczka, splecionych w ciche, usypiające nucenia.

Naraz przebudził starą krzepki okrzyk:

— Pani Koreczkova?!... A co pani tak pod tą gruszką wysiaduje jak na warcie?!...

Była to właścicielka domku obok, przyjaciółka Koreczkowej, wdowa po Janie Śledziu, powroźniku, co się przed laty obwiesił na własnoręcznie ukręconym sznurze, przekładając tragiczny zgon samobójcy nad dłuższe pożycie z kobietą niezdolną pogodzić się z tym faktem smutnym lecz codziennym, że po latach gorącej miłości prędzej czy później w każdym małżeństwie nadejść muszą lata wzajemnego chłodu.

Koreczkova przetarła oczy i wskazując głową na drzewo, wyrzekła dla objaśnienia:

— Nie widzi to tam pani tej szelmy?

— Kogo?

— Zośki.

— Gdzie?

— Na gruszcze.

— I onej pani tak pilnuje pod drzewem?! Ha! ha! ha!...

Odjąwszy od kołków gołe po łokieć, zbiele od prania, silne ręce, którymi wspierała się na płocie granicznym, wzięła się niemi pod boki i wybuchnęła na całe gardło tak potężnym śmiechem, aż burek wypadł z budy i począł gwałtownie szczekać.

Nieprędko ukończyły się rozochoczone fale bujnego biustu, porzuconego przez nieboszczyka Śledzia tak przedwcześnie.

Nakoniec sąsiadka Koreczkowej opanowała śmiech i wydusiła przez łyż z trudem:

— Ady Zośki tam dawno nie ma!... Wieszałam bieliznę na stryżku temu że dwa pacierze, jak zeskakiwała z gałęzi.

Jeszcze mi na myśl przyszło: W imię ojca i syna!... a ta dziewczucha za czem po drzewach łązi ?!.

— Uciekła przed kijem na gruszę. Chciałam jej kości połamać.

— O Pawła?...

— Juści o tego hycła Pawła.

— Wciągle za nim goni?!... Gałgan dziewczka.

— Już mi też i ręce naprawdę ustają... Pierę i pierę, a ta nic. Co powinna być lepsza, to jest gorsza.

— Bo tu kij nie poradzi, moja pani!... Tu z dyabłem sprawa... Paweł ją musiał urzec. Na takie rzeczy jest inkszy sposób i żebyś pani tylko chciała...

— A która by też matka nie chciała, moja pani!...

Zamieniły kilka głębokich uwag o świętości uczuć i praw rodzicielskich, oraz o wieczystej niewdzięczności dzieci, Koreczkowa z praktyki, sąsiadka, jako bezdzietna, z teorii, — poczem wdowa po Śledziu przyzwała tamtę kiwnięciem palca do siebie, pod płot, w obrastające go pokrzywy, z których w tej samej chwili czarnożółtobiały kot pstrokaty, podobny do pęku różnokolorowych szmat, dał susa. Cicho i uroczyście, jak się wygłasza niebezpieczne formułki czarnej magii, poczęła stroskanej matce wy

kładąc sposób ratowania od zguby zbłąkanego dziecka.

—... Rozbierz ją pani do gołego ciała, żeby na niej nie było ani niteczki... Potem trzeba ją zapędzić z wieczora, nim spać pójdzie, święconą różgą" do chlewa i zaniknąć na całą noc ze świniami. Jeżeli do rana nie wywietrzeją dziewczusze z głowy na zawsze wszystkie głupstwa, to ja nie jestem warta tyle, co o! to czarne za paznokciem.

Koreczkowa pograżyła się w zadumie. Miny i giesta mówiącej podziały na jej imaginację. Sposób sam w sobie podobał się jej także. Miał woń czarów, a czary przecież skutkują na wszystko. Czyż nie dlatego właśnie są czarami?.. Tymczasem wdowa po Śledziu, nie poprzestając na wzbudzonej wierze, objaśniała rzecz rozumowo.

Do grzechu, jak wiadomo, kusi dyabeł. Zamieszkuje on w tym celu dusze zepsute, gdyż jemu tylko tam dobrze, gdzie paskudnie. Lecz paskudniejszym od najgrzeszniejszej duszy ludzkiej jest ciało świni. Więc

tedy dyabeł, mając do wyboru pomiędzy zbłąkanym człowiekiem a jeszcze gorszą od tegoż świnia — przenosi zawsze tę ostatnią. Są to rzeczy znane od dawna i wielokrotnie stwierdzone. Należy więc tylko podsunąć złemu ulubione mieszkanie. Grzesznicę zaś rozebrać trzeba do naga dlatego, gdyż szaty przeszkadzają wyjść dyabłu, który jako zły, jest tem samem uparty i leniwy. Po takiej transfuzji sił nieczystych bies pozostanie nazajutrz w chlewie, Zośka zaś opuści go wyleczona gruntownie z wszelkich zachceń, jakie jej matka i teje przyjaciółki przechodzić miały przyjemność lat temu dwadzieścia.

I teoria trafiła do przekonania Koreczkowej. Było to proste, łatwe i zupełnie prawdopodobne. Niepokoił ją jednak nieco los nowego medyum dyabła.

— A nie zdechnie świnia od tego broń Boże?... — spytała niespokojnie.

— Coby miała zdychać!... Czy Zośce się to co stało?!

Prawda, że nie. Zdrowiem cieszyła się wyśmienitem, choć miała dyabła w sobie. Dlaczegożby świnia niżej stać miała od Zośki pod tym względem?..

— Zresztą — co pani szkodzi spróbować, moja pani złociutka?!... Za to ręczę, że świni nic nie będzie. Przecieżbym pani nie narażała na szkodę.

Zapewnienie to zdecydowało Koreczkową. Znała ona sąsiadkę nie od wczoraj i na jej inteligencji i przychylności polegała zupełnie. Ponieważ Zośka nie pokazywała się z powrotem, — stara, po obiedzie, samotnie spożytym, skupiwszy się w sobie, przetrawiała i przygotowywała rzecz całe popołudnie.

Skoro przyszedł wieczór, z dojrzałym planem działania w głowie, posprzątała kuchenkę, zamknęła na kłódkę wrota w parkanie, spuściła psa z uwięzi, a drzwi domostwa pozostawiwszy niezaparte, przeniosła około godziny dziewiętej ostentacyjnie płonąca lampę z kuchni do sypialni i tutaj zgasiła ją na znak, że

udaje się na spoczynek. ' Zaledwie jednak dom zaległa ciemność, powróciła na palcach boso do sionki i z święconą różgą w dłoni usiadłszy na beczce z kapustą — czekała.

Po upływie kwadransa odezwało się na podwórku radosne szczenięcie burka, który natychmiast umilkł, i w drzwiach do sieni, ostrożną ręką rozwartych, na tle małego prostokąta bladogranatowych niebios, migocących złocistymi punkcikami gwiazd, ukazała się Zośka, na palcach stąpając.

Stara, zaczajona w kącie, nic ruszyła się. Aby sobie oszczędzić pracy, pozwoliła córce wejść do kuchni, rozebrać się, wieść do łóżka, które tam stało. Dopiero, gdy łóżko skrzypnęło, zasunąwszy rygiel w drzwiach od sieni wpadła do kuchni, zapaliła lampę i zwróciła się do przeleklej dziewczyny, która wytrzeszczyła na matkę powiększone strachem źrenice.

— Chodź tu! — zawołała rozkazująco.

— Gdzie?

— Tu! do umie!... Nie bierz spódnicy... no ruszaj się!

Zośka wyskoczyła bosemi stopami na deski podłogi i szła ku starej, wlepiając w nią badawcze spojrzenie i podnosząc na ramie, opadły rękawek koszuli.

— Zdejm koszulę. Dziewczyna stanęła jak wryta.

— Na co ?... — szepnęła płacząco, drżąc z przerażenia.

— Zdejmuj zaraz! — wrzasnęła stara i podniosła w górę różgę.

Zośka poczęła błagalnie skomlić, wijąc się naprzód na myśl o czekających ją plagach. Lecz widok wzniesionej różgi pozbawił ją sił do oporu.

Zdjęła więc koszulę na pół nieprzytomnie, a białe, krągłe ciało zabłysło w świetle lampy.

Wtedy matka postąpiła ku niej i chwytając ją z nienacka za nasadę warkocza, prowadziła ku drzwiom jak konia za grzywę, wołając:

— Ruszaj do chlewa.... Będziesz spać ze świniami... ty świnię przebrzydła!

Dziewczyna postawiła się w pierwszej chwili, wrzeszcząc: — "Co się mamy znowu chwytą?!"... Lecz różga jak pęk cienkich nożyków poczęła ją kąsać raz za razem po ramieniu, boku i biodrze. Syknąwszy z bólu zwinęła się pod tym piekącym deszczem struchlała, oniemiała, i pozwoliła się pchać matce za włosy z uległością, pewna, że stara zwaryowała.

Na dworze panowało łagodne ciepło letniej nocy i nagość niczem nie dała się jej uczuć, tylko oczy jej uderzył odrysowany na ziemi księżycowym światłem profil jej piersi i ręka matki, wlokąca ją jak bydlę.

Naraz znalazła się przed niskimi drzwiczkami chlewa, poczuła smród gnoju i usłyszała twarde chrząkanie świń i chrzęst słomy pod ich ciężkimi, opasłymi cielskimi.

Przeżona myślą spędzenia tu nocy, złożyła ręce i uklękąwszy, poczęła błagać z łkaniem:

— Marno!... zlituj się mama!...

Ale matka, wyrwawszy tymczasem kołek, otwarła drzwiczki i wepchnęła ją przemocą, poczem drzwi

się zatrzasły a Zośka znalazła się w ciasnocie i zaduchu chlewa. Zanim zdołała odezwać się, trzask drzwi od domu odebrał jej wszelką nadzieję. Matka nie mogła już nawet słyszeć jej wołania.

Dziewczynę ogarnęła rozpacz, zmieszana z trwogą, i wstrętem. Przepędzenie nocy w gnoju, wśród tych obrzydłych, pokwikujących i sapiących zwierząt, wydało się jej czemś bez granic straszniejszym i obrzydliwym. Sądziła, że w żaden sposób nie zdoła tutaj żywa do rana wytrzymać, że się udusi. Potem jednak przyszło jej na myśl coś straszniejszego, coś daleko straszniejszego: że ją świnię zjedzą.

W nagłym porywie buntu poczęła wrzeszczeć na cały głos i bić pięściami w drzwiczki. Wnet jednak zrozumiała swą bezsilność. Zwyciężona wcisnęła się w kącik, i łamiąc ręce, poczęła szlochać żałośnie, pewna, że ostatnia jej godzina nadejdzie lada chwilę.

Naraz załaskotało ją coś w łydkę poniżej kolana, coś ciepłego i wilgo

tnego. Był to ryj świni, znęconej wonią jej ciała. Wzdrygnąwszy się, odskoczyła w bok i nadeptała na drugą świnię, rozwaloną na barłogu, która, przebudzona, gniewnym kwikiem zaprotestowała przeciwko zakłócaniu swego spoczynku. Wówczas macając w ciemnościach rękoma na chybił trafił, napotkała w kącie utkwioną pomiędzy belkowaniem obu ścianek żerdkę, na której kury siadały, gdy chlewik stał próżno. Wskoczyła na nią i usiadła, Uspokojona cokolwiek, czując się tu bezpieczniejszą, poczęła myśleć.

Z pierwszego, nierozumującego przerażenia, jakim ją przejął postępek matki, wydobywało się coraz jaśniej poczucie doznanej krzywdy. Coraz silniej ją zniewaga, której nie była zdolną całkowicie pojąć, lecz której okrucieństwo i ohydę odczuwała tem żywiej. Cóż uczyniła tak złego?... Że się schodziła z Pawłem, z tyra dobrym i slicznym chłopcem, który całował ją i pieścił, nazywając najczulej, podczas kiedy matka w domu poszturkiwała ją tyl

ko, przeklinała od rana do nocy i lżyła?.. To przecież nie jest nic złego. Wszystkie dziewczęta mają narzeczonych i kochanków. Mają ich nawet mężatki. Te ostatnie źle robią, powinny pilnować mężów. Ale dziewczyna? Czyż ma uciekać od tego, który do niej wyciąga ręce z słonecznym uśmiechem miłości i do którego rwie się jej serce?... Wspomniała teraz całą rozkosz, całą bezgraniczną słodycz schadzek z Pawłem w gąszczach krzewów nad rzeką, wśród bujnych traw, ubarwionych polnemi kwiatami, gdzie pachły zioła, kołysały się złociste badyle, woda szeleściła połyskując jak srebro, ptak skrzydłem łopotał, gdzie tylko motyl ukazywał się czasem nad ich głowami, zjadającymi sobie wzajem rozkochane usta, albo brodaty łebek kozy, żującej w wąskim pyszczku młode liście, zajrzał ciekawemi oczyma, co robią, od strony ścieżki i cofał się dyskretnie. Dlaczego uciekała tam z domu tak chętnie?... Bo jej w nim było źle, a tam było tak dobrze!... Pragnęła teraz uciec gdzieś na

zawsze. Żałowała, że nie uczyniła tego dawno. Znienawidziła matkę za jej srogość, za jej zupełny, niepojęty brak serca, za to nieustanne piekło, klótni i bójek, jakim było od dawna jej pożycie z matką. Wtem usłyszała dziwny głos — pisk, robiący wrażenie muzyki. Była to w rzeczy samej muzyka. Sąsiad' z drugiej strony domu, organista Kukułka, wygrywał księżycowi wieczorną serenadę na klarnecie. Stary hulaka co wieczór, skoro zwierzęta i ludzie pośpili się, obrażał uroczystość nocy bulgotem swego instrumentu, na którym z niesłabnącym zamiłowaniem kaleczył zawsze tę samą po tysiąc razy melodyję jakiejś sentymentalnej piosnki, na której odgłos, jak na dany sygnał, zlażyły się do jego domu błędzące za zarobkiem hultajki. Zosia teraz dopiero przypomniała sobie, że chlewik ma okienko, otwór wielkości dłoni w ścianie visavis Kukułki. Zbliżyła twarz do otworu i wyjrzała. Rozwarłe okno organisty oblane było pełnym światłem księ

życa, na oknie siedział w spodniach i w kamizelce, z nogami wywieszonemi na zewnątrz, Kukułka i nadymając potwornie policzki, dręczył i ranił bez litości czarodziejską ciszę, zalegającą powietrze, fałszywie wyciąganemi wysokimi nutami refrenu.

Kukułka umizgał się do niej od dawna, jak zresztą do każdej kobiety. Mrugał na nią i zaczął ją wypróbować dwuznacznikami, strojąc przy tem miny zakochanego satyra. Wiedział wprawdzie, że Zośka jest kąskiem nie na jego

stare zęby, ale rachował na sposobność! Dlatego też protegował potroszę jej miłośćkę z Pawłem, wiedząc z doświadczenia, że pierwszy kochanek toruje drogę następnym.

A gdyby go zawołać — pomyślała — wypuściłby ją!

Lecz była naga.

Brrr... zaczynała to czuć coraz żywiej. Robiło się chłodno. Lekkie i zimne skrzydło dreszczu musnęło parę razy jej ciało niemile.

Mimo obawy i wstydu, które ją wstrzymywały — lękając się, aby

Kukułka nie przestał wreszcie grać i nie zniknął — zawołała nań po nazwisku.

Wyjął koniec klarnetu z. pod wąsów i obejrzał się zdziwiony. Powtórzyła wołanie.

— Kto tam? — odezwał się, nie mogąc się zorientować, skąd i czyj głos go dochodzi.

— To ja, Zośka...

Poruszył się i zsunął w trawę z okna.

— Panna Zosia?... a gdzie paniusia jest?

— Tutaj... w chlewku...

— W chlewku?... o tym czasie? A co tam panna Zosia robi?

— Marna mię tu zanikła.

— Mama?!... Wiecie ludzie!... A to na co ?...

— Za karę.

— Pewnie za Pawła?

— A za Pawła.

— Wiecie ludzie!...

— Wypuści mnie pan stąd ?... Mój panie Kukułka!..

Plot zatrzęszczał, dał się słyszeć chrobot spiesznie wyjmowanego kołka

i drzwi się uchyliły, rozwarte ręką, kochliwego organisty.

— Czemuż panna Zosia nie wychodzi ? — szepnął po chwilce czekania.

— Nie mogę przy panie.. Niech pan odejdzie....

— Dlaczego?

— Nie jestem ubrana.

— Phi! Wielkie rzeczy — Noc! to nie będzie widać....

— Właśnie że będzie.

— Cóż panna Zosia ma na sobie?

— Nic.

— Jakto: "nic"?

— Ano nic.

— Całkiem nic?
— Całkiem.
— Nie może być!!
— Jak bożię kocham.
— Wiecie ludzie!... A to jakim sposobem?
— Mama mnie tak zagnała.
— Nie może być!
— Jak bożie kocham.
— Wiecie ludzie!!...
Umilkł na pół zdumiony, na pół uradowany przygodą dziewczyny,

a nade wszystko jej negliżem, który w wysokim stopniu pobudzał jego imaginację artysty i Donzuana.

— Kiedy tak — rzekł po chwili — to ja... to ja... odejdę... pójdę, do siebie, nie będę patrzył, jak panna Zosia do domu wróci...

Równocześnie szukał naokół oczyma ukrycia, z którego by ją mógł ile możności jak najdokładniej widzieć, niezmiernie ucieszony czekająca, go ucztą.

Lecz Zosia odrzekła:

— Ja tak nie chcę.
— A jak paniusia chce?
— Ja nie mogę, nie pójdę do naszego domu...
— Tylko gdzie?
— Gdziebądź, aby nie tam.
— Nie mająca na sobie niteczki?!... A dokądże panna Zosia po nocy pójdzie w takim ubraniu?....
Miała na ustach propozycję, wahała się jednak wyrzec ją" niepewna, co usłyszy.
Po chwili dopiero zdołała wybełkotać:

— Musi mnie pan Kukułka wziąć do siebie.
— Do siebie?!... — wyrzekł osłupiały wobec żądania, przechodzącego najśmielsze jego sny.
— Nie żartuje panna Zosia?
— Cobym miała żartować.
— Wiecie ludzie...
— Przysięgam sobie, że więcej do domu nie wrócę. Ciągłe kije i wyzwiska.... Już mam tego za dużo. Nigdzie mi gorzej nie będzie... Ucieknę. Jak mnie pan Kukułka do siebie nie weźmie, to polecę, jak jestem, do rzeki i utopię się.
— Ależ wezmę! wezmę!... Jeszczebym też nie miał wziąć, ja, co pannę Zosię tak lubię....
— Idźże pan, tylko prędko, i przynieś mi swój płaszcz, ten długi....

— Zaraz przyniosę — zapewniał ochotczo, w drgawkach lekkiej, rozkosznej febry, jaką stwarza wielka, bojąca się zawodu, radość.

— Ale panna Zosia zostanie u mnie do jutra? bo gdyby tak ludzie ujrzeli...

— Rozumie się, że zostanę.... Musi mi pan przecie dać jakie ubranie ?....

— Dam.... dam... postaram się....

— I najmie mi pan okazyę, żebym mogła dojechać do kolei ?...

— Dobrze, najmę....

— I na kolej mi pan pożyczysz?...

— Pożyczę, czemu nie.

— No to pan idź już, bo mi zimno.

— Lecę...

— Cicho! żeby burek nie zaszczał.

Burek był daleko w polach, od czego dziury w płocie.

Kukułka porwał się ku domowi co prędzej — ale wrócił. — Przezorność nakazywała zamknąć Zosię napowrót. A nużby się rozmyśliła i zamiast czekać wyslizgnęła się do siebie?... Takiej rybki nie należy wypuszczać z sieci! ...

Lecz zapodział mu się gdzieś kołek. W braku jego, porwany sprawą, przetknął skubel u dzwiczek śpiczastym munsztukiem klarnetu i znikł.

W pół minuty przelazł płot powtórnie, z płaszczem na ręce, otworzył chlewek, podał płaszcz do wnętrza, skąd prawie zaraz wysunęła się otulona weń szczerze postać. Podpierając ją troskliwie, pomógł jej przebyć płot, nad którym błysnęła biała toczona łydka dziewczyny i znikli w cieniach domu, ścigani melancholijnym uśmiechem tłustej rozlanej twarzy księżycy.

W drzwiach chlewka, zostawionych otworem w pośpiechu, ukazał się różowy ryj i zarechotał, węsząc. Po chwili wysunął się łeb o małych ślepkach i uszach obwisłych, dalej brzuch pękaty jak fasa, zanim drugi i obie świnię wytoczyły się zwolna na podwórko, przebyły je wolnym krokiem i utonęły w ogrodzie warzywnym. Jakże tam pachło na grządkach !....

MARYNATA.

MARYNATA.

Młodzi małżonkowie leżeli jeszcze w łóżkach, kiedy rozległo się pukanie w drzwi numeru a potem piskliwy głos hotelowej:

— Proszę państwa., jakaś przesyłka...

Mąż, z usposobienia i z tuszy zbyt leniwy, aby ni stąd ni zowąd wyłazić o tej rano z pod ciepłej kołdry, mruknął do żony:

— Odbierz, moja droga. Usłuchała natychmiast, przez

wzgląd na jego zdrowie. Zdrowie śpiewaka to jego złotodajny głos — bańka mydlana, gotowa prysnąć każdej chwili od lada niewinnej chryпки. Wyskoczywszy z swego łóżka, zarzuciła przez głowę spódnicę i bosą

podreptała do drzwi, które uchyliła i schowana za nie, wzięła z rąk pokojówki sporą, lekką skrzynkę.

— "Monsieur Rosołowski", adresowane po francuzku — rzekła.

— Z zagranicy — odparł mąż. — A marki?

— Ruskie.

— To pewno ktoś z Odessy.

W Odessie święcił tenor "tryumfy" ostatniej zimy i już był stamtąd otrzymał pocztą, po wyjeździe, kilka upominków od wielbicielek.

— Rzeczywiście z Odessy, poznaję stemple. Co to może być?..

— Mietek rozpakuje jak przyjdzie. Mietek był bratem Rosołowskiej,

ubogim i głodnym pisarczykiem magistrackim, pyszniącym się szwagrostwem znakomitego artysty i asystującym pilnie w godzinach jedzenia siostrze i jej mężowi za każdym razem, gdy po trudach całorocznej włóczęgi z sceny na scenę, z estrady na estradę, zjeżdżali spędzić ferye w rodzinnem miasteczku, zlać na nie blask swej chwały, zachwycić melomanów sztuką śpiewaka a kobiety

ekstrawaganckiemu toaletami jej, na widok których konie prowincjonalne, przywykłe do skromnych mód małomiasteczkowych, zdumione stawały dęba, a publiczność odwracała się i z otwartymi ustami patrzyła za parą znakomitych gości.

Kobieca ciekawość nie pozwoliła jej czekać na brata. Dlaczego aż Mietek ma otwierać paczkę, kiedy ona to samo potrafi. Rozcięła sznurki, podważyła wieko i wydobyla z wnętrza, pełnego zżynków papieru, fajansową, ważkę z marynata, z jakiejś ryby. Przesyłała ją z kilkoma słodkimi wyrazami hołdu jako przysmak szczególnie jedna z admiratorek boskiego tenora.

Rosołowski żył krtanią i brzuchem. Był smakoszem — żona też. Ślinka napelniła im usta na sam widok apetycznego mięsiwa, roztańczającego woń przedziwną.

— Będzie zdaje się coś doskonałego — szepnęła, powąchawszy.

Nie mogąc wytrzymać w łóżku zdala od stołu, spuścił tłuste, kosmate nogi na ziemię, wsunął je w pantofle

i obrzucając lekkim szlafrokiem swoją brzuchatą, małą, czupurny figurkę, bardzo zabawną w niezgrabnym i niesmacznym negliżu mężczyzny, pospieszył do stołu.

Przysunawszy do siebie naczynie, nachylił ku niemu nos i węszył przez chwilę z całym skupieniem, poczem wyrzekł gardlanym, wysokim, śpiewnym głosem człowieka, który dwa razy tyle śpiewa co mówi:

— Bardzo być może. Jednocześnie wykonał wargami

ruch podobny do oblizywania się, ruch zbudzonego łakomstwa i rzucił mimowoli okiem w stronę, gdzie leżały noże i widelce jeszcze od wczorajszej kolacji.

Pochwyciwszy to spojrzenie, spytała:

— Spróbujesz?

— Czy ja wiem... Niepodobna tego chować. Mogłoby się zepsuć. Wyłóż na talerz.

Uczyniła to skwapliwie, byli bowiem zaledwie po herbacie, wypitej w łózkach pół godziny temu.

Wzięła czysty talerz i przy pomocy widelca poczęła go nakładać kawałami różowego mięsiwa, ciasno upakowanego w ważce, a potem oblała je sosem, który na dnie pozostał. Towarzyszył każdemu jej ruchowi wzrokiem, wyrażającym coraz szybsze postępy apetytu. Nagle, gdy oblawszy sobie przypadkowo palec, oblizała go, zapytała, łykając ślinkę, z oczyma pożądliwie badającymi jej minę:

— I cóż'?

Potrząsnęła głową na znak wysokiej pochwały i odparła z uśmiechem, który jej z obu stron ust dołki wyżłobił w policzkach:

— Pyszności!...

Przysunął się nerwowo z krzesłem, aby się zabrać natychmiast do jedzenia. Wstrzymało go jej pytanie:

— Nie zaczekamy na Mietka ? Prawda, poczciwy Mietek, ich

nieodstępny towarzysz, ich współbiedniak pełen apetytu i wdzięczności, dostawca plotek, załatwiacz sprawunków, przyboczny admirator sukcesów tenora, kolporter jego sławy, jego dwór! — przychodził co rano

o tej porze karmić ich próżność i nudy w zamian za nakarmienie swego nienasyconego żołądka. Trzeba na niego poczekać. Takiej ryby — ryby z Rosji, ryby będącej materialnym symbolem tryumfów tenora na dalekiej obczyźnie, Mietek jak żyje nie miał w ustach. Należy go nią uraczyć. Niech chociaż raz w życiu spróbuje biedaczysko czegoś nadzwyczajnego. Uśmiechali się w swojej miłości własnej na myśl, jak mu zaimponują.

— Ale wiesz ty ? — waząc talerz w ręce i obracając go na wszystkie strony, zauważył mąż — ja w pierwszej chwili myślałem, że tego więcej będzie...

— I ja także. Wążka jest z bardzo grubego fajansu.

— Więcej fajansu niż ryby — co? — zażartował.

— Zwłaszcza na trzy osoby — odparła śmiejąc się.

— Jaki: na trzy ?

— Ja, ty, Mietek.

— A prawda, Mietek... Ale czemu go dotąd nie widać?

Z tonu znać było, że radby go dzisiaj nie widzieć wcale. Żona odgadła to.

— Nie myśl, żebym chciała koniecznie na niego czekać — rzekła. — Ja nawet nie wiem, czy mu to będzie smakowało. Kontent z tych słów, dogadzających jego łakomstwu, odparł niby obojętnie:

— Tak myślisz ? — i mierzył żarłocznymi oczyma wielkość porcji w razie podziału między dwie tylko osoby.

— Pewnie. Nie jada nigdy czegoś podobnego, nie pozna się nawet...

— To prawda. Do potraw wykwintnych trzeba mieć wyrobiony smak i przyzwyczajony żołądek. Pomyśl tylko: gdyby mu zaszkodziło?

Postanowili więc spożyć marynatę sami. Nie przez egoizm, broń Boże !... przeciwnie, z najlepszego serca. Bo po co w ubogim chłopcu budzić zazdrość, po co dawać mu kosztować rzeczy, których nigdy może więcej widzieć nawet nie będzie, po co go upokarzać swym szczęściem. To nieci

niechęć w łonie rodziny. Pomyśli z żalem: "Ci sobie dopiero żyją!... Takie przysmaki!... A ja nie mam nieraz czym chleba omaścić!..."

— Dawaj talerz, tylko się spiesz.

— Zaraz, zamknę wpierw drzwi na zakrętkę.

— I powieś co na kłamce, żeby nie było widać przez dziurkę od klucza.

Szybko, nic nie mówiąc, aby nie tracić czasu, łakomie i cicho, jak rzecz kradzioną, zmiotali rybę do dna talerzy.

Urywane wykrzykniki zadowolenia objawiały tylko czasem szczerą rozkosz napychających się żarłoków.

Skończywszy, popili winem, którego reszta była w jakiejś butelce, i poczęli unosić się nad doskonałością marynaty, porównując ją z wszystkimi przysmakami, jakie spożyli kiedykolwiek.

— Ależ paradne!...

— Pochowaj zawczasu talerze. Skoro naczynia, paczka i wypadłe z niej zżynki ukryte zostały pod łóżkiem, mąż zauważył miłą, fletową

intonacją dobroci, zrodzonej przez sytość:

— Wiesz jednak co?... Bogiem a prawdą, można było śmiało kawałek dla Mietka zostawić. Ja nawet chciałem...

— I ja chciałam, ale jak potrawa smakuje, to się nawet nie zauważy, kiedy się zjadło.

— Uf! ledwo dyszę, takim się objadł.

— A ja?! Ale bo też pędziliśmy, jakby nas kto gonił.

Rozparta na krześle, uchwyciwszy się w boki, jakby ją uciskało ubranie, oddechała ciężko, podczas kiedy mąż, wyławiając w ustach językiem ostatnie cząsteczki smakowitej potrawy w skrytkach pomiędzy zębami, rozpuszczał sobie na brzuchu zbyt ciasno związany sznur szlafroka.

* * *

Kiedy w południe ukazał się na progu chudy, łykowany dryblas z ogromnymi szczękami i krótko ostrzyżoną, jeżącą się jak szczotka do

butów czarną czupryną — przyjęli go wybuchem nadzwyczajnej czułości.

— A! Mietuś!... Jak się masz?... Gdzie ty bywasz?!... Czekamy i czekamy a tego ani widać. Siadaj no!

Był dla nich wybawcą — przed minutą bowiem przyniesiono z restauracji hotelowej do numeru obiad, na który żadne z obojga nie czuło najmniejszej ochoty.

Zasadzili go czempredzej do stołu, nie pozwalając mu się tłómaczyć z spóźnienia, napełniając mu kopsiato talerze, wtlaczając niemal wzrokiem kęsy w gardło zgłodniałego, aby mu nie dać czasu spostrzedz, jak mało sami jedzą, domyśleć się, że się czems pod jego nieobecność ukradkiem raczyli.

Dla zupełnego zażegnania podejrzeli śpiewak błagował:

— Szczególna rzecz!... Przed samym obiadem miałem wyśmienity apetyt, a teraz mi po prostu nic w usta nie idzie.

— To tak czasem bywa, prawda Mieciu? — zwróciła się do brata żona. Poruszył dwuznacznie ramionami.

U niego tak nigdy nie bywało.

— Dobrze, że choć tobie apetyt służy.

Złapany na uczynku, zaczerwienił się, połykał bowiem potrawy, nie gryząc ich prawie, tak go zapaliła ich obfitość.

Nakoniec zjadłszy wszystko, otarł usta i ujęty niebywałą gościnnością, siostry i szwagra, począł im świecić w oczy swoją uśmiechniętą, pełną bezbrzeżnej wdzięczności gębą i była między nimi chwila wielkiego ciepła, jakim promienieje tylko szczery płomień rodzinnego znicza.

Okolo trzeciej z południa wszakże tenor, którego mina w toku sennej nieco pogawędki stawała się coraz kwaśniejszą a policzki raz po raz wydymały się tłumionem odbijaniem, z niepokojem zauważył, utkwivszy w żonę wzrok znaczący:

— Nie!... przecież to nie jest bez ale, że ja nic jeść nie mogłem...

— Cóż ci jest?

— Mam jakieś dziwne uczucie — zapiszczał cienko jak dzieciąteczko, skrzywieniem twarzy bolesnem starając się oddać rodzaj tego uczucia.

— Przecieżeś nie jadł nic niezdrowego...

— Zastanawiam się właśnie nad tem...

Mówiąc to, obmacywał sobie brzuch poprzez ubranie i przeciągał się z wylęklą i skupioną miną samobadania. jak hypochondryk, którego lada drobnostka napełnia szaloną trwogą o życie.

Ponieważ talerze były już puste a w minach było coś pożegnalnego, Mietuś, zapytawszy, czyby nie "skoczyć" po co do apteki, oddalił się dyskretnie.

Rosolowski. czekający tylko na jego wyjście, zerwał się i zaklął wysokim falsetem:

— Ależ do stu tysięcy dyabłów! ja jestem chory!.., czy słyszysz?... Żona trzymała się także za brzuch teraz, po wyjściu brata, i wijąc się na krześle, stękała przez zaciśnięte zęby:

— Ach!... ja także!... ja także!...

— Co myśmy zjedli za truciznę?...

— Żadnej trucizny... — zawodziła boleśnie — ale za dużośmy

zjedli tej marynaty... Za dużo i za prędko... Ja prawie nie gryzłam...

— Ja też...

— A widzisz?... Nie ma nic zradliwszego nad rybo...

Zgodzili się, na to wkrótce i przeklinali ją.

Skutki obżarstwa objawiały się coraz jaskrawiej a pokój, obok jęków, napętniał poczęły wzajemne utyskiwania i wyrzuty, kto winien nierozważnemu wybrykowi, kto kogo powinien był ostrzedz. Minorowy duet jęków przerywały gwałtowne wybuchy gniewu tenora, który w formie tragicznych recitatywów trwonił lekkomyślnie najpiękniejsze nuty swego wysokiego rejestru, stanowiące jego chleb i wielkość.

Cała jednak wściekłość obojga zwróciła się na Mietka.

Bo to on winien był wszystkiemu! Nie mogła była bestya przyjść o zwykłej godzinie, zanim zasiedli do tej nieszczęsnej marynaty?... Byliby się z nim podzielili, byliby zjedli mniej a przedewszystkiem lepiej żuli i nie pochorowaliby się... Ale ten

pieczeniarsz zawsze im depce po piętach, tylko wtenczas go nie ma, kiedy najbardziej potrzebny. I dlatego to kryli się przed nim z tą rybą, dlatego że jest natrętnym głodomorem i wyjadaczem. Bydlę.

Dolegliwości stawały się coraz przykrzejsze. Za boleściami brzucha przyszedł ból głowy, członków, gorączka, ucisk, dusząca pełność, dławienie, niesmak, bezsilność, wstręt do życia i do całego świata, pesymistyczne poglądy na znikomość człowieka i jego zabiegów.

Kiedy Mietek o zmierzchu wsunął się do kwatery szwagrostwa, znalazł w niej szpital. Przyćmiona abażurem lampa rzucała niepewne światło na pokój, w którym na miednicy mokły kompresy a gotujące się na spirytusie ziółka szerzyły w powietrzu smutną woń choroby. Rosołowscy leżeli oboje w łózkach z obwiązanymi skroniami, twarze do ściany, zwrócenie do przybyłego drugą stroną ciała — stroną oziębłości i gorzkich wyrzutów.

POGRZEB.

POGRZEB.

Pogrzeb Teresy Pukło w Opłotkach odbył się w połowie jesieni z całym aparatem żałobnych ceremonij, za których pomocą, żywi urozmaicać sobie zwykli szarą, jednostajność codziennych rozrywek i zajęć. Deszcz wszakże i wichry odjął tradycyjną pompę wruszającemu aktowi zakopywania trupa.

Zabłocono się straszliwie, pokapano odzież stearyną, ponabawiano się katarów a mowa proboszcza zwanego w okolicy Złotoustym, stworzona przy biurku, w dzień pogodny, wygłoszona z pod parasola bez skrótów, zrobiła niebywałe fiasko. Złotousty kaznodzieja nietylko że nazwany został tym razem marnym

gdera, ale jeszcze złośliwsi z słuchaczy na cały głos szukać poczęli drażliwego związku pomiędzy kadzidlany charakterem jego nieskończonych okresów a wysokością legatu, zostawionego przez zmarłą na kościół. Nie da się zaprzeczyć — mówili, kichając, najskrajniejsi czy też najbardziej przemokli, że rubryka pogrzebów z powodu świetnego stanu zdrowotności w Opłotkach przynosi parafii niewiele — ależ skoro się proboszczowi nareszcie jeden pogrzeb trafił, nie wynika z tego bynajmniej, by tak odrazu przygotowywać sobie miał na nim następne. Gdy dusze, zatrute pesymizmem, usiłowały w ten niski sposób zachwiać kredyt kapłana (więc i kościoła w ogóle) — wśród zdrowej, umiarkowanej, pogodnie i trzeźwo rzeczy biorącej większości dawały się słyszeć żarty: — Kto się przeziębiał, brać na poty i pod pierzynę, nie obgadywać księży. Deszcz i apetyt wnet rozproszyły gromadkę.

Osierocona jedynaczka tymczasem, wsparta na ramieniu kuzyna, w łzach cała, szła do pustego domu, pojąc się pierwszą, gryzącą, goryczą świeżej żałoby, którą mrok, chlupot ulewy i wilgotne zimno powietrza, szarpanego wichrami, powiększały bez końca.

Cios ten był dotkliwszy, że niespodziany. Nie wiedziała bowiem o niczem, zerwawszy z rodziną wszelkie stosunki po tajemnem opuszczeniu domu matki wdowy, przed kilku miesiącami. Otrzymany wczoraj telegram jak grom w nią uderzył. Zaledwie znalazła czas i siły do zajęcia się czarną sukienką i kapeluszem.

Roztopiała się teraz w bolących łzach zgryzoty, która kąsała bez litości jej słabe i czułe serce.

Po za tłumem oplotczan kuzyn Kubuś, pisarz miejscowego sądu, był tyra, który stawiając mężne czoło opinii wsparł swem ramieniem wykolejoną w kalwaryjskiej drodze na cmentarz, z takim współczuciem, jak gdyby nie miał prawa żywić do niej żalu odepchniętego i zdradzonego

wielbiciela. Była mu wdzięczną bez granic. Niczego się bardziej, spiesząc na pogrzeb, nie bała, jak tej hańbiącej pustki, którą dawni znajomi piętnować zechcą upadłą. Przyjaźnie wyciągnięta dłoń tego chłopca uczyniła Rózię ślepą na jego ospą podziurawioną twarz, jego zezowate oczy i nos zadarty straszliwie. Wydawał jej się najmiłszym z ludzi, istotą drogą i blizką, w tej ciężkiej chwili bólu.

Zaraz po przybyciu do domu wyjęknęła też z pod pełnej łez chustki pokornie, żałośnie i cicho:

— Kubusiu?... — bojąc się, aby nie odszedł.

Stał przy oknie w niepewnej pozie czekania na sposobność, zapatrzony w krople brudnej wody, ciekące na ziemię posepnie, niby lzy, z jego przemokłych spodni i kapelusza.

— Co?

— Jesteś bardzo dobry. Mruknął:

— E!... — i westchnął.

— Jak Bożię kocham !

— Rózia przecie wie, jak ja jej życzę.

Więc trwał w swych uczuciach dla niej?

Nowem pytaniem zaprzątnięta ponowiła nieśmiało:

— Kubusiu ?

— Co?...

— ... Czy mama... — och jakże jej to trudno przyszło wypowiedzieć ! — Czy mama... wiedziała... ?

Nie od razu dał odpowiedź.

— Wiedziała — rzekł nisko, krótko, prawie surowo.

Wiedziała o jej grzechu!... O rozpaczy !...

Zaniósł się tak gwałtownem łkaniem, że pospieszył co żywo, aby ją uspokoić. Doznał przy tem sam dziwnej słodyczy, głaszcząc jej kaszmirowy rękawek, pod którym pełne, ciepłe ramię drgało nerwowo a kilka jej łez gorących,

stoczywszy mu się na rękę, napełniły go rozkoszą. Różia tymczasem szlochała rozpaczliwie, że nie wie, co teraz pocnie, że ją ludzie ukamienują!...

— Ciekawym za co? — zaproponował.

— Przecież Kubuś wie, za co...

— No tak, ja wiem, ale ludzie nie wiedzą.

— A skądże się mama dowiedziała, jak nie od ludzi?

— O tem wiedziała tylko jedna osoba.

— Kto?

— Ja...

— Kubuś?!

— Tak jest.

— I to Kubuś może mamie powiedział? !...

— Żeby cię wzięła i nawróciła na dobrą drogę.

— Cóż Kubuś najlepszego zrobi!... To ją zabiło!... Umarła przezemnie !...

— Ale zkał! Ciocia umarła względem żołądka, nie względem Rózi. Ja przecież wiem najlepiej.

W samej rzeczy przyczyną zgonu nieboszczki niebyły zmartwienia lecz błąd dyetetyczny. Napiwszy się po czemś tłustem zimnego piwa, dostała zapalenia kiszek i zgasła.

Ale dziewczyna nie odrazu zdołała się pogodzić z rzeczywistością tak mało tragiczną.

— Tak Kubusiowi mówić wypada... żeby mnie nie martwić... Czyby po mnie nie była napisała, żeby nie była na zabój rozżalona?...

Nie miała już na to czasu ni przytomności. Tyle tylko, że zrobiła testament.

— Pewnie mnie wydziedziczyła... O! słusznie!...

— Właśnie, że nie wydziedziczyła Rózi.

— O moja matko!

— Tylko postawiła jeden warunek — Musi Różia wyjść za mąż... Mówiła, że to jedno ochroni Rózię od zguby.

Więc ciągle myślała o jej dobrze!

— O moja matko!

Nie czując się jednak godną, odrzuciła tę deskę ratunku. Za mąż? Nigdy! Mój Boże! i za kogo?... A któżby ją zechciał! Zaskoczony tem pytaniem, rzuconem przez szlochającą sierotę jak donsą, przełknął ślinkę i z drżeniem

lekkiej obawy, zupełnie naturalnej u wielbiciela raz już odpalonego, wyszeptał:

— Za mnie... Tak stoi w testamencie...

Podniosła nań oczy i spuściła je.

— Przecież mama musiała wiedzieć, że Kubuś nie zechce...

— Ciocia wiedziała, że ja Rózię Kocham!... Sama mi powiedziała: "musisz się z nią ożenić. Nikt nie wie, co się dzieje, tylko ty, a ty jej chłopczyno przebaczysz".

— O moja matko!

I nowy potok płaczu.

Gdy wreszcie zmęczonej tą nadprodukcją łez zaczęło braknąć sił do łkania a dyablik przesady nie pozwalał przecież chustki odjąć od twarzy — naraz, aby się utrzymać na wysokości sytuacji, wykrzyknęła tragicznie:

— Ja się utopię!...

Kuzyn poruszył się zgorszony. Zaczął jej przekładać nieroztropność tej myśli, uroki życia, kreślić nader pochlebny obraz swych uczuć i szczęścia, jakim ją obdarzy.

Słuchała a jednocześnie rzucała ukradkowe spojrzenia na dziobatą twarz i nosek mopsi, zadarty amanta, jak gdyby uderzeniem pięści nakierowany ku niebu raz na zawsze. Ach! był szkaradny! — Lecz odtrącając go, naraził się na opinię swoją zda na łaskę jego mściwości.

Po długich prośbach bąknęła w końcu z przymusem:

— Ha no zobaczę. Ale w takim razie nie wiem teraz sama, co zrobić z jedną rzeczą...

— Z czymże?

— Muszę odjechać...

— Co?!

— Nie na długo... Obiecałam... Zaczepił się i zawołał:

— Jemuś obiecała!! — nacierając otwarcie, jak człowiek zagrożony, by ją zagnęć do zostania. — To nie jest żaden mus. Takiej obietnicy się nie dotrzymuje, chyba że chce się tego koniecznie!...

— Kiedy bo Kubuś nie wie... Ta osoba tu czeka...

— Tu?... Gdzie?...

— Na kolei.

— Zkądże się tu wziął?!..
— Przyjechał.
— Pilnować cię! Bał się, że nie wrócisz! Możeś mu co winna?
— Ależ nie..
— To pięknie!!

Zgrzytnął zębami i nastroiwszy marsa, zaczął biegać po pokoju, rozwścieklony temi szczegółami nadającymi jej grzechowi drastyczną plastykę żywego, o pięć minut drogi czekającego na nią i na jej usta, tytułem praw zdobytych, kochanka.

Nie mogąc zapanować nad sobą, wyrzucił z pasyą, jak obelgę:

— To ten porucznik !
— Nie... — wygadała się z zmieszania i lęku.

Ach! przypomniał sobie. Wszak po poruczniku — który ją uwiódł — miała się ukazywać z malarzem.

— To ten malarz!.. — poprawił ze wzgardą i podniósł groźnie pięść w stronę, w której przeczuwał malarza.
— Ależ nie — zaprzeczyła, zaniepokojona o artystę, który był

ładnym i dobrym chłopcem. — Inżynier...

Inżynier?... Co za inżynier?!... Więc żaden z tamtych dwóch, tylko ktoś inny?... trzeci?... Do diabła! Iluż ich było nareszcie!.., Obelżywy wyraz cisnął mu się na usta, czuł szaloną ochotę rzucić się na tę bezwstydną, która tarzała się w błocie, kiedy on o nią walczył z takim mozołem, i zbić ją, zbić na kwaśne jabłko!... Jej twarz różowa, zapłakana, jak świeży kwiat jaśniejąca wśród kuru sukni, ozłocona obłokiem puszystych włosów, promieniejąca wszystkimi pokusami jej płci i wieku, rozbroiła go. Kiedy w dodatku pomyślał o schedzie...

... Kubuś był młodym człowiekiem z ambycją, jednym z tych, co przez życie kroczą z hasłem: "excelsior!" Nie życzył on sobie wcale pozostać do śmierci marnym pisarczyną w sądzie obwodowym. Pragnął czegoś więcej. Chciał zająć wyższe, wybitniejsze stanowisko, znaleźć się na wierzchu, na czele, być właścicielem domu, mieć pieniądze, robić interesa, wybierać radnych, sam radnym, może

burmistrzem kiedyś zostać, używać, przodować, błyszczeć!... Należał do duchów silnych, do tych, którzy "znają życie" i nie dadzą się lada błahostce, skrupułom naiwnego marzycielstwa zepchnąć z wytrwałej drogi do celu, lecz krocza, śmiało u boku najszanowniejszych okazów starszej, znajdującej się u steru generacji, aby sobie najpierw pozyskać jej łaski a potem wstąpić w jej ślady godnie.

Więc... jeden kochanek, czy trzech — mój Boże! przecież to w końcu wszystko jedno. Dość, że nie żaden! Odpowie ona za to po ślubie..

Wyprostował się, obciągnął na sobie surdut energicznym ruchem i:

— Nie możesz iść do niego! — wyrzekł z siłą nowego władcy, obejmującego kierunek nad wypadkami.

Zaniepokojona poczęła przedstawiać:

— Będzie mnie szukał!.. Będzie łąził po mieście... pytał się ludzi... rozgada....
Hm — miała rację.
— To ja do niego pójde — i ruszył się z miejsca, jakby do wyjścia.

— Powiem mu, żeby nie czekał... że zostajesz... że wszystko skończone,
— Gzy uwierzy?!
— Musi!
— Spyta się: co ci do tego?
— Powiem, że jestem... twoim bratem.
— Wie, że nie mam brata.
— To powiem, że jestem narzeczoną i koniec. A gdyby się chciał stawiać.... !
Zadrżała, przestraszywszy się awantury. Opuścić wczorajszego kochanka, ponieważ tak każą okoliczności — mój Boże! przecież to zwykła kolej rzeczy. Ale narażać go na kłopot?... Nie!... Za co zresztą?... Tak złą, niewdzięczną i zmienną nie była. Zbyt dobre miała serce. Przez nie upadła przecież.
Poczęła go zaklinać, aby panował nad sobą i zachował się z godnością. Kontent z jej uległego tonu, zawołał:
— Siadaj i pisz! — i dyktował: "Szanowny Panie! Familia mnie zatrzymuje — zostaje — proszę nie czekać. Róża".

Drżącymi palcami złożył éwiartkę. Już miał odejść, kiedy na progu przypomniała mu się ważna kwestya.
— Jakże on wygląda?... bom gotów jeszcze list oddać dyabeł wie komu...
Prawda! Jak można było zapomnieć o tem!
Pelnemi żywościami szkicuując w powietrzu sylwetkę mężczyzny, poczęła opisywać spieszenie, wyraziście i bez ładu: krój, barwę wszystkich części ubrania, rysy, cerę, kształt wąsów, kolor oczu, układ włosów, kołnierzyk, krawat, szpilkę w krawacie, kapelusz, laskę, obuwie, rękawiczki, wszystko, wszyściutko, z drobiazgowością zażyłej przyjaciółki, nie opuszczając żadnego szczegółu...
Lecz Kubuś nie czekał końca. Zacisnął zęby, trzasnął drzwiami, aż szyby dźwiękły i wybiegł pędem.

KURA.

KURA

Kurka ta była w życiu Barbary poematem, tym samym poematem, zagrzewającym serce, krzepiącym woję, oświetlającym drogę, jakim dla wielkich wodzów są zwycięskie bitwy, dla finansisty pomnażanie milionów, dla sztukmistrza umiłowane dzieło — tylko w popularnej edycji.

Barbara była starym, steranym po służbach, siedmdziesięcioletnim grzybem ludzkim, obdartym i nędznym. Nie miała nic na tym świecie swego, nic coby jej było drogiem, coby do niej należało i czemu by była potrzebny, coby ją, po za faktem istnienia, z życiem wiązało. Ta kura dała jej wszystko. Zbudziwszy w niej i nasyciwszy żądzę posiadania,

władzy, miłości, dostarczywszy jej uciech pieśczoły, troski, nadziei i gniewu, rozruszała starą, wyciągnęła ją z ślimaczej skorupy osamotnienia, właściwego jej wiekowi, rozszerzyła i wypełniła ramy jej życia.

Kupiła ją przypadkiem, prawie wbrew woli, od wiejskiej baby, napraszającej się ze łzami w oczach w dzień lichego targu, aby wziąć od niej tego wzgardzonego przez wszystkich, chudego, zbiedzonego kurczaka. Stara dała się skusić cenie i obietnicom. Zamarzywszy o przyszłych jajkach i kurczętach, wsunęła w ciepłe zanadrze wystraszonego ptaka i z litości trochę, jak coś nieszczęśliwego wielce, czemu, przy całej swej biedzie, przydać się jednak na coś była w stanie.

Od tego czasu zaczęło się pełne zadowoleń życie we dwójkę dwu istot ograniczonych, opuszczonych i słabych. Barbara była czemś w rodzaju psa do pilnowania domu u pary bezdzietnych zieleniarzy. Przekupnie ci, zajmujący z nią trzecią ciemny i wilgotny zakamarek suterenu, wy

chodzili codzien o wschodzie na roгатki zakupić od chłopów jarzyn. W południe zanosila im Barbara na rynek gar z uwarzonym na rosół miesiwem, pod zmierzch zaś przywlekali się oboje pijani na wieczere, klócać się po jej spożyciu aż do bitki, poczem bili się aż do zmęczenia, wreszcie zasypiali, gdzie które padło, żona z płaczem, mąż z klątwami. Nazajutrz podrapani, sińcami okryci, zrywali się o świcie do pracy, by w świętej zgodzie podejmować dalej ziemską wędrówkę i wszystkie obowiązki fachu, które tą samą treścią co wczoraj napelnić im miały nowy dzień. Barbara skazana więc była na ciągłą samotność, pilnując do południa, by rosół nie wykipiał, popołudniu zamiatając i myjąc czerepy. Nie było do kogo gęby otworzyć ni kim się zająć. W tym trybie życia kura stała się jej powiernicą, przyjaciółką, lubem dziecięciem. Karmiła ją, poila, pieściła, zaskarbiając sobie powoli bezgraniczną wdzięczność i zaufanie ptaka, który stał się w tem nieprzerwanem obcowaniu z starą trochę

najniższego rzędu człowiekiem, tak jak Barbara nawzajem, zniżając się ustawicznie do poziomu wychowanicy, stawała się w pewnych chwilach sama, jak gdyby genialną kurą. Rozumiały się, to pewna, w niezwykłym stopniu. Kiedy Barbara odezwała się: "Nie chodź na podwórze, kot cię udusi!" — kura, mająca się właśnie ku wyjściu, podnosiła głowę, spoglądała jednym okiem uważnie na mówiącą, drugim na uchylone drzwi i cofała się od progu, odczuwając, że tego od niej żądają. Gdy babka innym razem, zauważywszy niespokojne kręcenie się kury, mruknęła: "Chce ci się jeść?" — albo: "Dać ci wody?" — kura natychmiast cieniutkiem, proszącem gdakaniem potakiwała pytaniu i biegła szybkim kroczkiem do miejsca, gdzie jej zwykle sypano kruszyny chleba i czerep z wodą stawiano. Zresztą wiedziała Barbara zawsze dokładnie z zachowania się kury o stanie jej zdrowia i humorze, i umiała w właściwą porę rzucić jej czule słówko pieszczoty, pochwałę lub upomnienie. Zadowo

lone jedna z drugiej całkowicie, ogromnie się lubiły.

Mniej lubił kurę zieleniarz a najmniej stróżka domu, która na obszernym dziedzińcu sama hodowała kur kilkanaście pod. przewodem bardzo dziarskiego i dużo o sobie piejącego kogucika. Zieleniarz utyskiwał na kurę, że robi w stancyi nieporządek i płacze się pod nogami, choć w gruncie rzeczy on sam najwięcej robił nieporządku i nogi plątały mu się codziennie jeszcze w czasach, kiedy o kurze nie było słyhu.

Przez stróżkę zaś mówiła czysta zazdrość. Drażniła ją łaskawość kurki Barbary, jej płodność. Obwinała więc kurę, że wyjada jej drobiowi ziarno, że bezprawnie korzysta z łask jej koguta i rościła robie dziką pretensję do powstających stąd jajek. Barbara, której kurka znosiła w rzeczy samej od samego początku wiosny niemal codziennie świeże jajeczko, przychodząc z niem zawsze do domu i wielkim krzykiem zwiastując przyjemną nowinę, — niezdolna sprostać trudowi wojny z potęgą tej miary, co

żona stróża, musiała zjednywać sobie sprzymierzeńca w zieleniarzu. Używała do tego celu jajecznicy. Ile razy gderanie przekupnia na kurę doszło do maximum a skryta wojna z stróżką groziła wybuchem, na stole ukazywała się jajecznicą z uzbieranych jaj. Na ten widok czerwona od wiatru i trunków twarz zieleniarza oblekała się w uśmiech, zasiadano w trójkę nad misą, w której opróżnieniu mężczyzna ze wszystkich sił starał się wyprzedzić obie kobiety, a najbliższego dnia stróżce dostawała się z ust rutynowanego kłotnika taka pucówka, że Barbara i sprawa niewinnie prześladowanej kury na długi czas pozostawała na wierzchu.

Jednakże zieleniarz, człowiek znający życie, przestrzegał Barbarę, aby nie przeceniała zbytnio jego językowych tryumfów.

— Będziecie widzieć, że wam ta kura długo nie potrwa!... Już ja tę małą stróżkę znam.

Rzeczywiście pewnego dnia rano, wyszedłszy zaraz po wywleczeniu się z barłogu na próg dla orzeźwienia

się świeżem powietrzem świtu, wpadł nagle z powrotem, wołając:

— Babko?!... a chodźcie ino!... Z kurą się coś dzieje..

I położył na stole podjętego na dziedzińcu ptaka, któremu podtulone nóżki i pół rozpuszczone skrzydła drżały jak w febrze a oczy błonami zasłyły.

— O matko ! a cóż to takiego? — wyjęknęła w przerażeniu stara, spiesząc wraz z zieleniarką do stołu, gdzie wszyscy troje pochylili się nad leżącą bokiem w dziwnym skurczu, dogorywającą kurą, z minami konsylium lekarzy przy łóżku ciężko chorego.

— Pewnie ją ktoś urzekł...

— Może gwóźdź połkła? abo szkło ?...

— Kurza cholera ją trzepie! Zadać jej pieprzu!!...

— Juści, juści — zadrwił zieleniarz trzeźwo. — To ta sakramencka baba musiała ją kopnąć. Dorznicie lepiej kurę od razu, nim zdechnie...

Barbara sprzeciwiła się stanowczo, idąc za głosem serca. Niemniej

uznawała w duszy praktyczny obyczaj swego świata, gdzie wszelkie zwierzę jadalne, zagrożone zdechnięciem, dobija się czempredziej, by je spożyć jako zabite, nie jako padlinę.

— Bier nóż, czego stoisz? — zawołał na żonę przekupień.

Barbara zamknęła oczy.

— Potrzyj ją, teraz chwilę, aż krew zcieknie...

Starej zrobiło się zimno.

— A teraz upieczcie to babko albo uwarzcie, jak wam się podoba. Ale pieczone zawdy lepsze.

Poszli na targ.

Ze łzami w oczach, wycierając nos co chwila, sparzyła stara i oskubała biedną kurkę, którą tak niespodziewanie los okrutny życia pozbawił. W przerwach roboty płakała rzewnie, w połowie z żalu za kurą, w połowie ze złości na stróżkę.

Potem włożyła ptaka w rynkę i piekła. Ulatujące wśród tego z piersi jej westchnienia coraz były słabsze, w miarę jak kura zamieniała się pod działaniem ognia i masła w rumiane pieczone, które szerzyło woń miłą,

rzadką w suterenie, dawno przez babulkę nie wączaną, woń pocieszającą, i rozkoszną.

Kiedy zasiedli w trójkę z zieleniarzami do spożycia zbyt krownej potrawy, w oczach Barbary palił się płomyczek dumy i radości, że kurka tak była tłusta, krucha, pachnąca i smaczna — na dowód, że za życia dobrze jej się działo. A kiedy wraz z czerwono-nosem stałem ogryzała do kosteczki ten ostatni w swem życiu poemat, zieleniarz, uderzony jej apetytem, ujrzał się aż zmuszonym powiedzieć:

— Ady nie spieszcie się tak, na rany boskie! bo się jeszcze udławicie.

PROPAGANDA CZYSTOŚCI.

PROPAGANDA CZYSTOŚCI.

— Nie myślę — paplał Antek z płytką, ironią, niepoprawnego pustaka — nikogo z was demoralizować ani gorszyć. Nie mani również zamiaru wykpiwać znanych fantazji obyczajowych Björnsona i Tołstoja, o których treść przygoda moja zlekka, niby skrzydłem płochego motyla o spizowy posąg chimery potraça. Bo i po co?... Czyż miłość słuchała kiedykolwiek czegoś więcej oprócz słowicznych śpiewów i bicia młodych serc?... Figlarny łuczniczek złotowłosej równie mało sobie robi z piór nawet gienialnych jak i z kropideł całego świata. Tylko boska śmierć i jej brutalna siostrzyca starość, zdolne są

wytrącać berło wszechwładnemu poganinowi, nie umniejszając jednak ani na włos jego słodkiej tyranii w olbrzymim świecie młodych.

.... Było to w zimie, u samego zenitu mroźnej zimy i szalonego karnawału. Tańczyłem owego roku wiele i pewnego wieczora zapotrzebowałem na dzień następny na gwałt fraka, oddanego krawcowi właśnie do odprasowania. Aby go mieć na czas, zapiąłem się szczelnie w paltot, naciągnąłem czapkę na uszy, wsunąłem ręce w kieszenie i puściłem się na drugi koniec miasta przez mróz siarczysty, który ścisnął mi nos, szczypał w policzki, wbijał się w całe ciało tysiącem lodowatych igiełek i wstecz zaganiał, do pieca, do łóżka, przed tą wyprawą miłową w godzinie snu wszystkich ludzi rozsądnych. Lecz czemuż jest w dwudziestym roku życia zdrowa noc w ciepłej, miękkiej pościeli wobec widoków kilkunastogodzinnego męcznienia anemicznych panien waryackimi skokami wszystkich tańców w ciasnocie i zaduchu jakiegoś małego

mieszkanka, w którym swąd taniej kolacyi miesza się z kakofonią starego fortepianu ?!..

Kiedym, na wskroś przeziębły, stanął u celu, brama domu już była zamknięta. Odszukuję rękojeść dzwonka i pociągam za nią z energią człowieka dygocącego z zimna, zaklinając w duszy stróża, aby otwierał bez zwłoki. Nim to nastąpi, poczynam tupać nogami w bruk z całej siły.

W tem słyszę z tyłu, od strony ulicy, uprzejme:

— Za pozwoleniem pana... Odwracam się — trzy męzkie

postacie, trzech podstarzałych ichmościów stoi tuż za mną. Uchylili czapek. Najbliższy, wysoki, wygolony, chudy, z ogromnym jezuickim nosem, wystrzelającym pomiędzy szkiełkami okularów na kształt dzioba, i z długim, nagim karkiem, wysuwającym się z kołnierza futra jak naga szyja kondora z kołnierza z piór, zbliża się i rzecze w tonie przyjaznej prośby:

— Nie chodź pan tam... Wytrzeszczyłem oczy, nie mogąc pojąć żądania.

- Dokąd?
- Do tego domu...
- Dlaczego ?
- Prosimy pana...

W jego głosie był słodki, łagodny nacisk, tamci zaś dwaj, jeden z gęstą, jak bór brodą, drugi z ogromnym, teatralnym brzuchem, schowani w swe futra, zakapturzeni czapkami wsuniętem! na uszy, jak postaci z sensacyjnych romansów, poparli go maskaradowymi głosami czule:

— Prosimy bardzo... Wyteżywszy całą przytomność, starałem się zorientować. Czego oni chcą?... Na figlarzy wydawali się, za starzy, za przyzwoicie ubrani, za trzeźwi. Na tajnych agentów za dobrodusznici. Więc co to znaczy?...

Oświadczyłem po chwili swobodnie:

— Ten powód mi nie wystarcza. Kondor przystąpił wówczas do mnie i kładąc delikatnie rękę na moim rękawie, wyrzekł z uczuciem:

— Nie wystarcza panu, że trzech poważni, siwowłosi ludzie, z których każdy mógłby być twoim ojcem,

proszę, abyś zaniechał swego zamiaru?...

— Naturalnie że nie! Mam w tym domu interes...

— "Interes"!... — powtórzyli w fałszywym akordzie wszyscy trzej jak echo. Kondor zaś spojrzawszy na mnie łzawo z ojcowskim wyrzutem, dodał ciepłym tonem matki:

— Nie zasłaniaj się pan interesem... My przecież znamy tego rodzaju interes... Wiek pański dostatecznie to objaśnia...

Niechże pańska nieszczerłość, szlachetnym podyktowana wstydem, sama otworzy ci oczy i poprze w twym sercu prośbę starych, przychylnych choć obcych ludzi, którzy ojcowskim głosem radzą: nie chodź tam!...

Byłem wściekle zaintrygowany, lecz byłem i zmarznięty. Moja imaginacja zaczynała pracować, zapędzając się w setki domysłów, lecz zimno paraliżowało jej lot. Chcąc wyjść jak najprędzej z głupiej sytuacji, zawołałem w końcu z energią:

— Przeciwnie! pójdę panie i to niezwłocznie.

To rzekłszy, wyciągnąłem rękę do dzwonka, bo brania nie otwarła się dotąd.

Ale jegomość z długim nosem i karkiem zastąpił mi drogę, wygłaszając jak z ambony:

— Młodzieńcze! Nie rób nam ani sobie tej krzywdy! Czyż my nie chcemy pańskiego dobra?...

— Czyście panowie powaryowali?!... Co to za żarty?!... Dość już tych głupstw! Proszę nie zastępywać mi drogi.

Przemowa ta, wypowiedziana z werwą, uczyniła wrażenie. Zauważyłem, że właściciel dużej brody zrobił w kierunku posiadacza wielkiego brzucha taki giest głową, jakby chciał powiedzieć: "a to uparta bestya!" albo "to dopiero grzesznik zatwardziały!" Inaczej jednak zachował się przywódca tria. Ten pochwycił mnie w objęcia i począł całować jak kochankę, wśród zakłęb, abym ocenił ich życzliwość i poświęcenie, tak pieszczotliwych, że zacząłem go posądzać o pewną przewrotność instynktów... "Czyliż nie wzruszą — mówił — twego świeżego

serca starcy, którzy wśród wichrów i zamieci spieszą wstrzymywać młodzież nad brzegiem strasznej przepaści?... Nie wspominaj pan po raz drugi o krawcu. Tak wszyscy mówicie, szylid służy wam za pretekst..." A potem zaczął mi pleść o ojcu, matce, o moich "przyszłych dziatkach" i jednocześnie napychać mi kieszenie wydobywanymi z pod futra broszurami, które miały mi resztę jego myśli i uczuć dopowiedzieć.

Ale mnie już tego było za wiele. Skoczyłem do dzwonka i szarpnąłem za gałkę z taką siłą, jakby była uchem niedbałego stróża domu.

Wówczas wszyscy trzej rzucili się na mnie. Myślałem, że chcą ze mnie zedrzeć paltó! Już miałem wołać ratunku. Im jednak nie o paltó szło ale o moją duszę, którą uparli się ocalić od zguby niechybnej, a także o ciało, zagrożone nią również.

W tem klucz zgrzytnął w zamku, brama rozwarła się szeroko, a z otworu wylał się na ulicę blask lampy i gwar kobiecych głosów, przed którymi trzej ichmoście pierzchli w jednej

sekundzie jak ómy pierzchają, przed dniem.

Ujrzałem w sieni za progiem kilka kobiecych twarzy o dużych, nienaturalnie błyszczących oczach, o mocno czerwonych ustach, cerze dziwnej świeżości i trefionych grzywkach. Poubierane były nader krótko i nader kolorowo. Śmiejąc się krzykliwie, witały mnie poufale, niby starego znajomego, wołały, abym wszedł i zagrzał się. Głos starszy, altowy, zagłuszył inne:

— To znowu te stare waryaty!... Jak matkę kocham, muszę ja przecież raz z tem koniec zrobić...

I nagle znalazłem się w sieni, gdzie pochwyciło mnie za ręce, za paltot, za szyję, pięć czy sześć mniej lub więcej młodych i kształtnych ale bardzo serdecznych ramion, jak gdybym niespodzianie wpadł w sam środek grona niezmiernie wesołych i przychylnych mi siostrzyczek. Oszołomiony przyjęciem, równajacem się owacyi, anim się spostrzegł, jak zaciągnęły" mnie w tryumfie niby łup wojenny wysokiej wartości do drzwi

w głębi sieni, po za którymi ukazał się apartament, pełen takich samych jak one jaskrawych i narzucających się mebli i obrazów.

Uczułem się zażenowanym i onieśmielonym, przestąpiwszy podobny próg po raz pierwszy w życiu. Do owej chwili bowiem hołdowałem przesądowi, że pocałunek dyletantki naprawdę wart jest coś więcej od pieszczot upoważnionych szafarek miłości. Lecz ciepło pieca i ciepło personelu podziałały na moje skostniałe ciało i umysł wzburzony tak ujmująco, że przemogłem zmieszanie i niesmak, i wdawszy się z kobietkami w gawędę, począłem je rozpytywać ciekawie, co to wszystko znaczy? kto są ci starzy panowie? czego chcieli odemnie? etc.

Starsza niewiasta, pełna powagi i tuszy, uciszając krzyki, zabrała głos:

— A to, uważa pan, trzech takich starych osłów, którzy mają kiepsko w głowie i odmawiają mi gości przed domem...

— Jakto?... dlaczego?... Dziewczęta poczęły jedna przez

drugą pleść głupstwa i śmiać się z nich do rozpuku.

.... Dlatego, bo im zazdrość... Dlatego, bo sami żonom nie mogą się opędzić... Dlatego, bo ich nie chcemy... — wołały — i wiele, wiele innych rzeczy, których nie mam doprawdy odwagi powtarzać.

Przełożona uciszyła powtórnie wrzaskliwe stadko.

— Niby to, że się młodzież psuje, dlatego — objaśniła mnie. — Jakie to głupie, proszę pana. Bo przecież to jak świat światem było i będzie zawsze. No nie?... Bzikują, po prostu stare pryki i nic więcej. Albo ich też ktoś podmawia, żeby mi na złość robili. Czy pan wie, że mi umyślnie popsuli dzwonek u bramy?... Ale i mnie się cierpliwości przebierze. Ja ich zaskarżę! A cóż to? Ja z kawiarni płacę podatek, mnie dziewczęta zarywają, ja sobie nie pozwolę byle komu psuć interesu! Każden żyć potrzebuje!..

— Ależ szanowna pani! — perswadowałem. — Pani się myli! Pani ich obwinia niesłusznie. Zamiast

skarżyć — powinna pani owszem dać tym panom jakiś procent, bo oni działają dla pani dobra... Ja na przykład nie byłbym wcale zjawił się w tym... salonie, gdyby nie oni...

— A przecież pan dzwonił do bramy?!

— Ale przyszedłem do krawca, tego na pierwszym piętrze, nie wiedząc wcale, że na parterze znajdę tak miłe towarzystwo.

— A ci starzy myśleli... Ha! ha! ha!... To heca!...

Nie posiadały się z radości, śmiały się, klaskały w ręce i zdawały się wszystkie sześć mieć ochotę rzucić się w me objęcia, nie czyniąc tego dlatego jedynie, by mi zostawić wolny wybór.

Tymczasem przełożona poczęła mnie ugaszczać.

— Cóż pan pozwoli? — wyrzekła uprzejmym tonem gościnnej gospodyni. — Kawy czy herbaty dla rozgrzania?... Jest świeża babka...

Podziękowałem bez namysłu za kawę, herbatę i babkę, o co się nikt nie obraził. Natomiast wskazałem

palcem w sposób objawiający żywą sympatyę na przytuloną do pieca małą, pulchną, z gęstymi jak wełna włosami blondynkę, która założywszy w tył ręce, uderzała raz po raz w kafle krzyżami, nie dlatego oczywiście, by chciała piec rozwalić — i zapytałem:

— Jak tej małej grzesznicy na imię?

Pytanie wywarło efekt chustki, rzuconej przez baszę.

— Lola — odparła gospodyni uroczyście, poczem zaprosiła mnie w głąb apartamentu majestatycznym ruchem całego korpusu, który wydymał się jak balon przed wzlotem pod pokrowcem wiotkiego, perkal owego szlafroka.

Równocześnie pięć pozostałych piękności, które aż dotąd zdawały się tracić głowy dla mnie, odwróciło się obojętnie, prawie z urazą, przyczem na obliczach ich, promieniejących ciepłem przed chwilą, rozpostarły się nagle martwe, gipsowe, apatyczne maski.

Przejęło to lekkim bólem zawodu moją miłość własną, lecz Lola rzuciła mi się nagle na szyję z tak dosko

nale udanym zapalem, że ból ten uśmierzony został zupełnie.

— Ile masz lat?

— Szesnaście.

— Nie może być!

Zadała się. Czyliż wygląda tak staro? Musiałem ją przeprosić, najpierw dla oka, lecz wkrótce potem szczerze, zdobywszy dowody niezbite.

— Wiesz co ? przeczytajmy którą, z tych książeczek!.. — wpadło mi do głowy po wyczerpaniu pierwszych żartów, na jakich zbudowaliśmy prawie w mgnieniu oka naszą przyjaźń, — i wydobyłem wciśnięte mi na ulicy broszury.

— Dobrze, uśmiejemy się. Śmialiśmy się do rozpuku, przerzucając surowy traktat moralny, przyczem trzymaliśmy się naturalnie za szyję i łamali jego przepisy co kartka. Inaczej jednak nie dałoby się go doczytać do końca. Najważniejszą rzeczą, jakiej się z niego dowiedziałem, było, że jest to publikacja "Towarzystwa propagandy czystości" w myśl teoryj Bjornsona i Tołstoja, i że przedstawicielom tego

to towarzystwa mam do zawdzięczenia wszystko, co się ze mną działo owej długiej, grzesznej, zimowej nocy.

OPIEKUN.

OPIEKUN.

Paweł Zdziebło, chuderlawy rybak z przedmieścia, począł w ostatnich latach życia objawiać szczególną pasję. Skoro tylko ktoś spojrział, choćby bezmyślnie, w jego stronę, brał to natychmiast za aluzję do swego czerwonego nosa i odzywał się czempredzej:

— To z wódki, z wódki, kochany panie, jak pana szanuję. Ludzie się wypirajom takich rzeczy — prawda?... Jo nie. Jo łąć nie lubie. Powiem komu, że to od słońca, od mrozu, abo ta jak, a ten mi i tak nie uwierzy. Wole powiedzieć od razu: "z gorzoły" — i po krzyku. Czy to jo jeden, prosze pana? Ino

trza wiedzieć, jak zemnom było. Jo bez piędziesiąt lot żywota nie wzionem w gębe ani kropelki, nie wiedziołem rzyć moge, jak tronek pachnie i w szynkuś mnie bracie nie użroł. Jaż mnie dopiro nad grobem chyćilo i zaroz mi w nos

wlazo. Tak. Co kogo mo spotkać, to go nie minie !... Mój ojciec nieboszczyk pił za trzech, dziadek sie tyż to samo na śmierć zaloł, musiało przyjść i na mnie, chociażem sie pokusie oganiol do siwego włosa. Ale to wszystko bez ten sąd. W taki sposób przyzwyczail się rozpoczynać historyę, swego czerwonego nosa. Nie mając o sobie nic większej uwagi godnego do powiedzenia, głosił ją z lubością na wszystkie strony, nie bez skrytego zamiaru poprawienia w ten sposób swej opinii.

Paweł Zdziebło był w rzeczy samej synem Mateusza, słynnego pijaka, o którym ludzie dowcipni mówili, że gdyby duzo złego tej okolicy czyniące stawy malaryczne napełnione były alkoholem nie wodą, osuszyłby je sam jeden od dawna.

Pijaństwo i pijackie nosy przechodziły w tym rodzie z ojca na syna i otoczyły dom Zdziebłów tak smutną, sławą, że dla małego Pawła, prześladowanego w gronie rówieśników dziadowskim i ojcowskim nosem, w dzieciństwie już stała się źródłem ciągłej obawy i wstrętu myśl, że w środku jego twarzy mogłoby kiedykolwiek zakwitnąć coś tak ohydneho jak owa głośna w pamięci ludzkiej czerwona i obrzmiała trąba, którą najbliżsi przodkowie jego pograżyli rodzinę w hańbie i niedostatku. Dzięki temu zapewne, a także i wskutek braku środków, wytrwał w wstrzeźliwości do późnego wieku, nienawidzony przez szynkarka i tegoż klientelę a podawany za przykład przez małżonki opojów oraz przez księdza.

Aż oto dnia pewnego spotyka Zdziebło. rzecz niespodziana. Na mocy wskazania testamentalnego wyznaczonym zostaje przez sąd na opiekuna nad małoletnim Klemensem Cichoniem, sierotą również po rybaku, lecz strasznym, mimo dwudzie

stu dwu lat zaledwie, drabem i hultajem.

Zaszczycony godnością tak wysoką Zdziebło urznął się po raz pierwszy w życiu pod demoralizującym wpływem swego rozpustnego pupila, który z zręcznością rutynowanego pijaka potrafił starego uwikłać w zdradliwe słówko: "trzeba przecie oblać". W mocno nietrzeźwym stanie udali się obaj do banku w mieście, gdzie Zdziebło złożył "na procent" deponowaną chwilowo u proboszcza ojcowiznę Klemensa, ośmset reńskich gotówką, owoc długoletniej oszczędności zmarłego. Przy tym poważnym akcie wygłosił do małoletniego Cichonia w obecności urzędników banku następującą zastosowaną do chwili przemowę, która streszczała zarazem ideę przewodnią i program jego opiekuństwa: — Żebyś se wiedziol Klimek, że ci z tych ośmi stówek centka ruszyć nie wolno — przezemnie. Rozumisz?... Bo jo jest twój opiekon sądowy! pamiętaj se to. Jak dońdziesz do pełnolitności, za dwa roki. wten

czos se śnimi zrób, co kcesz. Do tego czasu mosz słuchać opiekona. Jak ze mnom przydzie wielemożni panowie, to mu dać — jak przezymnie, nie dawać ani grosika. Prosze pokornie, żeby tak stało zapisane. Teroz chodź... Kłaniomy sie pięknie... Całe sąsiedztwo Zdziebły, wszyscy przyjaciele i wrogowie, dowiedzieli się oczywiście natychmiast o dygnitarstwie Pawła, który zapewniał, że tak wzorowego opiekuna, jakim on będzie, jeszcze nie widziano dotąd i że teraz dopiero, pod jego dzielną ręką, ma Klimek szanse wyjść na ludzi. "Już mnie podchodził... próbował... a jakże... czyby się nie dało do groszy dobrać. Ale jo: nie! Cencika nie dom ruszyć. Od tegom opiekon sądowy! Potrzeba ci na co? — zarób. Jo nie dom krwawicy ojca marnić. I chłopok sie widzicie, tym sposobem ustatkuje, a za dwa roki, jak będzie miał swoje lata i pozno co grosz znaczy — osiem stówek bedom jak naloz". Tymczasem Klimek, spróbowałszy wielu sposobów: próśb, grózb,

forteli — wyprawił w końcu zniecierpliwiony twardemu opiekunowi brzydką awanturę i nabesztawszy go bez najmniejszego na wiek i urząd względu, usunął mu się z wszelkimi efektami śmiertelnej obrazu całkowicie z oczu. Paweł jednak śmiał się, pewien swej metody. Wróci on! wróci — prędzej później — skruszony, na znak budzącego się rozumu i radykalnej poprawy.

Ale Klimek nie wracał. Doszło natomiast uszu Zdziebły w krótkim czasie, że pupil hula siarczyście w towarzystwie okolicznych łobuzów i zaprzyjaźnionych z nimi dam lekkiego życia z tej i z tamtej strony rogałki. Hula?... Za co?!... Zaniepokojony Paweł pobiegł do banku dowiedzieć się, czy za pomocą jakiegoś podstępu nie udało się temu hultajowi przypadkiem obejść opiekuńskiego zastrzeżenia, aby prędzej strwonić ojcowską shedę. Nie, pieniądze leżały nietknięte. Skąd jednak w takim razie brał Klimek na pijatyki?

Ten łotr poradził sobie w bardzo prosty sposób: hulał na kredyt! Nie mogąc dostać w swe marnotrawne łapy gotówki, zadłużył się, przepijał spadek a konto chwili, kiedy go odbierze, dając zarabiać sto na sto uczynnym szynkarzom. I to wszystko pod samym niemal nosem opiekuna!...

Zatrzęsło się w Zdzieble wszystko. Wzburzyła się w nim nie tylko ambicya człowieka niewzruszonych zasad moralnych na widok rozwiązłości żółtodzioba, ale i godność opiekuna, z którego jawnie drwią i bałwochwalcza cześć nędzarza dla pięknego kapitału, idącego na marne. Wzburzyło się w nim wreszcie i zakotłowało proste, poczciwe, ogólnoludzkie samolubstwo na myśl, że tam gdzieś w gwarnym lokalu pachną zakąski, kurzą się cygara, leje się piwo i gorzałka w gardła obieżyświatów, a on — on! człek prawy i stateczny, łykać musi ślinkę, dlatego że jest sumiennym, że ściśle wypełnia swoje obowiązki.

Postanowił skandalowi koniec położyć. Jak — nie wiedział dokład

nie, szukał tylko w tym celu spotkania z Klemensem, licząc na to, że samo zetknięcie się z nim w połowie załatwi kwestyę. Aby zaś stanąć przed marnotrawcą w należytych majestacie, pił zlekka, ukradkiem "na kuraż".

Spotkanie nastąpiło niedługo, w jednej z nielicznych knajp dzielnicy. Opiekun i pupil spojrzeli sobie milcząc w oczy, przez pół dopiero urznięci, ale już w tym sercowym nastroju, w którym pijak sentymentalny, tracąc grunt pod nogami, zaczyna kochać ludzkość, przebaczać wrogom i ślinić każdego, kto zezwoli na to.

Poczęły się łzawe wyrzuty.

— To ty mnie Klimek mosz za nic?... Mnie?!... Opiekona sądowego?!... Wolisz lada chłystków do kompanii niż opiekona?...

Klimek mu odpowiedział w samo ucho, ze względu na podejrzliwie obserwujących tę scenę towarzyszy:

— Jobym wos wołół, boście szczyrsi... Cóż, skoro mi bronicie tych pieniędzy po tacie...

— Jo?!. bronie?!... Kto ci to powiedział?!... — począł się wymawiać Paweł, szukając jakiegobądź argumentu, byle zadowolnić swe serce. — Jo tylko kcę być przy tym, co sie śniemidzioć bedzie, rozumisz?... Bo musze! bo jo jest opiekon sądowy !... Ale żebym ci ta miół bronić?... Jo ci niczego w świecie nie bronie, chłopie! Ale jo musze być za świadka! — Sąd tak każe!

Ba! w takim razie wszystko z łatwością da się naprawić! Po tem wyjaśnieniu pogodzono się. ucałowano bez obłudy, urznięto do reszty, odsiedziano następnie dwa dni kozy za przekroczenie ustawy o pijaństwie i postanowiono odtąd pić za gotówkę, nie tracąc bezpotrzebnie świętej krwawicy nieboszczyka na lichwiarskie zdzierstwa. Tak się też, stało. Opiekun z pupilem poczęli razem podejmować w banku różne kwoty, aby je następnie razem przepić, tak — że po upływie roku nie było z całej shedy ani grosza. Wówczas Paweł nagle spostrzegł, że ten wisielec popsuł go na starość,

wciągając w kałużę nałogu i nabawiając w niedługim czasie takiej bujności czerwonego nosa, jakiego nie widziano w naturze; Klimek zaś, że opiekun, że ten, który powinien był strzedz całości jego dziedzictwa! dopomógł mu je

przepuścić. Wynikła z tych obwinień wzajemnych duża niechęć, pociągając za sobą najpierw zaoczne obelgi, potem osobiste docinki i kłótnie, wreszcie krwawą bitkę, która dla opiekuna, strony słabszej, skończyła się w szpitalu, dla zwycięzkiego pupila zaś w kryminalu. Narobiło to wszystko dużo, dużo zgorzienia w przedmieściu, ku prawdziwej zgryzocie proboszcza i stojącej nad grobem, starszej, statecznej generacji.

WDOWIEC

WDOWIEC.

Trzy miesiące temu utracił Fabian kobietę, od lat ośmnastu dzielącą z nim ciche i jednostajne życie małego kapitalisty w ładnym domeczku z ogrodem na przedmieściu. Żałobne wypustki u kołnierzy surdutów już mu się przybrukały, znajomi przestali go zapytywać o znaczenie krepy na kapeluszu, natomiast coraz częściej wieszono mu doskonałego wyglądu, co oblewało go za każdym razem różową łuną radości, nic bowiem na świecie większej przyjemności sprawić mu nie mogło nad dowiedzenie się, że tyje, że jego podbródki zwracają uwagę.

Fabian był komiczną figurką. Z głową bez karku, osadzoną na bakier, z jednym ramieniem wyższym, z kiszkatym tułowiem, który zaokrąglął z przodu starannie pielęgnowany brzuszek, jak bąbel, na kobiecych, wykrzywionych do środka nogach, przypominających rysunkiem nogi baranie, miał twarz tłustą, świecąca, głupowato zadowolona, o silnie owczym typie, w której każdym rysie powtarzały się łuki baraniej fizyognomii: w nozdrzach, ustach, uszach, podbródku, poduszkowatych policzkach i brodzie z dołkiem.

Nie potrzebując pracować, za głupi, by zajmować się czemkolwiek prócz siebie, za brutalny, by o cokolwiek prócz siebie dbać, leniwy ten tłuścioch bez celu w życiu, żył biernymi rozkoszami domowej kuchni, kawiarnianej lektury,

spacerów po mieście, grzebania motyką w grządkach i rzadkich, umiarkowanych pieszczot flegmatycznego sobka, mającego przedewszystkiem swe zdrowie i swój spokój na względzie. Jeżeli gatunek ludzki wydaje

czasem indywidua, podobne do dzikich kóz, spinających się nieustraszenie na szczyty lub orłów śmiało szybujących nad przepaścią, to Fabian podobniejszym był raczej do cichej, spokojnej, dobrodusznej świnki, której po za pełnem korytem i chłodną kałużą nic więcej do szczęścia nie potrzeba.

Co rano polewała go Władzia wodą z blaszanej koneweczki, według metody Kneippa, wycierała starannie zgrzebnem płótnem, ubierała, podsuwała śniadanie, wkładała papierosa, zapalonego już, do ust, podawała kapelusz i laskę, a po całodziennem otaczaniu go najtroskliwszą pieczą, otulała wieczorem do snu w koldrę. Kiedy chciał usiąść, położyć się, musiała mu ustępować krzesel, kanapy, kiedy siedzieli przy jedzeniu, gospodarował w jej szklance i talerzu, jak w swoim. Tak było rok za rokiem. Nie doświadczywszy trosk, nie wzleciawszy nigdy samodzielnie myślą ponad prozę materyalnych wygod, tył i uśmiechał się z zawsze tymsamym humorem sytego głupca, który

aprobuje wszystko na ślepo, obawiając się tylko trzech rzeczy: socyalistów, krachu i wojny — ale w którym widok policyanta z służbowym półksiężycem i wojska, wracającego z musztry, rozprasza te obawy zupełnie.

Pierwszy to raz od lat ośmnastu choroba i śmierć Władzi obarczyła go trocha silniejszych wzruszeń, nie zaprzatając bynajmniej jego serca, które pod pokładami tłuszczu jedynie dla niego biło — burząc jedynie na kilka tygodni ukochaną monotonię regularnego trybu życia, godzin snu, jadła, spacerów i kąpeli. Skoro jednak z mieszkania wywietrzał zapach lekarstw i katafalku, i zatarł się ubytek jednej osoby, Fabian uczuł się niebawem szczęśliwym jak dawniej, nawet szczęśliwszym.

Bądź co bądź kobieta ta, niekochana wcale, bo czyliż on był zdolnym kogoś kochać? — sprzykrzyła mu się porządnie. Nie uznając nigdy w nienasyceniu swego samolubstwa pożytków, jakie z niej miał, uważał zawsze skrycie za ciężar tę wierną

niewolnicę, którą za tysiące jej psich usług i drobnych poświęceń konkubiny, daremnie wzdychającej do ślubu, trzeba jednak było ubierać, karmić i traktować przynajmniej jak żonę, nie zrobiwszy jej nią oficjalnie dla tem większej nad nią przewagi. Z jej śmiercią doznał uczucia, jak gdyby nie tracił, lecz zyskiwał; jakby odbierał jakieś zabierane sobie dobro, część swego domu, ogródka i spiżarni, kawał swego czasu i swej wolności, zagarniane dotąd przez drugą, nieodstępną osobę; jakby już odtąd niczem nie potrzebował się dzielić, z nikim liczyć, jak gdyby wszystko swoje miał na przyszłość posiadać, wszystkiego używać sam jeden! bez podziału!... Co za szczęście !!
Lecz przed miesiącem zaszedł fakt niespodziany. Marcysia, sługa, będąca w ich domu od lat siedmiu, od dziecka, pocałowałszy go uroczyście w rękę jednego wieczora, czerwona i zmieszana, poprosiła ze drżeniem, by ją uwolnił z obowiązku.

Ubawiony niespodzianką, rozśmiał się i zawołał:

— Oszalałaś ? Czyż ci tu u mnie źle, czy co ?... Skąd ci to strzeliło do głowy ?!...

A kiedy nie będąc w stanie wykrztusić odpowiedzi, stała onieśmielona, ze spuszczonei oczyma, dodał pobłażliwie:

— Idźno idź, nie dziwacz — i odprawił ją do kuchni.

Po jej odejściu rozśmiał się raz jeszcze sam do siebie i mruknąwszy: "zglupiała" — zapomniał o tem w pięć minut.

Ale po upływie dni kilku dziewczyna ponowiła śmielej prośbę, a choć ją zbureczał tym razem, zjawiała się z nią niebawem ponownie, powtarzając raz po raz w kółko swe żądanie w pewnych odstępach czasu, bez względu na jego gniew, śmiechy, perswazyje, obietnice, jak gdyby od powziętego zamiaru nie odwieść jej nie mogło. Najbardziej go jednak drażniło, że skoro zapytał o powód, stawała cała w pąsach i słowa z niej niepodobna było wydobyć.

Co u licha!... Zirytowany zagadkowym uporem, oświadczył z udaną, stanowczością, że jej nie puści, ponieważ mu jest potrzebny i basta.

W gruncie rzeczy jednak był w strachu. Jeżeli ta oślica wytrwa w swem niepojętem postanowieniu — co począć?

Wydała mu się bowiem teraz, kiedy zagrożony jej utrata, dopiero spostrzegł jej istnienie i wartość — nieocenioną !... I miałaby odejść? miałby ją postradać ?!... Ależ to przewrót formalny! to katastrofa!.. Jak bez niej się obejść? Kto ją zastąpi?

Był to filar gospodarstwa! nieoceniona sługa ze szkoły jego Władzi, kobiety, która żyła spiżarnią i kuchnią. Patrzyła ona lata całe, jak o niego dbano, znała na wskroś jego gusta i zwyczaje, potrzeby i słabostki lepiej niż on sam, oddający im się bezwiednie, wzrosła w atmosferze kultu dla niego i przejęła się nim. Postradać ją — znaczyło: stracić wszystkie dobre i miłe strony życia a znaleźć się w nieznanym, wrogich...

Nowa sługa!... brr!... sama myśl

o tem przerażała go. Wpuszczać do domu obcą zupełnie istotę, której nie znał, która nie zasługuje może na jego zaufanie, śledzić ją, strzedz, studyować, uczyć, wtajemniczać w święte reguły swego życia, tresować i urabiać z mudnie to zwierzę, które może nie nada się do tresury lub odpłaci zdrady, a potem szukać na nowo innej i przechodzić to samo po raz wtóry, trzeci, dziesiąty?... Ależ to się równa zburzeniu całego spokoju, zatruciu reszty swych dni, zamianie regularnego i cichego porządku żywota na awanturniczą egzystencję bez jutra!...

Nie!... Marcysi niepodobna z rąk wypuszczać!

I postanowił zatrzymać ją jak rzecz, jak niewolnika, jak swoją własność tytułem lat posiadania i używania, tytułem tego, że mu się tak podobało do stu dyabłów!..

Wtem przycisnąwszy ją do muru. zdołał nakoniec wydobyć tajemnicę jej prośby: oto... służąc u samotnego wdowca. Marcysia lękała się narazić na szwank swą sławę...

Jakże się uśmieła!...

— A niechże cię nie znam!... Toś sobie dopiero miała co przybierać do głowy!!... Ale czemużeś mi tego od razu nie powiedziała!... Ja myślałem, że niewiedzieć co... A to głuptas dziewczyna.

Teraz oczywiście da się sprawę załatwić paru żartami.

I wyłożył jej tonem przyjaznym i przystępnym, że o swoją reputację może być zupełnie spokojną. Nie przystoi?...

Głupstwo. A to czemu? Kto ma czyste sumienie, powinien drwić z plotek.

Odkrycie to jednak stawiało mu pierwszy raz w życiu przed oczy jej płeć...

Więc odczuwała bliskość mężczyzny?... jego bliskość!... Hm, a on nie zwrócił na nią dotąd uwagi, choć była, jak to spostrzegł teraz — i młodą i miłą.

— Za często ją miałem przed oczyma.

Zresztą nie był kochliwy. Władzia wystarczała mu zupełnie, nie budząc w nim wprawdzie nigdy zapалу

ale też nie pozostawiając przesytu. Naraz uczynił zdumiewające spostrzeżenie: od jej śmierci dobiegał już drugi miesiąc!... Tak jest, drugi miesiąc!...

Usłyszawszy w tej chwili skrzypnięcie drzwi od kuchni, przysunął się do okna i zerknął na podwórze. Marcysia wyszła z konewkami po wodę do studni. Naciskając z siłą pompę, kołysała lekko i elastycznie wyprężonym ciałem, którego bujne mięśnie rzeźbiły się wyraziście poprzez cienką i wiotką powłokę perkalików.

Bardzo przyjemne wzruszenie załaskotało go na ten widok w skórę od karku po grzbiecie i naraz wyskoczyły z jego ślimaczych myśli płochy pytania motyla: co się właściwie dzieć może w duszy dziewczyny?... Czy niepokoi ją jego bliskość, czy drażni chłód? A może ona tego właśnie chce, czego udaje, że się lęka?... Gdyby ją tak zbałamucić?... co?!... Byłby to chyba najpewniejszy sposób zatrzymania jej i przykucia do siebie raz na zawsze

a przytem jakież przyjemny!... Na wspomnienie rumianych policzków Marcysi i jej piersi dziewiczych zatrzymanie jej u siebie wydało mu się najświętszy powinnością dbałego

o swą opinię i dobrobyt mężczyzny.

Lecz jak się wziąć do tego?!... Zbałamucić dziewczynę... niełatwe przedsięwzięcie! Nigdy w życiu nie dokazał tej sztuki, nie nęcony ambicją także i w tym kierunku. Popsuty natręctwem kokotek, w dwudziestym drugim roku życia wpadł w ręce młodej wdówki, której tłuściutki

i spokojny młokos wydał się ideałem po starym, niedołężnym i zapitym mężu, więc zatrzymała go przez lat ośmnaście siłą swej wiernej służby, sprzymierzoną z jego lenistwem i brakiem smaku. — Zbałamucić dziewczynę... Wiedział on w końcu teoretycznie, jak się to, mniej więcej robi — ale wykonać?... To było stanowczo za trudne, za nużące dla jego niezdolności do czynu, w którą popadł, wiodąc byt bez troski, jak drób karmiony sztucznie, popada w niezdolność szukania sobie żeru.

Obmyślając mozolnie misterne plany, których nie wykonywał z braku odwagi, zręczności lub okazyi — zaatakował nagle cnotę dziewczyny tak niezgrabnie i nie w porę, że popsuł od razu całą sprawę.

Wybuchnąwszy gwałtownym płaczem znieważonej niewinności, załkała żałośnie:

— Widzi pan?!... Nie mówiłam?!... Teraz mnie pan już musi puścić, żeby tam nie wiem co!... Za nic w świecie nie zostałabym dłużej jak do pierwszego...

Był bardziej, niż ona zaczepką, zawstydzony fiaskiem. Dziewczyna była uczciwą, nie miała żadnych grzesznych rachub — teraz wszystko przepadło!...

Przez dwa dni nie śmiał jej w oczy spojrzeć, chował się przed nią jak złoczyńca i łamał głowę, jak zażegnać fatalne następstwa swej niezręczności. Do pierwszego pozostawały zaledwie dwa tygodnie!... Po pierwszym miał zostać sam, bezradny jak paralityk, którego wózek, porzucono na środku drogi...

Uczuł niezbędność energicznego działania. Ponieważ figlami nic nie wskóra, nie mając do tego talentu ni wprawy, należy więc przemówić do rozsądku dziewczyny. Przywoławszy ją do siebie, oświadczył, że powinna zapomnieć o wszystkim, co zaszło, i zastanowić się dobrze nad tem, co jej uczynić wypada. Wszak tyle lat było im dobrze razem — dlaczegóż nie mieliby pozostać z sobą nadal... jedno obok drugiego... we dwoje ?...

— Przyjmę ci kobietę do posług i bądźciez sobie jak nieboszczka pani...

Była to formalna propozycja małżeństwa na lewą rękę.

Ale Marcysia nie chciała o niczem słyszeć. Z zadziwiającą niewzruszonością zasad i wszelkimi oznakami niekłamanego wstrętu odtrąciła zgorszona ofertę. Daremnie misterną argumentacją starał się zbić jej skrupuły, powoływał się na swój przykładowy stosunek z nieboszczką, zapewniał, że to się bardzo często zdarza, że temu nikt się nie dziwi, a tylko głupcy się tem gorszą, że doła, jaką

jej ofiarował, w niejednej budzić będzie zazdrość. Wszystko, co mówił, uważała za nową, tylko racyę do opuszczenia jego domu jak najprędzej.

Co tu robić ? Co robić ?... Za tydzień więc odejdzie! opuści go i ta druga, osieroci tym razem naprawdę...

Zachowanie dziewczyny było jednak w dalszym ciągu nienaganne. Żadnych dąsów, żadnego lekceważenia najdrobniejszej z powinności. Z wzorową precyzją długoletniej rutyny uwijała się niezmordowanie po kuchni, domu i ogródku, lekka, zwinna i uśmiechnięta, podsuwająca mu najulubieńsze przysmaczki, ciągle zajęta myślą o swym panu i jego wygodkach, przepasana zawsze świeżym fartuszkim, czysta, pachnąca młodością i rumiana, dziwnie smaczna z obnażonemi po łokcie jędrnemi łapkami młodej, zdrowej gosposi. Zdawałoby się mogło, że daje z umysłu koncert swych nieocenionych zalet w oczach ciężko strapionego służbodawcy, w którego duszy robiło się żalobnie na myśl. że niedługo

będzie musiał utracić ten skarb, pozostawiony mu w spuściznie przez zmarłą, która ją, odnalazła, odchowala, wykształciła i urobiwszy na jego pożytek, gdy dzieło było skończonem, odeszła, jak gdyby spiesząc ustąpić miejsca godniejszej...

Wówczas jałowy mózg Fabiana zdobył się na pomysł genialny.

— A więc dobrze!... — rzekł jej — ożenię się z tobą. kiedy tak... Oddawna miałem to na myśli, chciałem cię tylko wybadać... Ponieważ widzę, że jesteś naprawdę uczciwą dziewczyną, przekonam cię, jak dobrze ci życzyłem...

I po raz drugi, śmielej tym razem, począł się do niej umizgać, a conto przyszłego związku. Ale dziewczyna miała z swej strony równie genialne natchnienie, jedno z tych natchnień zwykłego kobiecego instynktu, jakie niektórym biedaczkom pomagają czasem robić tak zwane świetne partye. Nie dała się złapać na podstęp. Czyż nie słyszała tyle razy przez drzwi od kuchni zmarłej, daremnie usiłującej lata całe

wyżebrać od wyrachowanego egoisty ślub, ten wymarzony, najwyższy awans kobietygęsi. który urzędownie stwierdza tryumf jej płci i zabezpiecza egzystencję.

— Do stu dyabłów! — obruszył się Fabian w duszy na jej opór — ależ nie ożenię się z nią przecież naprawdę!... Służąca!... własna służąca!... Marcyanna Ząbek moją żoną!... Phi! Tego by tylko brakowało!...

I wydał się sobie naraz zbyt wysoko urodzonym do podobnego mezaliansu, zagrożonym w opinii, wystawionym na śmiech, wzgardę i szyderstwo, zdegradowanym towarzysko i społecznie, zdyskredytowanym intelektualnie i moralnie, gdyby coś podobnego uczynił. Nie! nie!! Raczej całe życie cierpieć wszelkiego rodzaju przykrości i niewygody, niżeli tak nisko upaść!

A jednak kawusia i herbatka, podana ręką Marcysi!... Jej zupki, rosoly, jarzyny, pieczone!... Jej leguminki!... Rozkoszny ład, jaki utrzymywała dokoła!... Błogie niebo sytości i wygod, w jakie umiała zakląć

dom ta dwudziestoletnia rumiana i jędrna czarodziejka, nie umiejąca wprawdzie pisać i chodząca w pstrokatej chustce na głowie, ale jaka mistrzyni w gotowaniu!... Jaka mi strzyni!

I odtrącając "głupie" przesady, nad które zawsze umiał się wznieść, kiedy mu szło o brzuch — postanowił w końcu po długiej walce ożenić się z nią naprawdę, przekonany, że zrobi złoty interes, jeśli przykuje do siebie na zawsze tę istotę prostą, uczciwą, potulną, pracowitą, która bez granic będzie mu wdzięczną za świetny los, jakim ją w swej wspaniałomyślności w nagrodę cnót jej obdarzyć raczył.

Krok taki wydał mu się nawet teraz, po przebytej walce, skoro się z nim już pogodził, na wskrós nowoczesnym, demokratycznym, liberalnym. Pomyślał, że na coś podobnego nie każdy zdobyćby się potrafił, że potrzeba było tutaj mieć duszę śmiałą, wolną, a umysł rewolucyjny. Zdumiony ilością odkrytych naraz w sobie zalet — ogromnie

z siebie i swego czynu był kontent.

W pół roku po ślubie oboje małżonkowie zmienili się do niepoznania. Marcysia, zrzuciwszy kwiecistą spódniczkę, sługi, stała się zupełnie inną kobietą. Utyła, nabrała rezonu i pańskiej buty i trzęsła domem, gdy tymczasem on zmizerniał, spokorniał i z absolutnego pana i władcy stał się potulnym wykonawcą rozkazów kobiety, która z po za cebrzyka i balii przypatrując się jego pożyciu z inną, odgadła, w jaki sposób do mężczyzn brać się potrzeba. Co rano polewa dzisiaj Fabian swą żonkę świeżą, orzeźwiająca wodą z blaszanej koneweczki, według metody Kneippa, poczem obrzuca ją płaszczem z grubego płótna, wyciera starannie jak łaźiebna, pomaga ubrać się, nadskakuje na wyścigi z nową służącą przy śniadaniu, z promiennym uśmiechem szczęśliwca i komiczną czułością zakochanego orangutana, mozolnie ubiegając się o najmniejszy objaw jej łaski — on!...

którego tutaj czczono!... przed którym zmiotano prochy, który był niegdyś w tym domu przedmiotem religijnego niemal nabożeństwa, jak brzuchate bożki bałwochwalców.

ROŻŻALONY.

ROŻŻALONY.

— Stój! Dokąd tak pędzisz?... Jaki zachmurzony?!... Siadajno... Co ci jest?

— Szukam świadka.

— Żenisz się? procesujesz?...

— Nie. Pojedynkuje.
— Do diabła!... Wyzwany?..
— Wyzywam.
— Kogo?
— Karola.
— Karola?!..
— Karola.
— Niepodobna.
— Daję. słowo.
— Najserdeczniejszego z przyjaciół wczoraj jeszcze!..
— Jeszcze dziś rano.

— Cóż się stało?..
— Czy zechcesz mi sekundować?
— Hm... to zależy od sprawy..
— A prawda. Posłuchaj zatem. Masz rację. Karol był rzeczywiście najserdeczniejszym z moich przyjaciół..
— Tak wszyscy myśleliśmy..
— Ja sam tak myślałem. Takim się ufa?..
— Hm... tylko takim... — We wszystkim ?
— Hm... naturalnie.
— I ja byłem tego zdania, tymczasem... Posłuchaj.

... Pół roku temu siedzę sam jeden u siebie w domu, uwięziony straszliwym deszczem. Siedzę i nudzę się. Myślę sobie: jakby to dobrze było mieć jakiś stały stosuneczek, lekki, miły, dyskretny, jak to bywają, w powieściach francuskich, z kobietą, z którą, lub u której można by spędzać takie szkaradne dni i zamieniać je w piękne. Wzdychałem oddawna do takiej znajomości.. gotów byłem nawet sporo na nią... wydać... Ale ja nie mam szczęścia!... Karol je ma.

Zwierzałem mu się nieraz z moim marzeniem.

... Jakby je teraz podsłuchał — drzwi nagle otwierają się i wchodzi strugami wody oblane dwie osoby: on — i kobieta.
... Nie znałem jej. Była młoda, ładna, trochę zakłopotana, bardzo przyzwoita, ubrana skromnie, ale z szykiem. Bardzo miła!

... Karol przedstawia mnie — jej imienia nie wymieniając. Nie wiem, co o tem myśleć.

... Poprosiłem ich siadać, trochę zmieszany, trochę zdziwiony — ale nie zanadto. Karol w towarzystwie ładnej kobiety — cóż w tem dziwnego!... Jego się z innymi nie widuje. Począłem bąkać, że... bardzom rad... że, nie wiem, czemu mam do zawdzięczenia... aby coś z nich wydobyć. Lecz Karol jakby udawał, że mnie nie rozumie. Zresztą ulewa tłomaczyła ich do pewnego stopnia: byli bez parasoli, deszcz dał mi to miłe najście...

... Bardzo miłe!... Nieznajoma zachowywała się bez zarzutu, z lekkim

onieśmieleniem, zresztą... ot, urodziwa mieszczańeczka... średnia ilość powierzchownej oglądy i dużo sztuki podobańia się. Ogromnie miła! Pochłaniałem ją, oczyma i w ogóle od jej wejścia zdawało mi się, jakby... Wiesz przecie, co z nami robi widok ładnej kobiety. Karol zaś był dla niej pełen respektu.

... Naraz wstał i z słowami:

"Pani pozwoli, że przyprowadzę dorożkę?..." — wyszedł.

... Zostajemy sami... Na mnie buchają ognie!

... Lecz zawiązuję na gwałt rozmowę, aby wyzyskać kilkuminutowe sam na sam. To mnie uczyniło wymownym a nawet dowcipnym... Ożywiła się stopniowo, rozśmiała się parę razy, usiadła swobodniej i zaczynamy się powoli bawić.

... Tymczasem deszcz ustał — a karetki nie widać. Minęła godzina, zrobiło się ciemno a Karol nie wraca — i ona, powstawszy chce iść, mimo mych prośb, żeby została... skoro już jest tutaj... Nie mogąc nic wskórać:

"Odprowadzę panią" — zaproponowałem.

... Nie przystała.

"Ale będę miał szczęście jeszcze raz panią zobaczyć?..."

... Prosiłem bardzo czule i po pewnym targu zdołałem z jej ust wydobyć dosyć niewyraźne przyrzeczenie schadzki, przyzwoitej schadzki w samo południe, w pryncypalnym punkcie ogrodu miejskiego. Ściskając jej rękę przy pożegnaniu, starałem się dać jej poznać spojrzeniem, miną, postawą, że jestem podbity. Sposób, w jaki się odwzajemniła, nie przyrzekał niczego, lecz nie odbierał nadziei. To było dla mnie wystarczającym na pierwszy raz.

.. Oszołomiony, uradowany, zaintrygowany, cały wieczór rozbijałem się za Karolem, aby go wybadać. Nie zdołałem go złapać aż nazajutrz. Uśmiechnął się tajemniczo, może trochę ironicznie, na moje zapytanie i nie dał mi żadnej określonej odpowiedzi.

"Masz z nią schadzkę?" — zapytał tonem twierdzenia, jak inkwizytor.

... Wyparłem się.

"Więc miałeś?"

... I to nie.

" W takim razie staraj się ją uzyskać, skoro ci się tak podobała."

"A czy zdołam?.."

"To zależy zawsze od starającego się. "

"Ba! gdybym nie był pechowcem !"

"Trzeba umieć drwić z pechu." ... Wtedy wyznałem mu z dumą, że otrzymałem rzeczywiście schadzke, nie chciałem jednak korzystać z niej, nie wybadawszy wpierw, czy on nie będzie mieć coś przeciwko temu.

"Dziwny skrupu!" — zauważył i zdaje mi się, że się przy tem uśmiechnął po raz drugi.

... Uspokojony, zacząłem go rozpytywać, kto jest ta kobieta? Odpowiedzi jego były niedbałe, żartobliwe lub wymijające. Mogłem tylko tyle domyślić się, że jest najprawdopodobniej wdówką... albo rozwódką... albo dziewczyną, która, jak to mówią, zapomniała się co tylko... Zresztą nie powiedział tego wprost — rozłakomił mnie jednak do najwyższego stopnia...

"Powiedz mi przynajmniej, gdzie mieszka?"

"Wszak masz się z nią widzieć, powinna ci to sama powiedzieć".

... Nie powiedziała. Dowiedziałem się natomiast wielu innych rzeczy przy tem spotkaniu w dzień jasny, w potopie słońca. Była bardzo świeżą i wcale łaskawą.

... Po jednym jeszcze platonicznem spotkaniu została, prawie niespodzianie, moją kochanką u mnie w domu, w największym sekrecie, w bardzo przyzwoity, szlachetny, estetyczny sposób, który mnie oczarował, napędzając bezgraniczną rozkoszą ziszczonych nadziei.

... Miałem więc nareszcie przyzwoitą kochankę!... młodą, ładną, bezinteresowną, ani za chudą ani za tłustą, tak jak w francuskich powieściach, zupełnie w moim guście!... Zdawało mi się, że umie kocha, że będzie, że już zaczyna mnie kochać — co do mnie, zadurzyłem się w niej po uszy.

... Trwało to całą wiosną, całe lato. Spotykaliśmy się głównie u mnie w domu, bo postawiła taki warunek.

Tylko nazwiska swego i mieszkania wzbierała się powiedzieć, w taki jednak uroczy sposób, który rozbrajał moją ciekawość.

... Czyż nie jest zresztą obojętnem, na której z stu ulic mieszka i jakie z tysiąca nazwisk nosi? — skoro dwa razy w tygodniu składa mi niewątpliwe dowody, że kocha mnie tak, jak żadna nie kochała mnie przed nią?!..

... Robiliśmy także wycieczki za miasto, do lasu i na wieś w towarzystwie Karola, który patrząc na nasze karesy robił trochę protekcyjne miny jak człowiek, co czuje się sprawcą cudzego szczęścia. Podejrzywałem go naturalnie mocno, że je po nim dziedziczy, nie martwiłem się tem jednak. Taki poprzednik!... byłem dumny z poprzednika i z spadku.

... Wobec niej Karol był zawsze pełen taktu, traktował ją z wyszukaną uprzejmością i całował w rękę. Uparcie tylko milczał. Lecz raz, rozdrażniony tajemniczością, jaką ją otaczał, zdołałem z niego wydobyć jej adres. Wyrzucił go z ust opry

skliwie, jakby myślał, "masz czegoś chciał". Przez chwilę zdawało mi się, że czeka na moją odpowiedź i że mnie obserwuje. Nie doczekawszy się niczego, dodał:

"Ale nie chodź tara".

"Dlaczego?"

"Zrobisz jej przykrość i sobie".

"Sobie?!... "

"No tak — skoro zobaczysz, jak to zostanie przez nią przyjętem".

... To mi wystarczyło. Nie chciałem robić przykrości jej ani sobie. Zresztą od chwili, kiedy mogłem pójść, zdobywszy adres, straciłem do pójścia ochotę.

... Stosunek nasz trwał w niezmiennej sile. Przywiązałem się do niej tak, że przestałem zwracać uwagę na inne kobiety. Mając ogromnie dużo do walczenia z jej oporem, ile razy próbowałem dać wyraz mej wdzięczności w formie najdyskretniejszego choćby podarunku — a nakazywały to jej skromne toalety — zacząłem myśleć o trwalszym zabezpieczeniu jej bytu, a założeniu dla niej sklepiku lub pracowni, bo coraz

częściej nawiedzającą mnie pokusę urzędzenia sobie życia we dwójkę odpędzała straszliwie przykra myśl o kochanku, jakiego musiała mieć przedemną...

... Tymczasem nagle dzisiaj napadła mnie ni stąd ni zowąd piekielna ochota zobaczenia się z nią, chociaż nie umówiliśmy się wcale. Pisać? — nie znałem jej nazwiska. Pójść do niej!...

... Walczyłem z sobą cały wieczór — w końcu poszedłem! tak jest, popełniłem to szaleństwo, a raczej... Czy ja wiem!... Dość, że poszedłem...

... I co tu dużo gadać: wiesz dlaczego Karol i ona tak niewzruszenie przemilczali jej adres i nazwisko!... Jest kokotką! mieszka w pensjonacie!... Zobaczyłem ją na własne oczy podającą palto jakiemuś kantorowiczowi, ubraną — o ile się tak wyrazić wolno — w najgłębszy negliż.

— I cóżes uczynił?

— Wrzasnąłem na całe gardło jakieś bardzo obrzydliwe przekleństwo i uderzywszy z wściekłości laską aż pękła w drzwi, które mi zatrza

snęła przed nosem ze wstydu czy strachu — uciekłem... Biegnę wprost stamtąd.. Szukam Karola... a raczej unikam go, aby się na niego nie rzucić!... Widzisz przecie, że muszę go wyzwąć!... Czemu nic nie mówisz?... Ty się śmiejesz?...

— Ależ tak! do pioruna!...

— Nie myślisz go chyba bronić?

— Ani obwiniać.

— Oszalałeś?...

— Bynajmniej.

— Więc bierzesz jego stronę?

— I to nie, patrzę tylko na wypadek z zimną krwią, której tobie brak.

— Ba! to całkiem naturalne...

— Ale niepotrzebne.

— Mam się może śmiać, cieszyć?

— Z ust mi to wyjąłeś. Powinieneś się bawić wyborym figlem.

— Proszę cię, nie żartuj!

— Ależ ja nie żartuję!.. Zastanów się tylko, co robisz... Splatano ci psikusa — wielkie rzeczy! i komuż się to nie zdarza!... Lecz co na tem straciłeś? — pytam. Nic! — zyskałeś raczej. Przez pół roku za cenę kilku

podarunków miałeś przyjemne złudzenie, że kochasz tzw. kobiety uczciwą — które inni z równym prawem miewają całe życie, płacąc za swą łatwowierność swojemi dochodami, swoją pracą, swoim nazwiskiem. Kochanka twoja miała duże zalety, sam to przyznałeś — brakło jej tylko etykiety, wymaganej przez twoją próżność; szampan był wyborny, podano go tylko w niedość paradnej butelce. Ależ etykiety tej ona nie sfalszowała — chciała tylko pozostać bezimienną. Nie okłamała cię ani słówkiem — to ty okłamywałeś sam siebie i masz teraz o to do niej i do niego pretensję. Prócz tego, kto wie, czy nie sprawiłeś może ze swej strony — tej sprzedajnej wielkiego, szczerze upragnionego szczęścia, pozwalając i jej także zakosztować złudzenia, że jest uczciwą, jaką musiała być kiedyś, że jest pieszczoną i całowaną z prawdziwym biciem serca, bez wzgardy, że ją ktoś jeden przecie kocha naprawdę, nie kupuje. Ta kokotka dawała ci może więcej, niż ofiarować by ci

mogła niejedna dziewczyna uczciwa na jej miejscu — bo dawała ci opierający się nawet tej brudnej atmosferze, w którą lichy wie co ją wtrąciło, popęd do miłości bezinteresownej. Czy Karol, podsuwając ci ją, chciał spełnić jej

marzenia, czy twoje, czy zakpić sobie z kogoś, — nie wiem, dość że cię przestrzegł wyraźnie: "nie chodź tam, bo zrobisz przykrość jej i sobie". Sam widzisz, jak dobrą była rada, nie chciejże mścić się na nim za to, żeś jej nie usłuchał.

— Paradny jesteś! Więc koniec końców ja mam mu może jeszcze dziękować, że mnie wystrychnął na dudka?...

— Nie bierz tego z tej strony. Powinieneś się pierwszy śmiać z całej farsy, to rzecz główna, dalej wyprawić dla niego i dla niej bankiet, na który i ja byłbym zaproszony i zobowiązać Karola, aby ci jak najwięcej płatał równie zabawnych psikusów, jakby z francuskiej powieści. Ja przynajmniej tak bym postąpił na twojem miejscu.

ANIOŁ I MAŁPA.

ANIOŁ I MAŁPA.

Pewnego rana w marcu Gwiazdoń, po bardzo burzliwym karnawale przespawszy pierwszą noc uczciwie, w domu, na własnym łóżku, znalazł słońce, niebo, świat cały tak cudownym, że mu się naraz, w pięć minut po wyjściu na ulicę, zachciało na gwałt malować. Co?... sam nie wiedział, byle tylko malować, nic, nic innego!... Istniejeż rozkosz większa? pełniejsze, słodsze użycie?... Tak, uczuł w całej potędze ów gwałtowny, nieprzeparty, sobie właściwy wściekły poryw wywarcia na jakiejś nagiej, pustej płaszczyźnie wezbranych energii swej młodości za pomocą setek, tysięcy

smug i kleksów, które latały mu, mieniać się wszystkimi barwami, w twórczej kamerze duszy, jak zbuntowane nagle dyabły, szukające wyjścia na zewnątrz, aby tam wyprawić nieprzewidzianą jeszcze przez świadomość ale już w centrach mózgowych wytkniętą orgię natchnienia.

Nie wiele namyślając się, zamiast tracić czas na powrót do domu, wtargnął jak burza do mieszkania najbliższego z kolegów, wywlókł go z pod kołdry gwałtem, wrzeszcząc o płótno, jakiegobądź czyste, niepotrzebne płótno!... wielkie jak ćwiartka papieru albo jak ściana, wszystko jedno, w każdym razie lepiej jak ściana.

Na sztaludze stał właśnie świeży bleitram, szeroki na dwa łokcie, wysoki na cztery. Wybornie! takiego mu właśnie potrzeba. Należy go tylko obrócić w poprzek, nie lubił wysokich formatów.

— Gdzie pudło z farbami?... Zabieram ci to płótno...

— Bój się Boga! zwaryowałaś?!...

To pod pilny portret... dziś pierwsze posiedzenie... Wziąłem zadatek!...

— Wziąłeś?... Tem lepiej. Masz pewność, że portret ci się nie wymknie.

Porwawszy pędzle, paletę, nałożył na nią z tubek farb i nie pytając o pozwolenie wziął się do pracy. Malował jak furyat do samego wieczora, prawie całe godzin dziesięć, aż zmierzch i znużenie zatrzymały jego galopujące po płótnie ręce.

Wtenczas odrzucił przybory, otarł z twarzy strugi potu, odsapnął i zakławszy wesoło, jak szermierz, wychodzący zwycięzko z męczącej walki, wyrzucił stłumionym tchem:

— A tom się zmachał... Teraz jeść, jeść!.. pić!... i palić...

W taki sposób powstało najlepsze z Gwiazdoniowych płócien, przepyszny szkic, zatytułowany przezeń: "Anioł i małpa".

Była to symboliczna scena, rozgrywająca się napół w świecie fantazyi, napół w rzeczywistości. Wśród zbitej gęstwy tropikalnego lasu kosmaty goryl, połączenie człowieka, satyra, dyabła i małpy, porywał wpół

żelaznemi ramionami atlety eteryczną, skrzydlatą postać dziewicyanioła i rzucał ją potężnym ruchem w błotnistą kałużę, z dzikim, tryumfującym uśmiechem spełnianego gwałtu — dokoła zaś, w pewnym oddaleniu od króla lasów, całe stada zwierząt i płazów, małpy, świnię, pantery, ropuchy, węże, z pysków powykrzywianych chichotem szatańskiej radości, podnosiły jedno wrzaskliwe wycie aplauzu na widok zwycięzkiego pojedynku brutalnej siły z nikłym, powiewnym ideałem.

W tym świetnym wybuchu malarskiej twórczości jedna rzecz była słabą: anioł — właściwie puste miejsce, którego Gwiazdoń nie zdołał w pierwszym rozmachu natchnienia zapełnić, naznaczwszy zaledwie paru niewyraźnemi liniami, co w tej części obrazu figurować miało. W tryumfie małpy nad aniołem brakło anioła.

Kiedy to płótno obejrzeliby koledzy i kręcący się po pracowniach miłośnicy, powstał zgiełk niekłamanego podziwu dla młodego malarza, którego każda praca dotąd była no

wym, zdumiewająco śmiałym skokiem samorodnego talentu, torującego sobie z żywiołową mocą po niedostępnych bezdrożach sztuki własną ścieżkę na nowe szczyty. Okrzykiwano go entuzjastycznie mistrzem i zaklinano, aby copędzej wykończył malowidło, a raczej domalował jedyny brakujący szczegół: anioła, — a puści w świat arcydzieło. Na nieszczęście Gwiazdoń, dziwak, jakiego świat nie widział, nie dotknął się więcej obrazu. Wydrwiwał pochwały, odrzucał ofiarowane sobie honoraria, szydził z szkicu bez litości, byłby go zniszczył, gdyby mu w tem nie przeszkodzono. Lecz płótno znajdowało się w pracowni kolegi. Po tym jednym, jedynym od kilku tygodni czy miesiący dniu pracy, powrócił znów do pijatyk, gry i dziewcząt.

— Bój się Boga! szaleńcze! co ty robisz?!... Zabijasz talent!... odpędzasz sławę z pod samych drzwi, zamiast je przed nią na rozcież otworzyć!

— Przyjdzie do mnie sama, nie

bójcie się. Mam szalone szczęście do kokot, — odpowiadał.

— To skończone przynajmniej "Anioła".

— Po co?... Wymaluję dziesięć lepszych.

— Więc je maluj!...

— Nie spieszy mi się.

I poradź tu co z takim. Gdy inni zameczali się pracą, wydzierając sztuce w pocie czoła kruszyny jej tajników, ten dyabeł, który niemal od pierwszego ujęcia węgla w rękę odciskał na każdym studyum, szkicu, swe kopyto, jakby stempel piekielnego czaru mistrzostwa, w który spodobało się go wyposażać przyrodzie, — zdawał się drwić z tego, czego mu na wszystkie strony zazdroszczono, czem wzbudzał cześć i podziw. Artysta na wskroś, choć więcej jeszcze rozpustnik niż artysta, pracował jak za pańszczyznę. Nigdy nie kontent, z światła, z modeli, z pędzli, zawsze uskarżający się na brak jakiejś niezbędnej farby, — kiedy koledzy wypatrywali oczy na model, on kręcił się koło ich sztalug, szu

kając tylko pozoru, aby drapnąć z pracowni i znajdywał go zawsze. Większego lenia doprawdy nie znano, niż Gwiazdoń.

Naraz porywał go za kark szatan twórczości. Zdawało się, że jakaś kolorowa plamka, jakaś zajmująca linia modelu zahaczyła mu się o oczy, oplątała jego uwagę i zbudziła w cyganie artystę. Ni ztąd ni zowąd brał za pędzel, siadał bodaj przy cudzem, rozpoczętem już płótnie i wkręciwszy uparte oczy jak dwa stalowe, nieublagane świdry w pejzaż lub figurę, kilkudziesięciu zuchwałemi machnięciami pędzla, które nie rozprowadzały farb ale zdawały się niemi bryzgać niedbale, wbrew wszelkim prawidłom, przygwałdział do płótna łudzące prawdą wizye przedmiotów. To też aktu, do którego wśród innych zabrał się Gwiazdoń. koledzy nie kończyli nigdy, wiedząc z góry, że ich pobije na

głowę. Woleli, stanąwszy mu za plecyma z założonymi rękami, zdumiewać się, po raz lichy wie który, nierozwikłanej zagadce, jakim sposobem bezczelne zachłapanie płótna wszyst

kiemi jaskrawymi kolorami, jakie tylko są w pudle, może w przeciągu półtorej godziny zamienić kawał gruntowanej szmaty w dzieło sztuki?!... Jakże ten rozbójnik ma ręce? co za mózg szczególnej budowy? co się u niego dzieje w oku?... że może tak patrzeć, tak widzieć i tak oddawać?!... Podziwiali go do tego stopnia, że nie byli mu nawet w stanie zazdrościć. Oburzało ich natomiast świętokradzkie marnotrawstwo, jakiego się na danych sobie przez naturę skarbach dopuszczał.

Ale Gwiazdoń — szczerze czy dla poży — drwił z ich bożyszcza.

— Sztuka! sztuka!... — szydził — i czemuż jest w gruncie rzeczy ta bańka tęczowa, jeżeli nie kroplą brudnych mydlin, wydętych na jedną sekundę tchem goniącego za pieniędzmi i sławą, dzieciaka. Ci tylko mogą brać te figle na seryo, którym one przychodzą z trudnością.

I pracując tylko w ostateczności dla napełnienia kieszeni, zamiast zasypywać świat arcydziełami, których spodziewano się po nim powszechnie,

tracił dnie i noce, targał siły na grze, picciu i kochaniu.

* * *

Naraz znikł z horyzontu. Niektórzy mówili, że wyjechał, inni przypuszczali, że pracuje, widywano go podobno o różnej porze i w różnych miejscach zapatrzonego w niebo, w domy, w grupy drzew i ludzi w jemu właściwy badawczy sposób, który, bez użycia farb i ołówka, zdawał się stanowić jego studia. Ugruntowało się podejrzenie, że poczuwszy nareszcie w piersiach ambicje urodzonego artysty, pragnie odrobić stracony czas i przygotowuje w skrytości długo oczekiwaną skończoną pracę, godną jego wielkiego talentu.

* * *

W parę miesięcy potem ukazał się po raz pierwszy na ulicach miasta wsparty na ramieniu sługi, z oczyma zasłoniętymi przez czarne okulary. Zauważono wprędce, że nie wita się

z nikim pierwszy, odwzajemniając natomiast skwapliwie ukłony, którymi go zaczepiano.

Jeden z blizkich znajomych, tknięty martwością miny, z jaką Gwiazdoń odpowiedział kapeluszem na jego nieme przywitanie, nie mógł powstrzymać ciekawości i przystępując doń zawołał:

— Jacek! jak się masz?!...

Zagadnięty zmieszał się. Dookoła czarnych, milczących szkielec, po za którymi kryły się niewidzialne oczy, rozlał się po twarzy Gwiazdonia rumieniec bezradnego zakłopotania.

— Przepraszam — bąknął starając się uśmiechnąć — ale nie poznaję...

— Do diabła!... Mnie nie poznajesz? Walerego?!... Cóż to za żarty!...

— Ach! to ty!... Wybacz... Po głosie widzisz nie nauczyłem się jeszcze rozeznawać ludzi... a oczyma już nie mogę...

Ośleplem.

— Nieprawda!...

— Tak jest mój drogi — całkowicie i na zawsze. Zdejmuję kapelusz,

kiedy mnie mój przewodnik trąci. Ale zatrzymaj to przy sobie proszę. Jako malarz nie mogę przyznawać się do ślepoty tak od razu...

Tamten spojrział na niego zdziwionym i przerażonym, ale już tym szczerym, wolnym od instyktownego kłamstwa wzrokiem, jakim się patrzy w twarz niewidzącego.

— Widzisz — objaśniał Gwiazdoń, wzięwszy towarzysza pod ramię — jest ktoś, co mi płaci na kosztą leczenia, wierząc, że odzyskam wzrok zupełnie — udaję bowiem, że go jeszcze posiadam trochę — i że mu odrobię z lichwą pomoc. Ten... Krypciński... co tak szczerze kocha sztukę i tak chętnie pomaga artystom, zarabiając na nich jak żydzi na bankrutach, sto za sto... Nie wiem, czy sobie przypominasz, że nie chciałem nigdy nic sprzedać brudasowi, chociaż spokoju mi nie dawał. Dziś czasy się zmieniły, dziś ja jemu zaproponowałem dokończenie "Anioła i małpy", jeżeli mi da środki na kurację... Ha, ha... będę jedynym chyba z artystów, który orznął zacnego me

cenasa... Nie robię sobie z tego jednak żadnego skrupułu. Odbiorę, zaledwie małą czystkę tego, co zarobił na innych...

— Nie! nie!... To niemożliwe... Ty musisz wyzdrowieć choćby dlatego, ażeby obraz skończyć...

— Och jeżeli tylko dlatego, to dobrze się raczej stało, że ośleplem.

— Nie rozumiem cię.

— Ukończenie płótna ucieszyłoby co najwyżej któregoś z zbieraczy, dla mnie osobiście byłoby krokiem na dół. Pojmij przecie, że ja — ja! nie mogłem po prostu skończyć "Anioła i małpy". Zrobiłem tyle, na ile mnie było stać.

Wymalowałem ciemny, zachwaszczony las i zgraję dzikich zwierząt, jaka go zaludnia. Najmocniejszy ze zgrai przywalił cielskiem i dusi — co?... Nawinał mi się w chwili malowania pod pędzel konwencyonalny symbol ideału: anioł, wasz aniołek, odziedziczone po przodkach bawidelko na osłodę chwil wolnych od znoju i brudów świętej, krwiozerczej walki o byt, aniołek biały, liliowy, czysty. jak świeżo uprana

chustka do nosa, aż mdło. Ten nonsens, przerwawszy mi pracę, ocucił mnie natychmiast. Zamazałem potworka, poczętego w kazirodczym spłynięciu się mego własnego pomysłu z podszeptem z zewnątrz i obraz pozostał kaleką" z dziurą, w środku. Były chwile, żem ją chciał załatać. Znalazłem nawet bardzo przyzwoity sposób. Chciałem pod pięściami zwycięzkiego goryla umieścić inną, drugą, słabszą małpę: siła zwycięża słabość a nikczemność śmieje się dookoła i klaszcze; malowidło odzyskałoby sens. Miałem nawet zamiar tej drugiej, pobitej, słabej małpie przyprawić skrzydła, tak jak je moi koledzy w sztuce przyprawiają w swych dziełach małpie zwanej człowiekiem, a czasem lwom, krokodylom i koniom. To by nawet było bardzo oryginalne — co?... Lecz pomyślałem: po co?!... Po co psuć pracę, powstałą w warze szczerości, na zimno dosztukowanym konceptem? Tak jak jest — niedokończony — dla tych co mnie znają szkic będzie sto razy wymowniejszym. Wyrzuciwszy jednym tchem na płótno

to co znam i czuję, zatrzymać się przed fikcją...

— Ideał nie jest fikcją.

— Nie?... Jeżeli nią nie jest — objaśnij, proszę, gdzie go szukać?

— W duszy własnej.

— Ha! ha. ha!... Prawda!... Jest to przecież opatentowany we wszystkich krajach przybytek wszechideału — własna dusza!... Każdy z nas przynajmniej tak o swojej sądzi, co nie przeszkadza wcale, że wszyscy razem wzięci, mimo ideałów, porozkładanych w witrynach dusz naszych, jak pozłociste edycje arcydzieł w salonie zubożonego oszusta, łudząco przypominamy towar Hagenbecka.

KUBUŚ.

KUBUŚ.

Kubuś — to mój służący.

Aby nikogo nie nudzić drobiazgową charakterystyką, powiem treściwie: większego łotra świat nie oglądał. Wziąłem go, złapawszy się na jego głupią minę, sam nie wiem, dlaczego trzymałem go całe dwa lata, a oto czemu go w końcu postanowiłem bezwarunkowo wypędzić.

Pewnego wieczora bawiłem się długo u jednego z znajomych. Żenił się. Za dwa dni miał się odbyć ślub, urządzał więc pożegnanie kawalerskiego stanu. Łatwo się domyśleć, co tam się działo, niepodobna jednak przytaczać szczegółów. Stan kawalerski żegnają uroczyście tylko skoń

zione łobuzy, tacy, co nimi całe życie zostają. Zresztą nazajutrz, po przebudzeniu, pamiętałem z szalonego wieczora tylko dwie rzeczy: że się straszliwie upiłem — i że dałem sobie rendez = vous z jedną z uczestniczek tej fety, oto wszystko. Kto ona była? gdzie?.. jak? kiedy mieliśmy się spotkać? — żeby mnie kto ubił nie umiałbym być powiedzieć. Zapamiętałem tylko, że była młodą, bladą, szczupłą, wesołą brunetką z zadartym noskiem i nieskończone małemi ustami, za jakimi krwiożerczo przepadam i że ją tam widziałem po raz pierwszy.

To śliczne zwierzątko musiało na mnie chyba rzucić urok, taki wściekły upór odnalezienia jej ośwładnął mnie. Lecz jak odnaleźć zupełnie nieznaną w stutysięcznym mieście, w tym lesie ulic, domów, zaułków i kątów, z których każdy równie dobrze służyć jej mógł za schowek.

Niezdolny zrezygnować z zachcianki, wydałem Kubusiowi polecenia, dotyczące się kolacyi, w domu,

na dwie osoby i puściłem się na tropy, rozpoczynając od odwiedzenia wszystkich towarzyszków wczorajszej stypy, których adresy były mi znane. Naprawdę... jednych nie zastałem wcale, drudzy spali jak zabici, reszta nie umiała udzielić mi żadnych objaśnień. Postanowiłem wtedy przeszukać miasto, licząc na moje własne wiadomości i trochę na szczęście. Zacząłem od ulic i punktów, których "one" się trzymają. Przemierzałem je wszczep i wzdłuż, zaglądając pod każdy kapelusz, przenikając każdą woalę, zatrzymując się na widok każdego zadartego noska i małych, maleńkich usteczek, podobnych majaczącym jakby w mgle — w mojej pamięci. Ilu podlotkom mój wzrok badawczy zamącił dnia owego po raz pierwszy spokój!... ile niewinnych lili splonęło rumieńcem widząc się przezemnie ściganymi!... A ile mnie samego spotkało przygód!... O mało np. nie wpadłem w awanturę z jakimś wojskowym, zaczepiwszy jego żonę, którą zostawił na chwilę przed trafiką. Pół godziny straciłem daremnie, zapędziwszy się za znajomą

panią, której nie poznałem z tyłu, a która kazała mi się do domu odprowadzić. Co krok zaś jakaś zacofana, przedpotopowa cnota piętnowała mój piękny, młodzieńczy zapał przeszywającym spojrzeniem wzgardy lub pełnym duszy słówkiem "osioł jeden!" Ale ja nie zważałem na to. Za każdym zawodem szepnąwszy do siebie w myśli: "to nie ta!" — pędziłem dalej, z ulicy na ulicę, z lokalu do lokalu, po wszystkich podrzędnych i coraz to podrzędniejszych restauracjach, cukierniach i kawiarniach, gdzie miłość chowa się przed zazdrośnymi oczyma niezdolnych kochać. Potem zwiedziłem pensjonaty — i te bez skutku. Zacząłem wypytywać o nią przedstawicieli podejrzanych fachów, kelnerów, ekspresów, stróżów, dorożkarzy i portyerów hotelowych, a w końcu wszystkie znajome i niezajome, rzeczywiste i domniemane kokotki, próbując pochlebstw, obietnic, napiwków i mnóstwa innych forteli, na jakie doprawdy tylko w niezwykłym natchnieniu duch ludzki zdobywać się umie. — "Aha! to

Władka — odpowiadano na mój rysopis — zielony plac " — albo: "Tak, tak, to Zośka, znam ja. liliowa " — lub wreszcie: — "Ależ to Józia!... tydzień temu wyjechała do Wiednia!" Daremnie biegłem, jechałem pod wskazanym adresem, daremnie zapędziłem się aż do policyi, aby wybadać poufnie kolegę komisarza — nigdzie! nigdzie jej nie było, nigdzie nie natrafiłem nawet na jakiś jej ślad, jak gdyby nie istniała naprawdę, lecz była tylko czarującym utworem mej bujnej wyobraźni.

Nakoniec po nie wiem już ilu godzinach wścieklej gonitwy, wśród ciągłej pracy mięśni i wytężania komórek mózgowych, zawiedziony, wyczerpany i zniechęcony, przemokły, zziębnięty i głodny, zrobiwszy jakie kilometry drogi od południa po schodach, szynach i bruku, piechotą, tramwajem i na bicyklu, — o godzinie w nocy, zmuszony stanem ciała mego i duszy a także i deszczem, którym niebo zdawało się chcieć urągać mym wysiłkom, zatrzymałem przejeżdżającą dryndę i kazałem się

odwieźć do domu, pewny, że moją gonitwę po mieście dnia tego zanotowano w aktach policyjnych, a nazajutrz opiszą w dziennikach jako sensację pod jakimś rokokowym tytułem.

Otwarłem, sobie sam drzwi mieszkania, w których jest zatrask, i napół umarły wszedłem przez ciemny przedpokój do sypialni, Zaledwem jednak próg jej przekroczył, zmartwych powstałem z wściekłości!...

W suto oświetlonym pokoju znajdowały się na stole resztki zadysponowanej przezemnie kolacyi: wędliny, ciasta, owoce, likier, wino, — a na szezlongu znajdowała się ta, za którą rozbijałem się od pół doby po mieście — w ramionach Kubusia !... oboje snem słodkim ujęci...

Podniosłem laskę!... Wiem, postąpiłem niepięknie... ale też nie zdołałem podnieść jej powtórnie, złamała mi się po pierwszym razie.

Ktokolwiek ma serce, dziwić mi się nie będzie. Bo proszę pomyśleć tylko: w chwili kiedy ja na wicherze i słocie, borykając się z ludźmi i ży

wiołami, szukani jej na złamanie karku we wszystkich częściach świata, ona w ciepłe, zaciszu i sytości uszczęśliwia mego służącego, który spożywa i wypija z nią to wszystko, na co ja się cieszyłem przez godzin dwanaście!.. — Co to ma znaczyć łotrze jakiś !... — zawołałem na zbudzonego ot, aby coś zawołać, sytuacją bowiem nie wymagała żadnych zgoła objaśnień.

A no cóż.. pokazało się, że czekała na mnie od samego wieczora, od godz. tej, przybywamy pod adresem, wydrukowanym na mej karcie wizytowej, którą sam dałem jej wczoraj w tym celu...

A ja jej szukam Bóg wie gdzie!... jak szuka się szczęścia w przysłowiu...

Wypędziłem oboje natychmiast za drzwi, najpierw jego, z bezgraniczną rozkoszą, potem ją, z nieklamany żalem.

Lecz honor nakazywał tak postąpić — honor i znuzenie. Wyrzuciwszy za nimi na schody ich garderobę, zatrzasnąłem drzwi i położyłem się spać, owijając głowę w koldro, aby nie słyszeć ich błagań,

przebijających drzwi. Już zasypiałem, kiedy zbudził mnie ogromny hałas. To pobudzeni ich obijaniem się w ciemnościach sąsiedzi moi zajęli się zbiorowo wyrzuceniem ich z kamienicy z pomocą stróża. Będę jutro przedmiotem śmiechu i plotek całego domu przez tego łotra !... Jakżem go przeklinał!! Bo to: podbierał mi bestya cygara, kradł koniak, wysypiał się na mem łóżku, używał ukradkiem mej bielizny i garderoby, wyzyskiwał mój gniew, podstawiając się pod policzki, za które mu płaciłem według taksy, i mój humor, wyludzając odemnie całkiem świeże jeszcze krawaty i kapelusze a teraz... teraz !..

Przez tydzień obsługiwał mnie stróż. Kubuś, któremu złożyłem z całej duszy, wzdychając jednocześnie, aby wrócił i uwolnił mnie od tego niedołęgi, nie pokazywał się wcale. Może sobie wynalazł nową służbę?!... Przeląknęłam się, czym nie był względem niego i jego winy zbyt ostry.
Po tygodniu istnych mąk otrzymuję list, nagryzmołony nieznanym

mi ale bardzo nikczemnym charakterem. Otwieram i czytam:

"Wielmożny Dobroczyńco!"

— dalej cztery ćwiartki nieczytelnych kleksów, podpisane: "całuję rączki i czekam na odpowiedź, wierny aż do zgonu Jakób Fiutek."

W liście tym błagał mnie, o ile się zdaje o przebaczenie i dawał do zrozumienia, że ma jakąś prośbę, od której zawisł jego "los".

Budzę się nazajutrz po tym liście

— mój Kubuś uwija się w sypialni z moją garderobą, jak gdyby między nami nic nigdy nie zaszło.

— A ty tu co robisz gałganie jeden? — wołam marszcząc się, jak najgroźniej, aby nie poznał, jak jestem jego powrotowi rad, i wydzierając mu rękaw mej nocnej koszuli, który uważał sobie za obowiązek poślinić nieco na dzień dobry, skoro tylko zobaczył moje otwarte oczy.

— Przyszedłem prosić, żeby pan był taki łaskawy i wzion mnie nazad — wyjąknął błagalnie.

— Idź do dyabła!... Takich łajdaków zamyka się do kryminału,

niedopiero żeby ich napowrót brać do służby.

— Już nigdy więcej nie będę...

— Spodziewam się, że nie. Przynajmniej nie u mnie...

Zaczął szlochać, ocierając łzy czy udając, że je ociera, memi spodniami, które właśnie miał w rękę.

— Ja pana, proszę pana, nie chciałem zgniwać, jak se zbawienia pragnę...

— Tylko może ucieszyć? co?!... Patrzaj, a ja się nie domyśliłem.

— To ino było takie nieszczęście, proszę pana, taki dzień...

— Właśnie. Każdy łajdak ma swoje dni. U ciebie ich bywa trzysta sześćdziesiąt w roku.

Staralem się przemawiać z jak największą surowością, ale ten dureń, płacząc, robił tak komiczne miny, że w obawie rozśmiania się wrzasnąłem nagle:

— Czy ty wiesz, łotrze jakiś, coś ty zrobił?!

Uderzył się w piersi i odparł z pokorą:

— Wiem, proszę łaski pana...

Do śmierci mi sumienie wyrzucać będzie... Chciałem się nawet utopić..

— Szkoda, żeś tego nie zrobił.

— Nie mogłem przez jedną rzecz — odparł z tragicznym westchnieniem. Byłem ciekaw, co to?... niepodobna jednak było go pytać. Kubuś, czekający na to widocznie, po dłuższej pauzie, którą przerywał od czasu do czasu z pod pieca melodramatycznym jękiem boleści, wyplakał raz jeszcze:

— To pan mnie naprawdę nie weźmie?

— Ani myślę.

— Niech się pan ulituje.

— Daj mi pokój, nie nudź ranie.

— Bo proszę łaski pana, jak mnie pan odprawi, to ja się nie będę mógł ożenić.

— A cóż mnie to obchodzi?... Czy ja ci się każe żenić?..

— Nie żeby pan akuratnie kazał... ale że to zawsze pańska przyczyna, że ja się muszę żenić...

Otwarłem szeroko oczy.

— A to skąd?!..

A no... bo żeby pan był

wcześniej wrócił do domu. nie byłbym tej panienki zbałamucił i nie musiałbym się teraz przez to z nią żenić.

Co za logika?!... Wyobraźcie sobie coś podobnego!... Skończyło się więc na tem, że ja byłem właściwie winnym wszystkiego !... Gotów jeszcze wmówić we mnie, że mu tę "panienkę" umyślnie chciałem podsunąć, że go świadomie wepchnąłem w całe to "nieszczęście".

Podniosłem się na łóżku dla efektu i oświadczyłem mu z ogromną powagą:

— Słuchaj, cymbale. Widzę, żeś zwaryował. Wynoś że mi się więc, pókiś cały, jeżeli nie chcesz, ażeby cię na łeb ze schodów zrzucił.

Zamiast umykać, ta bestya uderza w serdeczną nutę i klękając błaga mnie patetycznie z wyciągniętymi rękoma:

— Dobrodzieju wielmożny!... Jestem sierota!... Ni mam ojca ani matki!... Nie opuszczaj mnie w takim momencie...

Nie stało mi już cierpliwości.

Schyliłem się błyskawicznie i porwawszy jeden z stojących przy mem łóżku kamaszków, rzuciłem go całą siłą mięśni prosto w łeb Kubusia. Gdyby się nie był schylił, kosztowałoby mnie to znowu z dziesiątkę, ale ten łajdak ugiął się przed pociskiem, który trafił w gipsowy biust mojej ciotki i rozbił go na sztuki, biust, którym zaskarbiałem sobie cioteczne łaski, biust, który kazałem zrobić a conto shedy po niej!...

Byłem już teraz zdolny nie wiedzieć co zrobić z tym drabem, ale widząc, że wyskakuję z łóżka i sięgam po kij — zniknął w okamgnieniu jak rękawiczka z rąk magika.

Musiał jednak zostać pod drzwiami i śledzić mnie przez dziurkę od klucza, bo skoro tylko położyłem się napowrót i uspokoiłem nieco, ukazał się znowu, tym razem z nią, puszczając ją naprzód. Nudzili mnie ze dwie godziny i wymogli nietylko przyjęcie go napowrót do obowiązku ale i coś w rodzaju przyzwolenia na małżeństwo. Mruknąłem mianowicie: "a żeńcie się w końcu, niech was dyabli

wezmą, hołoto jedna" — na co Kubuś bezzwłocznie ucałował moje ręce i kazał to samo uczynić swojej przyszłej słowami:

— Podziękuj dobrodziejowi za błogosławieństwo.

To nic jeszcze !... Ten lotr, pomimo wszystkich swoich wad i występków potrafił odemnie wyzebrać podwyższenie pensji w formie osobnego mieszkania na dole w tym samym domu, prawie całe urządzenie jego małżeńskiego gniazodka z moich mebli, które umiał mi obrzydzić, pchając mi w oczy ich skazy, wyłgał odemnie wcale dobry frak tegoroczny i ledwie się zgodził na to, abym się uchylił od udziału w ceremonii zaślubin, zastrzegając sobie z góry, że będę ojcem chrzestnym jego pierworodnego. A teraz zniknął — nie widuję go wcale, natomiast od rana do wieczora krząta się po moim pokoju jego pani, czysta i pachnąca jak na ośmnastoletnią kobietkę, skromna jak na młodą żoneczkę przystało. Ma zadarty nosk i małe, nieskończenie małe usteczka. Znacie moją naturę... Dya

bli mnie biorą na jej widok, o mało ze skóry nie wyskoczy!... Czuję się wobec alternatywy nieuniknionej: oddalić jak najprędzej Kubusia wraz z jego żoną. — albo przyprawić mu rogi. I nie mogę oddalić go w żaden sposób!... Nie mogę i nie mogę... Ach!... jestem bardzo nieszczęśliwy...

DIANA.

DIANA.

Trafem oba pojazdy zjechały się równocześnie przed bramą willi, co pobudziło do hucznego śmiechu przybyłe strony. Ludwik, zeskoczywszy z kozia swego wysokiego trzcinowego wózka, oddał lejce stangretowi, siedzącemu z tyłu, a sam obiegł wehikuł i wyciągnął rękę z galanterią do Mimi, której biała toaleta jarzyła się w słońcu jak płomień łukowego światła, aby jej pomódz zsiąść. Wyglądała prześlicznie w swej białej sukience, z której różowy karczek i blade blond włosy wychylały się kusząco jak wyborny cukierek z opakowania pełnego smaku. Zeskoczyła śmiało, zgrabnie i z wdziękiem,

niby wołyżerka, z widoczną rozkoszą, jaką jej sprawiło to wsparcie się na chwilę na silnej dłoni dorodnego ułana, który prostując dziarsko swój smukły tułów w błękitnym opiętym mundurze oficerskim, pożerał oczyma kochankę przyjaciela, wierną kochankę, obiecującą mu wszystko na dzień zerwania z tamtym, jak dotąd wcale nie oznaczony. Ogromnie głupi i szalenie wesoły, był jednak taki miły, taki sympatyczny w swej czysto fizycznej piękności młodego zucha, zdatnego jedynie do uwodzenia dziewcząt, do niczego więcej, że chciałoby się doprawdy być kobietą, aby się bodaj raz jeden znaleźć w jego apolinowym uścisku, i rozgrzeszało się z góry wszystkie dziewczęta, co mu się z zamkniętymi oczyma na szyję rzucały, rzucają i rzucać będą. Z doróżki zaś wysiadł Leon z Tecią i Angelą. Całe towarzystwo poczęło witać się żartami i śmiechem tykając się, i czekało przez chwilę na otwarcie bramy, u której najniecierpliwsza z wszystkich Mimi nacisnęła już guzik elektryczny. Od

dwóch miesięcy przeszło nie widziała Wiktora!... — co więcej, od tak długiego czasu musiała być — o cudzie! — wdową, słomianą naturalnie ale wierną jedynemu wdówką... na lewą rękę.

Tamte dwie, widząc jej pośpiech, poczęły się śmiać:

— Minii! jakżeż można?!... Ty się afiszujesz!...

Nie było w tem jednak ani źdźbła zazdrości, obie bowiem były tak ładne, świeże i smaczne, że podane wraz z Mimi do wyboru Parysowi, niezawodnie wprawiłyby go w kłopot.

Tymczasem otwarto bramę.

— Jest pan?...

— Jest. Czeka na państwo od godziny.

— Ba! myśmy czekali półtrzecia miesiąca!...

Od bramy idzie się ku willi ze czterdzieści kroków wgłębieniem pomiędzy dwiema kamiennymi ścianami

dwumetrowej wysokości, rodzajem otwartego od góry korytarza, nad którym jaśniej najcudniejszy z plafonów: niebo!

— z wieczyscie zmień

ną omamentacją chmur, gołębi i jaskółek. Potem, po przebyciu dziesięciu stopni — jest się naraz przed frontem willi w samem sercu okalającego ją ogrodu, który dzięki pasyi Wiktora do kwiatów i doskonałemu ogrodnikowi, pomimo niezbyt wielkich rozmiarów, jest prawdziwem cackiem. Ostatni raz widzieli go w czarze wiosennej zieleni, w pierwszych dniach lata, w powodzi kwiatów i woni, w zalewie lipcowego słońca, którego złocisty królewski płaszcz, buchający blaskami i żarem, jak świąteczna szata okrywał świat cały. Kobiety kokietowały słońce letniemi toaletami, dając mu czasem całować swe piersi, szyje, ręce, ale bardziej kokietowały mężczyzn, poświęcając im długie księżycowe wieczory w piekielnie obmyślanych alejach i zaułkach ogrodu, w którym rozbrzmiewał ich śmiech, dźwięki fortepianu i pukanie szampanowych korków. Dziś ogród zakopany był w zwiędłych liściach, cały żółty, rudy, brunatny, jakby w łachmanach potarganego złotogłowiu ukryty w kopcach szele

szącego suszu, co poniewierał się u stóp kolosalnych pni i spadał co chwila lekkim deszczem z obumierających zwolna gałązek i konarów. W ukropie słońca, przypiekającego przykro, ogarnięte suchotniczą gorączką jesieni, konające liście, ponad główkami ostatnich smętnych kwiatów, zwarzonych rannym szronem i powiązanych srebrzystą przędzą pajęczyn, wrzeszczały w niebogłosy swą mosiężną żółtością, wszystkimi odcieniami krwistej i rdzawej czerwieni, pożegnanie niepowrotnej błogości lata. A ten przepych barw przedśmiertnych, strojących w przeddzień deszczów i śnieżyc drzewa, miał w sobie coś z rumieńca, wypieczonego na zwiędłej twarzy starca mocnem winem, coś hulaszczego i odrażającego jednocześnie. Czasem zaś, z cienia, wylomem wśród drzew wpelzał zimny wilgotny powiew, który przejmował dreszczem i budził czającą się w duszy obawę i smutek pytań, sięgających w dal... Ale przybyłbym ani w głowie było pogrążyć się w melancholijnych

nastrojach. Skapani w słońcu, które wypędziło stąd na parę godzin po raz ostatni może tego roku zimno przed jego rozkwaterowaniem się na dobre, biegli na wyścigi wśród wesołego zgielku ku rozwartym na oścież drzwiom willi. Lecz Mimi, wyprzedzwszy innych, zlustrowała już salon i dwa przyległe gabinety i powróciła z słowami:

— Nie ma nikogo...

— Hop!hooop!... — odezwał się w tej chwili za ich plecyma przytłumiony okrzyk niby nawoływanie w lesie. Obrócili się i ujrzeli na samym końcu głównej alei o parę kroków przed ogrodowym pawilonem Wiktora a raczej cień Wiktora, rozpościerający powitalnie ramiona, z wychudłą twarzą, na której urosła mu broda, z łzawym blaskiem jakby powiększonych oczu, z dwoma laskami w obu rękach — ale koniec końców żywego, stojącego o własnych siłach, uśmiechniętego serdecznie i wrzeszczącego na całe gardło.

Za chwilę wszyscy byli przy nim. Posypały się przywitania, gratu

lacye, uściski, całusy. Mężczyźni szli w nich o lepsze z kobietami, ale przegrali. Wiktor, ściskając obu przyjaciółom ręce, równocześnie całował Mimi, Tecię i Anielkę po kolei raz, drugi, trzeci, bez końca, nie mogąc się nasycić tem młodem, pachnącem ciałem kobiecem.

— Rekonwalescencie!... dyeta!... — przestrzegał Leon, grożąc.

— Ach nie bądź że tak surowy. To przecież najłżejsze danie — same biszkopty.

— Ale ile tych biszkoptów ! ile!! W końcu nacałowawszy się do

syta, poprzekrzywiawszy kobietkom kapelusze na głowach i rozburzywszy włosy, objął i zatrzymał przy sobie Mimi, wierną Penelopę, której zadał już oczyma pytanie i odebrał odpowiedź uspokajającą.

Mimi — to złote serce. Wiedząc, że Angela i Tecia mają też słabość do Wiktora, bo zresztą któraż kobieta nie miałaby jej dla tak ładnego i hojnego chłopca, uspokoiła je:

— Nie bójcie się, przyjdzie i na

was kolej. Wiś był zawsze Turkiem i zawsze nim będzie.

Tymczasem gospodarz, niezmiernie uradowany tą, pierwszą, na jaką mu lekarz pozwolił, wizytą, począł im się przyglądać z pełnem ciepłą zajęciem, zarzucał ich pytaniami i z twarzą przyrumienioną wzruszeniem zachęcał:

— Siadajcież... bo się boję, że mi puciekacie... Nie puszczę was dziś przed północą... Zaraz podadzą podwieczorek... Czy zostaniemy tu, czy też chcecie pójść pod dach?... Ale tutaj jest tak ładnie... Trzeba wam wiedzieć, że ja dopiero od kilku dni chodzę po ogrodzie.

A potem wyrwało mu się nagle samolubne:

— Wiecie wy, że ja o mało nie dałem susa na tamten świat?...

Zaczęli mu, przerywając jedno drugiemu, opowiadać wszystkie te bardzo tajemnicze i niedostateczne wieści, jakie krążyły o nim od kilkunastu tygodni, kiedy drzwi jego zamknęły się nagle dla wszystkich znajomych słowem: chory.

Uśmiechnął się, rozkoszując się widocznie tem, co mówili, zajęciem, jakie wzbudzał, życzliwością tylu osób, lecz nadewszystko odniesionem zwycięstwem, wyrwaniem się z szpon śmierci, powrotem... rozkosznym powrotem do zdrowia! do życia!... do wszystkiego i wszystkich, których kochał.

— Więc wiedziano, że jestem chory.... A czy się domyślano, dlaczego ?...

Pod tym względem nie było pewności, krążyły najsprzeczniesze wieści...

— Naturalnie nie puścisz nas, nie opowiedziawszy wszystkiego?

— O i owszem... rzecz jest dosyć zabawna... — i już usta otwierał, aby ich objaśnić, kiedy Mimi, bawiąca się jego włosami i całującego od czasu do czasu z lekka w skroń, pochwyliła naraz oburącz jego głowę, rozgarnęła mu włosy nad czołem i zawołała:

— Blizna!... On się bił!!... Skupili się nad nim w okamgnieniu i rozróżnili rzeczywiście bliznę, przecinającą skórę pod włosami.

— Biłeś się naprawdę?... Skinął głową.

— O co?...

— O co ?... Dlaczego nie pytacie: o kogo.

— A więc o kogo?

— O "nią" — jak zawsze na tyra świecie, tylko że w tym wypadku nie była to... Ale najlepiej pokażę wam ją, bo naturalnie pragniecie koniecznie dowiedzieć się, kto to?... Jest ona tam... na gazonie... Zobaczcie ją i przywitajcie, bo to wasza znajoma...

Powstał i postąpiwszy kilka kroków, kobiety za nim, zawołał w kierunku gazonu, który puszył się jeszcze piękną zielenią:

— Diana!...

Duży, foremny, poczciwy łeb czarnej nowofundlandzkiej suki podniósł się ponad murawę i spojrział w jego stronę roztropnie a jednocześnie kiściasty ogon psiska zaczął bić żywo i zamiatać trawę.

— Oto ją macie! — wyrzekł Wiktor z uśmiechem, obrzucając figlarnym wzrokiem zdziwione kobiety.

Lecz Teczka spostrzegła już, że Diana nie jest samą. Kilkoro szczeniąt tarzało się dokoła jej weszbranych piersi, pławiąc się w ciepłe słońca, zalewającym cały gazon.

— Co ja widzę!... Diana ma młode!... Doskonale! zamawiam sobie jedno!...

— I ja także!

— I ja, Wiktorze!...

— Zgoda! zgoda!... tylko pozwólcie wpierw jej samej niemi się nacieszyć. Wzdychała do nich tak długo!..

— Właśnie!... Miałam cię zapytać, skąd tak nagle...?

— Zaraz wam to opowiem. Jest to przecież historia moich ostatnich miesięcy.

Kobiety poczęły wabić sukę pieścizotliwemi gośćtami i słowami, pociągnięte najwyższą sympatyą dla jej macierzyństwa. Diana zdawała się pochlebstw nie słuchać, nie rozumieć, cała zapatrzona wzrokiem obawy i troski w jednego z psiaków, który rozciekawiony widokiem tylu osób, odsunął się od niej ku kobie

tom, podczas kiedy dwa inne staczały na trawniku zażarcie symulowaną walkę, odgryzając sobie wzajemnie to głowę, to łapięta, a ostatni, uczepony u piersi matki, ssał ją łakomie.

Teczka chciała koniecznie popieścić którego psiaa i weszła już na gazon. Lecz Wiktor ostrzegł ją. Diana po raz pierwszy widziała obcych. Przytem po odebraniu jej trzech szczeniąt z siedmiu, aby jej zbyt nie wycieńczyły, niesłychaną otaczała pieczę to pierwsze, od trzech lat upragnione potomstwo. Nie pozwalała nikomu zbliżyć się do niego z wyjątkiem pana. Sam przyniósł kobietom jednego szczeniaka a one o mało go nie udużyły, głaszcząc jego aksamitną sierść, całując na wyścigi małego, niezgrabnego grubasa z pocziwą, naiwną mordką i dużemi, grubemi łapami, na zadatek przyszłego ogromu. Potem oddał go Dianie a suka, wielce do tej chwili niespokojna, poczęła go czempredzej obwąchiwać, upewniając się, czy nie poniósł jakiej szkody i liżąc z radości.

— Pocziwa Diana!... gdyby wiedziała, jak drogo kosztuje mnie jej szczęście, prawda że odwleczone z mej winy.

... Wiadomo wam, że oglądałem się za towarzyszem dla niej oddawna. Nieszczęście chciało, że nigdy jakoś nie miałem w stosownym czasie pod ręką, psa tej rasy. Stąd jej przydługie panieństwo, które doprawdy bolało mnie mocno. Ale niezmiernie szanuję dobór, i tak samo jak hodowcy, sportsmeni chronią od mezaliansów swe stadniny, swój inwentarz

— ja nie życzyłem sobie, aby arystokratyczna krew Diany pospolitować się miała dla pierwszego lepszego kundysa z psiego motłochu.

... Wtem — o niespodzianko! — spotykam trzy miesiące temu na ulicy nieznanego mi zupełnie neufundlendera.

Wojskowy sługa prowadził go na smyczy. Pies był wspaniały, mógł mieć najwyżej dwa, trzy lata, kark niósł wysoko, na nim głowę niezrównanej piękności. — Istny lew!... bohater, którego właśnie szukałem,

na którego Diana oczekiwała z takim utęsknieniem.

... Zapytałem służącego o właściciela. Wymienił nazwisko jakiegoś rotmistrza.

— Gdzie pan mieszka? ... Wymienił hotel.

— Kiedy go można zastać? ... Wyjechał na dni kilka.

— Szkoda. Nie zaprowadziłbyś ty tego psa do mnie? Mam sukę taką samą.

— Nie mogę bez wiedzy pani.

— Więc jest i pani?... Nie wyjechała także?

— Nie.

... Hm... a gdyby tak... Ale ta materya drażliwa...

... Gdyby jednak zwrócić się do rotmistrzowej?... Zameżna kobieta nie jest dzieckiem, do dyabła. Zresztą żony wojskowych miewają coś z swych mężów, coś półmęskiego, bywają nawet sportsmenkami...

... Jeszcze jedna kwestya. Jej wiek.

— Państwo dawno się pobrali?

— Na wiosnę.

... Do licha, młoda kobieta... Pójść czy nie pójść?... Ale czas nagli — rotmistrz niewiadomo kiedy wróci — serce Diany gotowo tymczasem ostygnąć...

... Poszedłem.

... Wyszła do mnie kobieta elegancka, młoda, ładna, dosyć pewna siebie i tak miła!... tak miła... że wolałbym być w jakimkolwiek ludzkim, mniej lub więcej własnym interesie ubiegać się o jej łaskę niżeli w tym, z jakim przybyłem.

... Lecz koniec końców należało załatwić sprawę. Wyłożyłem ją jasno i delikatnie, tłumacząc mą śmiałość nieobecnością męża, do którego właściwie zamierzałem zwrócić się.

— Sądzę, że mąż mój nic nie miałby przeciwko temu — odrzekła swobodnie — bo nawet zdaje mi się, że już raz... ktoś... w podobnej sprawie...

... Nadałem czempredzej słowom tym sens obietnicy za pomocą gorących podziękowali, uprosiwszy sobie pozwolenie ułożenia szczegółów z or

donansem. Zawołała go i oddała do mojej dyspozycji.

... Tegoż samego dnia Diana zmierzyła po raz pierwszy na terytorium ogrodu, który był dotąd dziedziną jej samotnej egzystencji, badawczym i nieufnym wzrokiem nieznanego przybysza. Gość stanął także w pierwszej chwili jak wryty z wlepionymi w nią oczyma, postąpił parę drobnych kroczków, znów stanął, znowu przysunął się bliżej, wreszcie znalazłszy ją prześliczną, poskoczył ku niej żwawo i począł od razu okazywać swą najwyższą skłonność, swoją werwę, swój doskonały humor, wszystkie jednym słowem kawalerskie cnoty. Wkrótce podbił jej serce.

... Ale po trzech czy czterech dniach wizyt pełnych obustronnego ciepła, pewnego rana zamiast służącego z psem ukazało się w mej bramie dwóch wojskowych w gali, którzy zażądali widzenia się ze mną. Mieli bardzo poważne miny i przychodzili mnie wyzwać w imieniu rotmistrza, który powróciwszy do domu znalazł, że prośba, z jaką zu

pełnie obcy mężczyzna śmiało zwrócić się do młodej kobiety, jest dostatecznym powodem do wyzwania grubianina na pałasze i rozrąbania mu czaszki.

"Jacy ludzie są głupi!... jacy dzicy i głupi, że wyzywają a drudzy że przyjmują podobne wyzwania, jak gdybyśmy mieli więcej niż jedno życie i mniej niż wszystko wraz z niem do stracenia każdej chwili. Ale jeżeli są szaleńcy, narażający się dla kochanek, które ich zdradzają, trudno mi sobie wyrzucać, że się narażę dla sukki, co z pewnością do śmierci pozostanie mi wierną..."

Wiktor od dłuższego czasu zamieniał spojrzenia z Mimi, która zdawała się zupełnie nie o tem, czego słuchała, myśleć, przewiercając go swemi brylantowymi ślepkami. Mimi przepysznie umie się ubierać. Stanik jej skromnej, białej sukienki był lekko na piersiach wycięty, tak że obnażał mały, maleńki kwadracik jej jedwabnego biustu. Ale ten kwadracik, próbka, wykrojona sprytnie w naj

Dopomagały jej do tego ręce, obnażone po łok

KARYERA.

KARYERA.

Stanowczo Marek przechodził dzisiaj deliryum znanej swojej zjadliwości, która tym razem zwróciła swe żądło przeciwko temu, co kochał i nienawidził najmocniej — przeciwko kobietom.

Znał przed chwilą list. Podniósł te kartkę w głównej alei ogrodu, przepelnionej spacerującym tłumem, napół stratowaną tysiącami stóp, tysiącami drobnych, lekkich nóżek, obutych w letnie płytkie pantofelki z kolorowej skóry i wynurzających smukłe kostki — niby z odwróconego bukietu — z łechcącego zmysły tajemniczego kielicha atlasowych ha

lek lub śnieżnych, pienistych, haftowanych spódniczek.

Poznawszy pismo kobiece, otrzepał papier coprędzej z kurzu, rozwinął, i zaciągnawszy się papierosem, począł łakomie czytać pod pierwszym z brzegu pniem kasztana. Słaby wietrzyk, przepływający powietrze, odświeżone niedawnym deszczem, potraçał jego starannie ułożone wąsy dwudziestosiedmioletniego chłopca, pragnącego nade wszystko podobać się kobietom. Figlarna i lekka jak lot ważki półeczka, syjąc w przestrzeń perłami mieniących się dźwięków, zdawała się łaskotać jego słuch niby przekomarzanie kochanki, co nasycona jednym pocałunkiem odmawia półzartem drugiego dla dodania mu smaku i ceny. Z lubieżnym niemal rozciekawieniem przebiegał drobne i wątle litery pisma na bladofiołkowym arkusiku, który wypaść musiał przed chwilą z za czyjegós gorsu lub rękawiczki, z kieszonki za koronkową chusteczką i pachł jeszcze perfumami tej, co go zgubiła, podobny do zagadki pomiędzy dwoma

tajemniczemi imionami kobiecemi w nagłówku i podpisie.

Wtem skończył czytać i syknawszy przez zęby popędliwie: "łajdaczki!". podał list nerwowym giestem gniewu towarzyszowi, mówiąc:

— Masz!... czytaj!... Albo nie. ja sam ci przeczytam. Słuchaj.. " Kochana Gieniu! Odsyłając mi fotografię Emila, piesz, że zdziwiłaś się raz jeszcze, jak mogę iść za takiego brzydala!... Jak moge!!... Ależ nie z miłości przecie, droga

siostrzyczko, ty to powinnaś rozumieć najlepiej, co wysłaś za mąż tak samo, poddając się doświadczonym radom mamy, z których ja również korzystać zamyslałam. A przecież mydlarnia Emila nie jest mniej wartą od sklepu twego męża. Lecz dajmy temu pokój. Nie mam w tej chwili czasu do stracenia. Spieszę się na zabawę, na której ma być porucznik... wiesz?... ten... już ci o nim pisałam... co tak prześlicznie tańczy, co mi powiedział, że. "takiej jak ja kobiety nie spotkał jeszcze nigdy" (!). Ach! co to za chłopiec?!... Wyobraź sobie: podał się — dla mnie!

— o przedłużeniu urlopu!... Gdybym ja miała posag!... o ileż dłuższe, częstsze, ciekawsze odbierałabyś listy od Twojej Hali, która i tak już może powiedziała, za wiele... chociaż właściwie wszystko pozostaje jeszcze do opowiedzenia... " Krótkie, ale wymowne. Jak ci się to podoba?

— Nie jestem oczywiście zbudowany, sądzę jednak...

— Że nie warto psuć sobie krwi ani maszyny myślenia zbyt skrupulatnym rozważaniem tego, co nas otacza? O poczciwce, jakże gorąco umiłowałeś twój spokój!... co nie przeszkadza mi wcale, aby ci go zamącić...

— Mów, ulżysz sobie, czuję, że potrzebujesz się wygadać.

Uczył to po swojemu. Rzucił się jak zaczepiona żmija na tę Halę i milion jej sióstr, na całą pleć. Każde słowo wyskakiwało z ust jego z sykiem jak iskry ogniowych fontann, na każdej wyplutej sylabie zdawała się perlic ostra, piekąca kropelka jadu. Nie mówił o nich właściwie, ale je drapał słowami, policzkował, gryzł, szarpał do krwi jak mąż zdra

dzony lub odpalony kochanek.

A przytem pochłaniał je wzrokiem, mając ich tyle przed oczyma. Całował rozkochanem do nienawiści spojrzeniem tysiące ich uśmiechniętych główek, które wdzięczyły się swemi dziecięcemi i szatańskimi minkami z puchu włosów, z oprawy koronek i gaz, z blichtru biżuterij i kwiatów, fałszywych po większej części jak cera, zęby i blask oczu właścicielki. Okręzał bezwstydnym wzrokiem ich piersi, łona, biodra, lizał spojrzeniem ich skórę, wciskał się oczyma w zalotne okienka ich źrenic, wsysał się w ich usta, zwilżane ukradkowo koniuszkiem różowego języka, wgryzał się jak namiętny kochanek w białe, pełne karczki tych, co już znały smak jabłka, lub pieścił dyskretnie z delikatnemi szyjkami dziewic, wciągając w wzdęte jak u ogiera nozdrza woń ich perfum, w których pobudzona wyobraźnia kazała mu odczuwać woń ich płci. Znać było z szczerego tonu jego uniesienia, że podeptałby je wszystkie i zmiażdżył bez litości, tak

muszę im oddać tę sprawiedliwość żadna z nich nie przerasta przeciętnego typu gęsi pospolitej. Po za zdawkową treścią dobrodusznej kumoszki, przydatnej do jakiego takiego prowadzenia małego gospodarstwa i płytkiej gawędki o nowinkach dnia — nie szukaj w nich niczego. Życie przyjmują, jakim je zastały i uważają sobie za święty obowiązek w nienaruszonej postaci przekazać je dalej. Wszelką krytykę uważają za mędrkowanie, wszelką nowość po za obrębem garderoby i mebli za głupstwo, wszelkie wyłamywanie się z pęt tradycji i utartych pojęć za bezbożność, szaleństwo, za zbrodnicze porywy. Doskonałe na niańki dla małych dzieci — okropne są jako żony, matki, siostry, narzeczone, jako towarzyszkę dorosłych ludzi, jako czynnik społeczny. Zgnusniałe umysłowo, psychicznie, w beztroskim bycie istot, zamkniętych w ciasnym kółku domu, nad których wygodami pocą się inni, prowadzą całe życie tę błogą egzystencyjną jaką w naturze przypada samicy niekiedy tylko przez czas

niedołęstwa młodych i w stosunku do szamocącego się z przeciwnościami bytu mężczyzny są prawdziwie pasożytami, zbrojnemi w tyśiącwiękowy przywilej. Naiwne jak dzieci, jak kozieł uparte, posiadają spryt w jednym kierunku tylko niesłuchanie rozwinięty, w kierunku przeprowadzenia swej woli — woli naiwnego, upartego dzieciaka, który w dodatku bywa czasem złym i przewrotnym jak szatan. Szczęśliwy, kto z niemi sojusz zawrze dość wcześnie, zniży się do ich głupoty, przesiąknie ich sentymentalizmem płytkim i obłudnym; zapewnił sobie sielankową dolę. Kto jednak poważy się wypowiedzieć im walkę — rzucił na zawsze swój spokój pod nogi istotom mierzącym wszystko tą samą dozą inteligencji, jakiej potrzeba do taniego kupna materiałów na suknie, tą samą dozą uczucia, jaką pochłania pięcioaktowy melodramat.

... Ale ta Józia!... ta śliczna, idealna Józia z swemi czystymi, myśląciami oczyma!... Któżby się był spodziewał !...

... Ciotkagospodyni musiała wyczytać z mej miny, co o tem myślę, bo zresztą zna trochę moje przewrócone pojęcia. Aby nie spróbował przypadkiem tych rzeczy wypowiedzieć, zatkała mi usta czemprędzej wyborem papierosem i kawą, obracając rzecz całą w żart. Odgrodziłem się od bab ścianą dymu i na tym ekranie zobaczyłem "ją" w parze z tym, któremu przysięgła dozgonną miłość. Ujrzałem ich tak wyraźnie, jak gdyby stali o dwa kroki, jakby mnie dolatywał chrzęst jej białego, jedwabnego stanika, wstrząsanego tętnem serca, jak gdybym słyszał stłumione rżenie jego podziurawionych przez tuberkuły płuc, od którego bukiet ślubny drży na kłapie fraka jak trumna na karawanie. ... Dziewczyna ta wydaje się wcieleniem tej poezji, jaką zakwita u zenitu życia najbujniejsza dusza mężczyzny, uszlachetniona pragnieniem ideału, którego wszyscy po kolei na darmo szukamy w pustej, kłamliwej kapliczce kobiecej piersi... Jej usta małe, nietknięte, jej czyste jak

rosa oko, jej dziecięco świeża skóra i lękliwy wstyd jej płci dokazują cudu: ujarzmiają w tobie krwiożerczy szal samca, napełniając cię dla niej czcią i tkliwością bezbrzeżną, żądzą spełniania dla niej wielkich, bohaterskich czynów...
... A on jest tak szkaradny jak ona przecudna. Karzeł z długimi małpiemi rękoma, z krótkim tułowiem, z torbą na piersiach i plecach, z odstającymi uszama nietoperza, bezbarwnymi jak błony. Na wystających kościach policzków zastygły ceglaste wypieki, rzadkie włosy obklejają mu czaszkę niby topielcowi. Błady i zimny jak ślimak niknie pod głęboko pozalamywanymi fałdami ubrania, w którego pustem wnętrzu zdaje się trzeszczeć suchy chrobot kości zaledwie skórą obciągniętych.
... I ona nie wstydziła się podać mu rękę w obliczu ludzi!... przysięgać miłość!... oddać swe zdrowie, swoją młodość, piękność, czystość na pastwę tego okazu z prosektoryum!..
... Ściągnąłem jednak cugle ckliwości. Para ta nie jest przecie niczem

nadzwyczajnem. Miliony kobiet młodych i ładnych oddaje rękę mężczyznom brzydkim i chorym. Niedobór jest pozorny. Różnice ograniczają się do powierzchowności i wieku małżonków, ich dusze są pokrewne. Takie znajdują się zawsze. Piękność młodych kobiet, których los nie jest jeszcze rozstrzygnięty, nie ma wogóle nic wspólnego z ich wewnętrzną wartością... Najpiękniejsza amfora zamiast wonnego balsamu wypełnioną być może...
... Ale daremnie starałem się zagłuszyć wewnętrzny protest. Moja wyobraźnia... moja estetyka... etyka czy po prostu moje nerwy nie dały się przekonać sofizmatom praktycznej tolerancji. W nowym tumanie dymu
— ach! ta kawa!... ta czarna kawa!...
— garbus powrócił, aby przed memi oczyma porwać w objęcia żonę. Wielkogłowa zmora z widm tyfusowych, jak krab, jak olbrzymi pajak z potworną maską ludzkiego szkieletu, rzucił się na to czarujące dziewicze ciało, porwał ten kwiat w swe chciwe szpony, wbił się wśród kon

wulsyjnych drgawek guzem garbu w liliowe pączki jej piersi i mięł, plamił, targał jej rozkwit swoją małpią szpetnością, jej zdrowie swoim półtrupim rozkładem, w tryumfalnym akcie poślubnego uścisku zaznaczając swe prawa drogą nabyte. A ona nie odczuwa szkarady!... nie może, nie chce odepchnąć jego wstrętnych ust, zgnilizną ziejących, bo ją

zasypał klejnotami, bo ją kupił zapisem kamienicy a całe miasto, wszystkie bezmyślne nałożnice i kandydatki na nie, trzy czwarte tych, które tam spacerują, strojąc miny aniołów przy akompaniamencie muzyki — z zazdrością na nią patrzą i każda z tych samic, gotowa jak zniewagę, z świętem oburzeniem odtrącić pocałunek mężczyzny, któryby dla niej nie miał nic prócz miłości, odda się jednak za cenę dwa i trzy razy niższą niż Józia kalece, starcowi, wiedząc z góry, że całe stada jej sióstr pochwalą jej krok i zazdrościć jej będą "karyery" Czy fakt ten jaskrawy, powtarzający się codzień po tysiąc razy w mniej lub więcej zamaskowanej formie, nie

czyni na tobie żadnego wrażenia?...

... I co się może urodzić — powiedz mi — z pocałunku dogorywającego potworka, zastępującego połyskiem bizuteryi porywającą, wymowę miłosnego szeptu, z tą lalką czystą a bezwstydną, głupią a wyrachowaną, co — jeżeli nie kretyn albo szubrawiec, nieunikniony plód prostytucji?

... Bo panna Józia jest kokotą! tak jest! i gorszą od notowanych. Tamte, sprzedając się za bezcen całemu światu, z szyldem upadku na jaskrawo malowanych twarzach, cierpią za swój bezwstyd całe życie, kopane przez wszystkich na każdym kroku. Ta — wysoko podniesie swe czoło wszeteczne, używać będzie ogólnego szacunku i sympatii, ponieważ umiała sprzedać się sto razy wyżej swej wartości — jednemu. A zgnilizna jej ludzkiej duszy — jeżeli wolno w niej duszę ludzką przypuścić — nie kończy się na niej samej, ogarnia i utrwała się we wszystkich, którzy pomagali jej w tym czynie, którzy patrzyli nań, wiedzieli

o nim, a probowali go i głosić będą jako szczyt dążeń życiowych... Choroba nie ogranicza się do miejsca usadwienia wrzodu, wchodzi ona w krew, przenika cały organizm i szerzy się na inne — ponieważ na jady moralne nie rozciągnięto lekarskiej opieki, pozwalając je rozpowszechniać swobodnie prostytucji wolno praktykującej.

... Sądysz, że przesadzam? nieprawdaż?... Przesadą wydaje się nam wszystko, co sięga po za promień naszych powszednich spostrzeżeń i refleksyj.

... Nie potępiam ich jednak bezwzględnie. Czyż one temu winne, że są takimi? Urobiły je wieki, myśmy je pchnęli na tę drogę i nie pozwalamy z niej zejść. Cóż dziwnego, że ulegając przemocy, poszły nią. Większość ludzi — jak kula leci w kierunku pierwszego impulsu.

... Tak jest. uderzmy się w piersi. W krwiożerczej walce samolubstw o pieniądź, tę cywilizacyjną formę zera, — zaprzęglży się fanatycznie w psi kult złota, my, my sami zde

prawowaliśmy kobietę, wyzuwszy ją. z wszystkiego, ażeby za cenę udzielanych łask zmusić niewolnicę do oddania się temu, który ją kupił, a nie temu, dla którego sama czuje skłonność. Niewolnica zemściła się stokrotnie na władcy. Z chwilą kiedy jej powiedziano: miłość lub śmierć — oddała się cała silniejszej z obu żądy życia i poczęła zapewniać je sobie kłamstwem, haraczem obłudnych sprzedajnych pieszczot, ponieważ ją do nich zmuszono, ponieważ nie dano jej swobody wyboru ale kazano kochać tego, co na nią rzucić raczy sułtańską chustkę swej żądy. Tak, jeśli ogromna ilość kobiet jest złą — my sami je takimi uczyniliśmy, Hurysa i kokota jest dziełem mężczyzny, dziełem pięści, za pomocą której urządzamy życie i rozwiązujemy subtelne zagadki.

— Jak możesz je potępiać, usprawiedliwiając zarazem.

— Bo te refleksye, dobre dla starca, kończące na zimno rachunki z życiem, nie wynagrodzą mi mej krzywdy. Co mnie obchodzi, kto i dla

czego je przedemną popsuł — ja chcę, ja potrzebuję, ja muszę je kochać... kochać bez granic! bez pamięci! jak owad, płaz, ptak, zwierzę swoją samicę wszystkimi instynktami istoty mego gatunku. Ja marzyłem o nich, zanim jeszcze wiedziałem, domyślałem się, czem jest miłość. Czyż wreszcie do czego innego rozwija nas i kształtuje natura jak nie do spełnienia świętego mysteryum miłości? Ja dziś jeszcze, zwątpiwszy dawno o tem, abym kiedykolwiek mógł spotkać i pozyskać kobietę, oddającą się z tak czystych pobudek, z jakich ja jej pragnę, odnajduję z gniewem na dnie mej pogardy dla nich rwącą się ku nim ze wszystkich sił tęsknotę i w każdym uderzeniu serca mego powtarzający się okrzyk odwiecznego szalu: kochać!... kochać!... kochać!...

... Kochać?!... Co za fantazyje!!... One chcą żyć — jak ta Hala z listu, jak panna Józia moich poczciwych ciotek. I do którejkolwiek się zwrócisz, wszędzie spotykasz to samo:

anielską minkę przedślubną, po za którą kryje się pragnienie bezczynnej egzystencji i namiętność do szmat. ... Czy jednak kwestyę miłości nie najrozumniej rozwiązali turcy, kupując sobie kobiety jak konie na jarmarku, chowając je pod kluczem i za pomocą bata regulując swoje małżeńskie stosunki. Ci przynajmniej są konsekwentni. Przyjąwszy otwarcie, że kobieta jest tylko miłą zabawką, ją i siebie ochronili raz na zawsze od wszelkich nieporozumień.

DEBIUT.

DEBIUT.

— Jak to?!... Panie Wylazłowicz!... A pan tu co robi?...

— Co wielu innych paniusiu... Staram się o engagement, o debiut....

Czy podobna!

Tak jednak było w istocie. Ten stary, brudny, czerwono nosy komedyant z prowincyi, oplakana i śmieszna parodia aktora, monologista knajp, szynkowny śpiewak kupletów, pokazujący sztuki magiczne za kieliszek wódki lub papierosa gdzieś w coupé" trzeciej klasy albo przed kramem odpustowego piernikarza — ubiegał się i tej jesieni, jak co roku, o występ w stołecznym teatrze.

Śmieszny upór. Ubiegał się o to od lat dwudziestu, jak pamięć żywych sięga. Było to jego chorobą, jego manią, jego sławą.

Ile razy z drzew żółknijące liście poczęły spadać a teatr otwierał nowy sezon, stary Wylazłowicz musiał się jawić nieodmiennie u stóp jego ciosowych schodów z pokornym uśmiechem petenta, którego wytrwałości nic złamać nie może. Wystrójony w lichy wie skąd i jak zdobyte całe ubranie, umyty, ogolony i zaledwie trochę, troszeczkę pijany, przybywał usłyszeć jak lat poprzednich: "Nie panie, niepodobna" — po raz dwudziesty! I słusznie. Teatr Stołeczny nie jest przecie karczmą przejezdną dla lada obieżyświata, nie jest cyrkową budą dla popisu kłownów z jarmarku, ale przybytkiem poważnej sztuki. Do świątyni nie wkracza się z rynsztoka. '

— Gzy to na seryo?... Pan nie żartuje?...

— Ma się rozumieć, że na seryo. Dłaczegóż miałbym żartować, kochana pani.

Co w niej się odezwało: próżność, kaprys czy dobre serce?... Najpewniej wszystko razem. Dość, że to, na co nie odważyłby się nikt inny, ona postanowiła przeprowadzić. Była koleżanka z prowincji, niegdyś biedne, chuderlawe, nie mające dwu całych koszul dziewczątka, zagnane do teatru awanturką miłosną, dziś sezonowa gwiazda, dzięki swym ślicznym ramionom i słabości dyrektora do tych rzeczy, trzęsła personelem i miejscową prasą i z właściwej pewnym typom kokot teatralnych ambicyi protegowania, postanowiła zaspokoić chimerę dawnego kolegi, którego nędzna postać rozrzewniła ją może przypomnieniem minionych lat zimna, głodu, poniewierki, bezinteresownej miłości i pierwszych, tak upajających młodość popisów przed pustymi ławkami, na pięciolokciowej scenie małych miasteczek.

— A umiesz pan co w jutrzejszej sztuce?

— Umieć na pamięć całą od deski do deski. Grałem w niej wszystkie role.

— Brawo, chodź pan ze mną.

I Wylazłowicz — rzecz nie do wiary! — otrzymał upragniony debiut.

Naturalnie zaraz po wyjściu z kancelaryi teatralnej upił się jak bydlę. Bez tego nie było dlań uroczystych chwil w życiu. Lecz to go stawiało na nogi. Na trzeźwo zbyt już był osowiały dzisiaj. Kiedy mu się jednak udało urządzić porządnie w chwilę stosowną, czuł, że ma prawo uważać się przez czas krótki za innego, lepszego człowieka. Był nim wtedy. W nicponiu tym tkwiła jedna rzecz piękna: maleńka drobina artystycznej duszy. Kochał sztukę. Co prawda, w miłości tej było więcej naiwnych przeczuć niżeli szczerego rozumienia — ale miłość ta, ślepa, gorącą była jak u bałwochwalców. Ona to zrobiła go aktorem, opromieniała dlań jakimś czarem magicznym woń mastyksu, widok afisza, lada szpargał, lada szmatę teatralną, gnała go jak cygana za gromadami włóczęgów bezwąsych i wydobywała z tego starego darmozjada i błazna w pewnych chwilach coś z dziecka,

coś z poety. Rozpaczwał po komedyancku, melodramatycznie, nad trzema ćwierciami swego życia i zanim runął pod ławę, wyrzucał niezliczoną ilość razy z piersi gorące westchnienie:

— Ach! gdybym ja się bodaj raz mógł znaleźć na wielkiej scenie!... raz jeden!...

I oto sen spełnił się. Będzie grał, będzie nakoniec grał tani, gdzie oni pragną grać wszyscy, a gdzie dotrzeć udaje się tak niewielu!.. Jakże się czuł szczęśliwym! dumnym!... jak niesłychanie się cieszył!...

Wiedział oczywiście, że na tym występie nic nie zyska. Ani zaangażowanym nie zostanie, ani w niczyich oczach nie urośnie. Lecz jemu szło o zaspokojenie potrzeby serca, o to, ażeby być tam, w świątyni!... aby w tym królewskim przybytku sztuki, na tej scenie, gdzie rozbrzmiewał głos gwiazd, gdzie stąpali najwięksi, i on złożył ofiarę z tchu swej

piersi i bicia swego serca na znak bezgranicznej czci i zapału dla Tej, która tak potężnie włada duszami, która swym blaskiem promienia życie, dla tej

niepokalanej i jaśnie wielmożnej, której głodno wzniosłości i piękna mrowie ludzkie zbudowało te katedry złocistą jak bogom buduje kościoły i do której stóp ciśnie się tłumnie niby przed ołtarze bogów, nie zawsze zdolne całkowicie pojąć ją, ocenić, odczuć, ale zawsze, zawsze potrzebując jej i pragnąc jak życiodawczych blasków słońca, wszech dóbr szafarza...

Z zapałem wziął się do pracy. Rola jego wynosiła tylko czterdzieści wierszy, lecz był w niej ustęp, za który aktorzy zbierali oklaski. Zbierze ich całą burzę!

Pierwszy raz w życiu się uczył. Kul jak nowicjusz, zelektryzowany dopięciem celu.

Jakże się śmiano na próbie z jego zmanierowanego patosu, który odbijał tak pociesznie od przyćmionej gry stołecznych kolegów, oszczędzających na wieczór nerwy i gardła. Imitowano go w kulisie, pokazywano potem palcami, kiedy się wczytywał w swe nazwisko na wszystkich, oblepiających mury dokoła gmachu a fi

szach. Nie czuł swej śmieszności, nie dbałby o nią. Czyż prawdziwie szczęśliwi ją czują?

Wieczór oszołomił go do reszty, wzmagając jego niezwykle nastrój aż do gorączki. Na pierwszy akt poszedł między publiczność. Ogrom i przepych widowni, napelnianie się sali, podniecający szmer cizby, która przynosiła w warze krwi, w spotęgowanym przez pośpiech i ciekawość tętnie pulsów denerwujący głód wrażeń, a potem dźwięki orkiestry, — upoiły go i porwały. Ale natchnienie formalne ogarnęło go za podniesieniem kurtyny. Co za potęga!... co za czar!...

Wszystkie oczy, wszystkie tchy skupiły się na tej odrobinie sztucznego życia, którą przy pomocy wysiłków wszystkich zbratanych muz wydawał z siebie cudotwórczy mózg poety. Scena jaśnieje jak wizya, w aktorach jest coś olbrzymiego, boskiego. Gdy się, rozległy oklaski, Wylazłowicz przyłączył się do nich z pasyą gimnazjalisty lub klakiera. Klaskał nie tylko grającym, klaskał na cześć sztuki, klaskał sobie, swemu

ubóstwionemu ideałowi, ocalałej od zgnicia cząstce samego siebie.

A potem zaczął płakać z rozrzewnienia nadmiarem szczęścia, z upojenia tem wielkiem, doskonałym pięknem, jakiego dawno nie widział.

Znów rozpoczęto akt. Ale nie mógł już słuchać teraz. Ochłonawszy nieco, wybiegł z widowni. Pomimo, że wchodził na scenę nie prędzej jak za godzinę, paliło mu się do przywdziania kostiumu i charakteryzacji.

Co za cisza na korytarzach !... Pusto, ani żywej duszy... Tłum pochłania z całym wyężeniem uwagi scenę, jakby zahypnotyzowany sztuką aktoraczarodzieja.

Za kulisami ukrop kostyumowego spektaklu porwał go jak burza. Przeobrażono go zaraz od stóp do głowy w garderobie, pełnej dymu i wrzawy. Potem począł błędzić pośród ruchawki, pomiędzy gromady opancerzonych, nie mogąc usiedzieć spokojnie w kipiącym chaosie antraktu. Dokoła niego latały złociste kawałki wspaniałych sal, zielone ściany leśnego gąszczy, legiony

mebli, rozdrapywane na wsze strony przez cały hufiec służby z łapczywością bandy plądrujących rabusiów. Aktorzy, oblani potem forsownego aktu, biegali zdenerwowani, wołając: "fryzyer! krawiec!..." Inspicyent wrzeszczał ochrypłym już głosem na artystów i bil seksternem w dłoń, a w ciemnych kątach sceny, nieruchomo jak posągi, pilnowali kranów wodnych strażacy, w srebrzystych kaskach. z dłonią na stalowym toporze, z okiem tropiącym zaczajonego wroga.

Naraz brzęk dzwonka — wszystko umyka ze sceny w popłochu, drugi sygnał — i kurtyna poszła w górę. Ściśnięty tłumem przygotowanych do wejścia statystów, znalazł się Wylazłowicz w kulisie, którą mu wskazał inspicjent. Za chwilę zatem!.. za krótką chwilę!...

Próbował zapanować nad sobą. Trudno to było. Krew galopowała w jego żyłach, nerwy drgały jakby w poczynającym się szale. Nie mógł sobie przypomnieć początku swej

roli — słowa jej latały mu po mózgu bezładnie.

Zacisnął z wściekłości pięść: "Nie zbłaźnij się, stare bydle — zgrzytając zębami wołał na siebie w duchu — patrz na scenę !..."

Napróżno. Chwila była zanadto niezwykłą, ważną. Ta sukatrema, którą ujarzmił od lat tyłu, omotała go zniecka i pogrążyła w strasznej niemocy, w dziwnej, nieprzewycięzonej febrze lęku przed publicznym popisem, która siada na piersiach zamyka usta i z nóg wali.

Za chwilę miał wejść na scenę, pójść na pastwę czającego się w mrokach widowni tysięcznego potworu: publiczności, tej półpani, półdziewki, okrutnej i wspaniałej, zapalnej i szyderczej, szlachetnej i rozbestwionej, która kąsa bez litości, łasi się jak głaskany pies a czasem przybiera postać królowej, pełnej łask...

Nareszcie całą mocą zapatrzył się w grę aktorów. Lecz naraz uczył, że fantazyja w nim gaśnie, opuszcza go, a ogarnia lęk coraz większy

i niemoc dziwna, rozpaczliwa, niemoc zwątpienia o sobie.

To gra ich poczyniała nań tak działać. Porwawszy go przed chwilą, kiedy był w widowni, pełen jeszcze ognia, jaki w nim rozniecił dzień ten uroczysty i wszystko to, co lał od rana w gardło. — widziana teraz powtórnie, z tak bliska, okiem aktora, który sam ma niebawem stanąć z tamtymi w współzawodniczą szranki, podziałała nań wstrząsająco... Zdumiewał się!... To nie były ociężałe, zaspane, ziewające mruki z próby o żółtej cerze niedospanych nocy i kwaśnych minach ogólnego przesytu. Widział teraz przed sobą innych, pełnych ognia ludzi, którzy grą swoją zdawali się siać dokoła iskry a głosem jak dzwon brzmiącym rzucali w głąb sali dreszcze... To byli artyści!... Jakże się przy nich uczuł małym, nędznym, zniszczonym, zaszarganym...

Poczynęło mu być nieswojo. Gniótł go kostyum nieco ciasny i peruka, zbyt mocno związana. Duszność zaciężyła na piersiach. Radby był

czegoś się napić, lecz chętką do tego słabiej przemówiła niż zwykle. Natomiast nagły, bezrozumny, zwierzęcy pociąg wyrwania się stąd, gdzie był w tej chwili niezbędnym jak żołnierz na posterunku, targnął nim raz i drugi. Wyrwać się i uciekać, uciekać jak najdalej!... Zamajaczył mu przytem w wyobraźni obraz nocnego nieba pełnego gwiazd, dziwnie uroczy, z orzeźwiająjącym chłodem w powietrzu, gdzieś daleko, w cichym ustroniu, zdala, jak najdalej od straszliwego piekła ludzkiej sztuki, sztuki szaleńców, choćby pod samym progiem śmierci...

— Wychodzisz pan — szepnęła inspicjent.

Grał rolę gońca, wracającego z pola bitwy... Już o nim na scenie mówią... Król każe wpuścić przybyłego. Cizba za kulisami rozstąpiła się, popchnięto z tyłu Wylazłowicza, który naraz znalazł się w samym środku sceny, cały na oczach tłumu, a rotowy ogień rampy jak ślepie stu godzin albo jak ogniste zęby olbrzy

miej rozdziawionej paszczy sznurem elektrycznych płomyków bryzgnął mu w twarz.

Wpadł, stanął, wykonał bezwiednie przygotowany ruch i starając się tchu nabrać w piersi, otwarł usta... Lecz coś zatamowało mu oddech. Chciał mówić — nie mógł! W naporze wzruszeń tej doby kurcz nagły przebiegł jego pracujące od tyłu godzin nadmiernie naczynia, uczuł zimno w nogach a w piersi żar krwi wezbranej, szarpnął

rozpaczliwie całym ciałem, aby wyrzucić, wykrztusić, wyżygać z siebie ten głos niesforny, który go zdradzał w takiej chwili — i padł na deski z jękiem, jakby piorunem rażony.

Aktor, grający króla, ujrawszy to, zaklął pod nosem:

— Spł się kanalia... Także sens wpuszczać na scenę taką cholotę...

Uratował jednak zaraz sytuację, improwizując głośno:

"Zemdlał z znużenia! wynieście go z sali! "

Czterech dworzan podniosło Wylazłowicza i trup debiutanta znalazł

się za płótnami — taki śmieszny, niesmaczny, trywialny a zarazem błady niesfałszowanym realizmem swej prawdziwej śmierci na tle jaskrawem malowanych twarzy, płócien i uczuć udanych, jakie otaczały go dokoła.

OSTATNIA WOLA.

OSTATNIA WOLA.

P. Fąfłowa dręczyła jak zwykle fotel olbrzymim ciężarem swej potwornie rozrosłej tuszy, zużywając jeden Bóg wie który kłębek bawełny na jakąś szydełkową robotę i wyglądając czasem przez szyby na podwórko dla sprawdzenia, czy w licznych świecie kur, kaczek, prosiąt i gołębi, którymi zapełniała sobie czas i osobistą prywatną szkatułę, dzieje się wszystko jak należy. Tłuste, rozlane, napuchłe z braku ruchu babsko, robiła wrażenie ogromnej ropuchy, ubranej w pretensjonalny negliż małomiasteczkowej damy, choć była właściwie damą z przedmieścia.

Opodal przy stole siedziała jej siostra, sucha jak rożek świętojańskiego chleba wiedźma z złośliwie zaciętymi ustami i ze skupieniem obierała sobie nożem jabłko, część skromnego drugiego śniadanka, którym ją raczono w zamian za peryodyczne odwiedziny domu zamożnych krewnych z torbą świeżych plotek. Różnice majątkowe utrzymywały między siostrami ton wielkiej rezerwy, z powodu ciągłej obawy radczyni, aby z ust siostry nie usłyszeć prośby o jakąkolwiek pomoc. Mówiły niewiele i z góry zawsze obliczając słowa, jedna aby nie spoufalać sobie tamtej, druga, aby nie zrażać tej.

Naraz Fąflowa, wyjrzawszy przez okno z ponad dwóch strasznych jak kule armatnie dużego kalibru wzgórz biustu nad wszelką, zwykłą miarę rozkwitłego, wysapała żywo:

— Oho! coś się musiało stać...

— Czemu?

— Leopold pędzi jakby go kto gonił.

Tamta podbiegła do okna coprędzej, i w rzeczy samej ujrzała

czerwoną, krwistą twarz szwagra, o typie niemieckiego oberżysty, świecącą od potu pomiędzy dwoma krzakami brunatnorudych bokobrodów, które rozdzielał sterczący jak klucha nos mięsisty, nad nim oprawne w złoto okulary. Biegł z jakimś kurczem niecierpliwości, pośpiechu i przelęknienia w twarzy w skos środkiem dziedzińca poprzez błotnisty rynsztok i przez sarną niemal kałużę u studni, nie zważając na przeszkody, usuwając je z drogi energicznie, jak to prosię, które kopnął, aż puściło się w nogi galopem, kwiknąwszy w niebogłosy.

Było rzeczą widoczną, że stało się coś ważnego. Leopold Fąfel bez, żadnego powodu nie zachowywał by się w tak alarmujący sposób.

Widząc, że wbiega na tylne, bliższe schody, utkwiły oczy w drzwi pokoju i z otwartymi ustami czekały jego wejścia. Jeszcze drzwi całkiem nie rozchylił a już z zadyszanej piersi wyrzucił drżącym, zmienionym głosem:

— Ciotka kona!...

W tej chwili żona drgnęła w fotelu, siostra jej zaś podbiegła ku szwagrowi, obie wykrzykując prawie równocześnie:

— Jezus Marya ! Nie może być !...

— To i Klara tu jest?...

Ugryzł się w język. Nie wiedział, że żona nie jest samą, najniepotrzebniej się wygadał. Ale już było za późno, stało się.

— Ubieraj się natychmiast — rzekł do żony, po błyskawicznym namyśle osądziwszy, że na jakiegokolwiek wykręty brak czasu — musimy tam zaraz jechać... Antkaa!!...

Klasnął w ręce na służącą.

Ogarnione ciekawością, miały ochotę zarzucić go pytaniami. Lecz znały jego popędliwość, bały się zaczynać w takiej chwili. Widząc go zdenerwowanym do najwyższego stopnia, poczęły się ubierać szybko i w milczeniu. Klara potrzebowała włożyć na głowę tylko kapelusz, potworną nastroszoną kokardami budę, stylową oprawę maski starej więdźmy, w której twarz jej osiągała dopiero cały efekt swego typu. Fąflowa zaś

kaczmy chodem potoczyła się z trudnością ku szafie i poczęła zdejmować z kołków części toalety do wyjścia, z pudła kapelusz.

Ukazała się sługa.

— Idź po dorożkę — zawołał. — A nie sprowadź jakiej obdartej.

Siostra, aby złagodzić czemś przyjemność swego towarzystwa w takiej chwili, pomagała Fąflowej ubierać się. On tymczasem ocierał chustką czoło i kark z potu, który je zraszał obficie w ten dzień lipcowy, upalny.

— Wczoraj się położyła — zaczął mówić urwanemi, drgającemi z rozdrażnienia zwrotami — a dziś już był ksiądz...

— I co się jej stało?!...

— Nie wiem, nic nie wiem!...

— Byłeś tam?

— Tak. Tylko w przedpokoju. Wpadłem w przechodzie, nie przypuszczając nic złego, a tu się dowiaduję od służki, że pani umiera. Spała. Wygląda, jakby już nie żyła. To będzie koniec z pewnością. No!... siedmdziesiąt dziewięć lat. !... Zresztą.

doktor ją zeszłego roku błagał, żeby coś robiła, pamiętacie?...

— Czemu nas od razu nie zawiadomili?

— Bo ja wiem. Ciotka przecież zawsze była skryta. Posługaczka powiada, że dopiero rano dowiedziała się o wszystkim, bo ona tylko raz na dzień przychodzi, zrana...

— Sliczna historia!... Mogli ciocię przez ten czas obrabować...

— To też badałem, czy kogo tam nie było prócz spowiednika. Nikogo. Zakazałem wpuszczać.

— Bardzo słusznie.

Zapanowało milczenie. Żona Fąfla poczęła się zzwawiej ubierać, jakby mocniej zaniepokojona tem, co się u ciotki stać mogło dotąd i jeszcze stać może. On chłodził się chustką, rozwalony w fotelu i nasłuchiwał powrotu służki.

Usłyszawszy bębnienie jej bosych pięt na schodach, wstał, obciągnął kamizelkę na brzuchu, poprawił okularów i sięgając po kapelusz i laskę:

— Gotowaś?... Spiesz się... Nie ma czasu do stracenia... — rzekł

szorstko do żony, umyślnie ignorując siostrę, skoro nie mógł jej wprost powiedzieć, że obecność jej jest mu w tej chwili wcale nie na rękę..

— Już... już...

Drżącymi palcami dopinała guzików i haftek, gładziła dłonią włosy i przebiegała oczyma swą postać w lustrze.

— Chodźmyż.

Poczęli zstępować ze schodów. Fąfel zbiegł od razu truchtem, zostawiając baby za sobą. Żona ledwie była w stanie odbyć tę karkołomną wyprawę ze względu na wagę swego ciała. Dopiero przed samym wyjściem na ulicę podał jej ramię gościem czułego męża, podprowadził do drzwi doróżki i pomógł wsiąść. Nareszcie ruszyli z pod swego domu, pryncypalną ulicą, odbierając zewsząd uniżone pokłony przedmieszczan, czczących głupowatym podziwem ciemnej i spodłonej zabiegami o grosz dziczy jego minę arogancką, nadętą minę dorobkiewicza spanoszonego na lichwie, na wszelkiego rodzaju kramarskich, brudnych spekulacjach i obrotach;

— jego złote okulary, jego wielki brzuch, łańcuch na brzuchu, brylantową spinkę w krawacie, połyskujące pierścieniami palce, aksamity, jedwabie, pióra i biżuterie jego żony, przy których skromna toaleta ubogiej siostry, starej panny, dlatego tylko nie raziała zbytnio, że ją opromieniał blask tak blizkiego pokrewieństwa z domem pierwszym w dzielnicy, której mieszkańcy słynęli jako znakomici specjaliści w hodowli i handlu świń. Sam Fąfel świniami co prawda nie handlował, ale jak wszyscy świniarze przyznawali mu zgodnie "na świńskich interesach" znał się jak mało kto. Dlatego to z niczego dorobił się w ciągu krótkiego ludzkiego żywota kilkudziesięciu tysięcy majątku, nie umiejąc ani ortograficznie pisać ani całkiem gramatycznie mówić, nie mając w ogóle żadnego określonego fachu.

— Poganiaj no przyjacielu... Czy ty tej szkapie nie dajesz co dzień jeść?...

Bat świsnął, biedny, zmęczony, dawno wyzuty z wszelkich pociągów

wych ambicji siwek szarpnął, zbudzony z zadumy, silniej dyszle i wrócił na chwilę do ospałego półkłuska.

W dorożce tymczasem trzy osoby, wściekle na odległość mieszkania ciotki, krótkimi i jak najbardziej mglistymi, ze względu na woźnicę, zwrotami omawiały swe obawy, przechodziły możliwe niebezpieczeństwa, wyliczały komplikacje, wszystkie przyjaciółki ciotki, cały szereg dewotek i pieczeniary, z którymi stara żyła i którzy w tej chwili krytycznej przedstawiali się ich chciwości jak stado dzikich bestyj, czyhających skrycie na łup, im, rodzinie z prawa należny.

Stosunki między nimi a starą nie były najlepsze. Zachowywano pozory, ale nienawidzono się z całej duszy. Ciotka nienawidziła siostrzenice i rneża jednej z nich, bo czuła, że wyglądają, niecierpliwie dnia jej śmierci i tego, co po niej zostanie. Tamci zaś nienawidzili starą za męki tego bezterminowego czekania i niepewności, za jej skąpstwo, za jej przenikliwe spojrzenia i szydercze

aluzye, za to że swoim życiem, swymi stosunkami i swą ofiarnością bigotki uszczuplała spuściznę, za to nakoniec, że nienawidząc ją — musieli jednak, dla wątpliwych ochłapów schedy, łasić się jej jak psy.

Odbywszy wreszcie tę drogę krzyżową, która wydała im się dziesięć razy dłuższą niż kiedykolwiek, wpadli jak burza do mieszkania.

— Nie było nikogo? — zapytał Fałel z góry służące, przewiercając ją groźnym wzrokiem.

— Ani żywej duszy. Odetchnął.

Weszli na palcach do sypialni, w aktorskich pozach bezdennego smutku, strzelając przytem badawczo oczyma po wszystkich kątach pokoju, przyćmionego opuszczoną roletą.

— Kto tam?... — zajęczał chrypliwy głos z głębi poduszek.

Kobiety zdobyły się z wrodzoną łatwością na łkanie, pełne bólu:

— To my... ja i Klarcia... cioteczko...

I jakby na komendę, przypadły na klęczkach do łóżka, na którym

spoczywała bez ruchu zrezygnowana, oddająca się śmierci bez oporu, zgrzybiała reszta człowieka, w trzech czwartych już oderwana od wszystkich spraw świata, daleka i obojętna na jawną komedię tych zwierząt pełnych życia i jego żądź drapieźnych.

— Ciotucho!... — zawiodyły z płaczem udanej rozpacz. — Droga ciociu!... Cóż to się stało?!...

Nieprędko wydobyła się z ust starej zupełnie oschła odpowiedź:

— Umieram.

— Nie! nie !... To nie może być!...

— Zobaczycie.

Poczęły szlochać, wyrzucać jej czule, że, skoro obawiała się śmierci, nie wezwała ich, aby się pożegnać, aby mogli poznać... i wypełnić... jej wolę., jej świętą dla nich ostatnią wolę...

Nieczuła na to objawy serca, milczała jak grób.

Wtedy krewkość Fafla zagrała. Widząc, że lzy bab nie czynią na umierającej wrażenia, słodkim, łagodnym tonem, po za którym wrzało

gwałtowne tętno jego hamowanej chciwości i pasyi, począł jej przekładać, że tak się przecież nie odchodzi, że ci, którzy należeli do siebie i kochali się za życia, nie mogą rozstawać się bez jednego słowa i bez pamiątki...

Aby nie tracić czasu na frazesy, po paru ogólnikach przystąpił do rzeczy:

— Przyszliśmy zapytać ciocię o rozporządzenia... dopilnować, żeby to, co zostanie, nie dostało się byle komu...

Znów milczenie, długie, torturujące milczenie a z rozwartych, słabo dyszących ust staruchy zdawał się duch ulatać, pozostawiając na łup adwokatów i sądów, pieniactwa dalekich krewnych i poborcy podatkowego to, co się tak pięknie dało załatwić po cichu, między swymi. Lecz jak zmusić starą do objawienia jej woli? W tej niepewności nerwy trętwiały w nich z obawy i gniewu.

Wreszcie zatoczyła po pokoju niedbale łuk ręką, jakby chciała po

wiedzieć: "A bierzcie sobie wszystko drapieżcy, co tu jest..."

Na to tylko czekali. Rozpoczęła się od wieków ta sama scena: wilki rzuciły się na ranionego towarzysza, aby podzielić się jego ścierwem.

Fąfel ruszył natychmiast ku komodzie, kobiety opuściły łóżko chorej, odnaleziono w mig klucze, powyciągano szuflady, zaczęto szukać, płądrować, odwijać zawiniątka, otwierać szafy, szkatułki, pudełka, etui. wiedziano bowiem, że stara oprócz kilkutyśięcznego kapitaliku, ulokowanego na książeczkę, miała mnóstwo złota, kochając się w wartościowych, ciężkich biżuteryach, których nie nosiła, jedynie dlatego, że cieszyły jej kobiece oczy i że wydawały się jej pewną lokacją pieniędzy.

Fąfel, który nie dowiedział. podniósł storę i wpuścił do sypialni powódź światła wprost na oczy umierającej.

Jęknęła żałośnie:

— Zasłon!...

— Pozwól ciotuniu chociaż do połowy, tylko na chwileczkę... Boję

się czego przeoczyć, chcielibyśmy dokładnie spełnić twoją ostatnią, wolę...

Wydała cichy jęk, za słaba do oporu.

Poczęło się rozdrapywanie drgającymi z chciwości rękoma pierścieni, zegarków, kolczyków, bransolet, całego małego kramu jubilerskiego, który rósł w oczach i po wypróżnieniu wszystkich schowków przedstawiając wartość paru tysięcy, niecił zbrodnicze błyski w oczach trzech osób, pilnujących sobie palców z wyteżoną uwagą złodziei, którzy się dzielą łupem.

Gdyby przeklęty pech nie był zwałił im na kark Klary, Fąflowie zaprezentowałiby po prostu ryczałtem całą kupę precyozów właścicielce i włożywszy jej w usta słowa: "weźcie to sobie" — schowali wszystko do kieszeni i basta.

Drobnostką zapchałoby się potem gębę siostrze. Ale obecność jej tutaj zmuszała do jakiego takiego podziału. Świecono więc po kolei starej w oczy, których nawet nie otwierała, jedną sztuką

złota po drugiej i pytano ze łzami nieutulonego żalu w głosie:

— Zegareczek z brylancikiem... Komu go przeznaczasz cioteczko ?

— Weź — odpowiadała dla świętego spokoju.

— Bransoletka... ta z łańcuszka... Dla kogo ma być ciociu ?... Obiecała ją ciocia raz Julci... — poddawał Fąfel bez ceremonii imię żony, wpierając niebyłą obietnicę.

Chora kiwnęła głową potakująco.

— A ten medalion dla kogo ?... A to?... A to?.. Dla mnie?!... Stokrotne dzięki!... O! droga! biedna ciotuniu !...

Ale dla Klary, która była tu sama jedna, solidarne działanie siostry i jej męża przedstawiało zbyt trudne i niebezpieczne współzawodnictwo. Zagłuszali ją, wyrwali jej z przed nosa biżuterię, po które już wyciągnęła rękę, czekając na swą kolej, żądając, jak zawsze słabsi, tylko równego podziału. Już ją parę razy orznęli, wepchnąwszy jej gorsze sztuki. Nareszcie znecierpliwiona i wzburzona zbuntowała się.

— Wy sobie wszystko, co lepsze, zabieracie! — wybuchnęła.

Przeszył ją wzrokiem. Siostra parsknęła jak kot, do którego miseczki pies się zbliżał:

— Tybyś wołała sama zabrać!... Byłoby przyszło do kłótni, gdyby nie głuchy jęk starej:

— Męczycie mnie !... Dzielcie się w domu...

— Mamy się równo podzielić? prawda ciociu?... — poddała błagalnie skrzeczącym, zeschłym głosem starej panny Klara — Całkiem równo !

I zaraz do szwagra:

— Wyście sobie już wzięli trzy zegarki i to najdroższe a ja nie mam ani jednego... Podział ma być równy, jeden mnie się należy.

Wiedziała, że im się straszliwie naraża, ale zaślepiała ją zazartość, była zdecydowaną na wszystko, byle wydrzeć swoją część. Podobna okazała nie powtórzy się więcej !...

— Ciocia sama tak kazała, a co raz przeznaczone, to już przepadło...

— Mniejsza o to. Dzielimy dalej.

— Podzielimy się w domu.

— Ja nie chcę, ja chcę tutaj. — Opamiętaj się kobieto!... Nie zniżaj się nad chora, osobą...

— A kto zaczął?!... Ja w domu nie chcę, nie ruszę się stąd. Możemy się dzielić w drugim pokoju. Żarli się przez godzinę za ścianą o kawałeczki żółtego metalu, natykane kolorowymi kamyczkami.

Potem jednak wrócili do chorej dla załatwienia najważniejszej kwestyi: książeczek oszczędności. Nie znaleźli ich dotąd nigdzie, obliczali ich wartość w przybliżeniu na sześć do siedmiu tysięcy.

— A. jakże będzie z kapitałem cioteczko?... — zapytał Fąfel najstodsza z swych dobrotliwych intonacyj a nie miał ich wiele w swej lutni.

Nie zwlekając tym razem, silniejszym niż poprzednio głosem, w którym drgnęły resztki życiowych namiętności, wyrzekła stara wznosząc głowę i wpijając się w jego oczy dawnym swoim przenikliwym i szyderczym wzrokiem:

— Pieniądze dałam na kościół.

— Wszystkie?!...

— Wszystkie co do centa. Go?... Co?!... Na kościół?.., taką kwotę?!... z krzywdą najbliższych! z krzywdą własnej rodziny?!...

— Kiedy ciotka dała? — indagował, hamując wzburzenie.

— Dziś.

Dziś?!.. A to ślicznie. To szlachetnie!... W godzinie śmierci, przed samem rozstaniem, na chwilę przed stawieniem się na sąd Najwyższego!... kiedy się powinno zaskarbiać miłość i dobrą pamięć u żyjących, okupić grzechy, odwdzięczyć, co się doznało dobrego!...

— To niegodziwie!... Ciotka jesteś bez serca!.. Nie miałaś go zresztą nigdy... To jest krzywda, która odezwie się na tamtym świecie... Ale ja to zwałę... Ja dojdę, kto od ciotki wyłudził to, do czego my tylko mieliśmy...

— Dałam dobrowolnie — wyrzekła stara pewnym głosem.

Te wrzaski brutalne musiały jej sprawiać ogromną rozkosz, dawno oczekiwaną, przygotowywaną długo

rozkosz odwetu w nierównej walce o żer tych, co zostają i tych co odchodzą, egoizmów. Stara nie była ideałem. I ona ciułała z lichewki i jej dar przedśmiertny był ostatnią tylko ziemską spekulacją — z której zyski miały się okazać za grobem. Scena, którą się napawała teraz, to był zysk poboczny, zaliczka doczesna na rentę pośmiertną. Wiedziała przecie, że musi umrzeć pierwsza i że na jej śmierć czekają. Jeżeli ją jednak te hyeny, przykutą do łóżka konaniem, złupiły z części mienia — nie rozdrapuj, przynajmniej wszystkiego!..., nie obłowią się lwia częścią!... nie! nie pożywią się tak jak myśleli!...

— Nie zapomnimy tego ciotce nigdy !!.. — warknął tymczasem Fafel.

Nagle wątła iskierka ożywienia zgasła, pozbawiając ją odrobiny sił, jaka w niej jeszcze tliła. Zbolałym głosem rozdeptanego zwierzęcia, które konając pluje jeszcze sykiem nienawiści i wzdargy w oczy swego mordercy, zawołała:
— Precz!... precz stąd!...

— Dobrze! Chodź Julka... Idzie

my. Idziemy do sądu — wykrzyknął.

Zaperzony do najwyższego stopnia, przyparł w sionce do muru sługę, która ustąpiła im z drogi wylękła, porządkując już w głowie materyał do jutrzejszych plotek.

— Kto spowiadał panią?

— Ks. proboszcz.

— Jedź na probostwo ! — wrzasnął na furmana i popędził sani w tumanach kurzu, zapomniawszy o kobietach, o żonie, która nie nadążywszy na czas, aby wsiąść z nim razem, wzrokiem bezradnej rozpaczy pobiegła za oddalającą się dorożką.

Zygmunt Niedźwiecki.

SŁOŃCE.

Nowelle i szkice.

Słońce. — Zwierzenia. — Posag. — Życie. — Pies. — Nieszczęście. — Mara. — Kłopot. — Wybór. — Matka. — Klucze. — Opiekunowie. — Krzyk. — Pulares. — Ojciec. — Pierwszy maja. — Nowa era.

Kraków.
Nakładem autora.
Czcionkami Drukarni Związkowej
pod zarządkiem A. Szyjewskiego.

SŁOŃCE.

Było to na samym wstępie wiosny.

Dziwna błogość zbudziła mnie owego jasnego i ciepłego rana, po całym szeregu ranków zimnych, ponurych i dżdżystych, które zatrzymują w łóżku, gwałtem zdając się nam przymykać powieki, aby oku zasłonić, budzącą się smutno i niechętnie chorą postać świata w zimie.

Kiedy spojrzałem na mój pokój, który mroki zimowe prawie oplakany czyniły, nie poznałem go zrazu, tak był dzisiaj odmieniony, uśmiechnięty i świetlisty, niby umyty z brudu i smutku czarodziejskim spojrzeniem wiosennego poranku. Tryskało ono z okna, z tego posepnego, drzemiącego od tyłu miesiący oka mej siedziby, rozjaśnionego w tej chwili całym blaskiem młodości, który palił się niby w źrenicy w jarzącym na tle błękitu, pomiędzy osmalonemi łbami kominów przeciwległej oficyny, kręgu słońca, podobnym do olbrzymiej kropli kipiącego złota. Zerwałem się szybko z pościeli, umyłem i ubrałem ochoczo, i pobiegłem czemprowadzić do okna, dokąd zda

wały się wabić, przyzywać odgłosy rozbudzonego podwórza: śmiechy kucharek, pisk pompy, szczęk roztwieranych drzwi i okien — nagłąc, abym i moje otwarł, szeroko, na rozcież, w gościnny, nową porę roku zwiastujący sposób. Z jakąż rozkoszą wystawiłem się na gwałtowny podmuch świeżego powietrza, które wraz z ciepłem i jasnością rzuciło się do pokoju, niby gość dawno niewidziany, niby stary, dobry przyjaciel, pewien, że go oczekują z upragnieniem, który porywa oburącz za szyję, całuje w oba policzki i powtarza bez końca serdeczne, radosne: "jak się masz!"... Upojony nawet tą odrobiną uroków wiosny, jaka ponad zbutwiałe dachy zlewała się w czeluść oficyn, zwróciłem się teraz ku wnętrzu mego mieszkania. Sprzęty, ściany, zdawały się jakby zdziwione w napierającym na nie zewsząd przypląwie świeżości i chłodu, w tej wesołej pozłocie promienistego dnia, co je zdobiła — tylko pokoik taki był ciasny, tak mały i duszny w porównaniu z nieskończonym bezmiarem światła i woni tam, na dworze, pod gołym niebem, którego odrodzenie udzielało się światu całemu.

Co żywo więc wybiegłem z domu, by użyć do syta wiosny, by się nią napaść, orzeźwić, odrodzić.

Na ulicach — istny raj! Co za ruch! Co za upojenie! Jakie rozradowane twarze! Jakie świetne toalety! We wszystkich zaś oczach, w każdej szybie, w dachach pojazdów, w guzikach odzieży, w kałużach nawet iskrzyły się złote odbłaski,

spadające na świat z olbrzymiej błękitnej przepaści niebios, w owej promiennej, ognistej, kuli biorąc początek — jak w źródle.

Wszystko w tym najeździe promieni igrało: ludzie i zwierzęta. Wszystko zdawało się trzepotać jak wróble i jaskółki, jak one zrywać do lotu, zazdroszcząc ptakom, że mogą wlecieć ku słońcu, unurzać się, umyć, skąpać do woli w wylewie jego światła, być bliżej niego, bardziej w niem. Nawet domy śmiały się barwą tynku, jaśniejszą w świetle, i zdawały się z lubością prostować swe mury strętwałe, skurczone w zimowych mrozach.

Zwolna — pełne podziwu, bezwiedne zapytanie bez słów wypełniło duszę mą, drżącą z rozkosznego pragnienia i nadziei szczęścia, kiedy podniosłem oczy tam, gdzie je wszyscy wznosili — ku słońcu.

Czem jest ta jarząca bryła, zawieszona na wysokościach, która w wyniosłem milczeniu bóstwa, dumnie i przyjaźnie zarazem spogląda co dnia swem promienistym obliczem z niedoścignionej dali nieba? ten olbrzym szczeroloty, od którego bije potopem żar i jasność, przed którym można się ręką zasłonić a niepodobna ukryć się ni uciec, który rozprasza samobójcze zamysły desperata, darzy natchnieniem artystów, przywraca żyźność ziemi, do którego blasku tęskni dogorywający suchotnik, ku któremu zwracają swe kielichy kwiaty, który daje rumieniec kobiecie i hasło miłości wszystkiemu, co żyje?... Czem jest ten odwieczny dobroczyńca światów, od którego mamy wszystko: każdą barwę z barw miliona, każdą drobinę ciepła, każde ziarenko życia w sobie i dokoła siebie, którego przyjsie budzi i rozwesela, a oddalenie się usypia, zasmuca? Czem on jest?!...

Upojony radością, jaka przenikała wszystkich, upojony ruchem, blaskiem wiosny, i tem rozkosznym przeświadczeniem, że odpowiedzią na me pytania jest szczęście, zalewające świat cały, zwracałem raz po raz ku

słońcu takie spojrzenie, jakie prawowierny zwraca na obraz bóstwa, które czci i od którego, wierzy, iż ma wszystko. Gdym dotarł do parku, w tej oliwili bezlistnego jeszcze labiryntu drzew o gałązkach połyskujących, jakby je werniksem pociągnięto, gdym usiadł na jednej z ławek, najbardziej wystawionej na słońce, i uczuł się niby w samym centrum spadającego na świat uśmiechu niebios, tak mi było wówczas dobrze i tyle we mnie było wiary w piękność i dobro życia, które zawisło od hojności owego nadpowietrznego bogacza, zdającego się mieć same łaski do rozdania z nieprzebranych skarbów swoich!...

Naraz moje refleksye, będące raczej nastrojem, wynikłym z oddania się; rozkosznym wrażeniom zmysłów — przerwała niespodzianka. Pospolity zresztą psikus pogody wiosennej: zbierało się na deszcz. Żywy ruch powstał w ogrodzie, gdzie wiele osób używało przechadzki. Wszystko biegło do ciasnego pawiloniku, aby się schronić przed słońcem, obiecującą deszcz nawałny. Pospieszywszy za innymi, skorom się znalazł pod dachem, puściłem znów wodze oczom, i tu, w ogród, i tam, w widne za sztachetami ulice...

Co za zmiana!...

Ubyło światła, zbladły barwy, krajobraz zamglił się i zszarzał. Zniknęły na niebie lazury, słońca i wszystkich wyczarowanych przez nie cudów ni śladu — przepadły gdzieś w szarej mgle. Tylko mały i drobny deszczyk, gęstniejąc, coraz głośniejsz szepcze: "otóż mie macie! oto jestem! czy długo dałem na siebie czekać?" A od spadających z nieba sznurami kropki bije ku nam z wodą, w pył rozbity, chłód i wilgoć.

Wszystko się kryje i kuli. Ludzie i zwierzęta wylękli szukają schronienia przed ulewą, która z chmurnej przepaści nieba pluje ziemi w oczy kipiącym gniewem, wściekłością, niemal wzdardą. Wszystko zdaje się zapadać w smutek i martwość, jakby uśmiechy, na jaw chwilowo dobyte z żywej i martwej natury, ukryły się napowrót w głąb przedmiotów, spłoszone, jak gdyby świat zapadał w strętwienie płazu, pozbawionego ciepła...

Wszystko staje się znów brzydkim i nędznym, jakim było, jakim jest. Nadane rzeczom małym i lichym krótkotrwałe pozory piękna zniknęły — odkrywając tem wyraziściej rzeczywistość, ich, tak marną postać...

Jestże to piękno tak znikomem, nietrwałem, aby mogło w jednym mgnieniu oka pierzchnąć? Czy ta jego znikomość nie dowodzi raczej, że jest ono złudzeniem tylko?

Po co jednak się pojawiało — lub na co teraz ta brzydka i smutna chwila w naturze? — czy na to, aby tem większe wrażenie wywierał ukazujący się na chwilę promyk słońca?

Dlaczego zło zatruwa nam przyjemności życia? Czyż naprawdę, nie umielibyśmy ocenić szczęścia, gdyby nam go zgryzoty i przykrości nie przeplatały? Jesteśmy więc tak podłym gatunkiem zwierząt, że postów i plag potrzeba, abyśmy chwile spokoju i sytości należycie cenić umieli?

Dlaczego raz musimy ziębnąć, drugi raz usychamy w skwarze? Dlaczego kurczymy się posepni z braku światła, to znów lubujemy się jak szaleni jego nadmiarem? Czemu zdrowie nasze, dobrobyt, szczęście, gieniusz nawet! jak chcą niektórzy — zawisł od kilku promieni odległej gwiazdy, która daje nam je luli ich skąpi, niby żywa, ludziom podobna, ich kaprysami kierująca się

istota?... Dlaczego nie jest nam zawsze dobrze — a jeśli inaczej być nie może, niżeli jest, czemu dręczymy się tem, że tak jest?... Czemu słońce... Och! słońce! dobroczyńca!...

I czemuż ono jest w istocie dla nas, czem samo w sobie to boskie, to uwielbiane słońce, które jakiś naród uczynił sobie bogiem?...

Słońce!... Widzę teraz dobrze, widzę najdokładniej wszystkie jego cuda i łaski, rozumiem je i oceniam.

Słońce to, które raz grzeje, uzdrowia, wzbogaca, to znowu pali, ogładza, zabija, które daje noc i dzień, zdrowie i choroby, mróz i suszę, pogodę i huragany — które z niedoścignionej dali jednym rzutem swych promieni zsyła błogosławieństwa lub klęski, wszystko złe i wszystko dobre, w jakim streszcza się, egzystencja, jednostek i pokoleń, to słońce... to kłamca! największy z kłamców i krzywdzicieli naszych po wszystkie wieki!

Kłamie ono, bo wytwarza rzeczy złe, brzydkie i znikome a daje im doskonałą postać, bo jest źródłem wszelkich złudzeń i wszelkiej zmienności odmętem, w którym niedocieczoną pozostaje prawda.

Czem bowiem jest świat? czem jest życie nasze, czem każda rzecz pod słońcem, jeżeli dość jest kilku mniej albo kilku więcej jego promieni — tylko tyle!... aby je pokochać lub niemi wzgardzić?...

Jaką jest istota rzeczy, ciągle odmieniających swą postać? Gdzie prawda?... i czyli jest w ogóle prawda? Czy wszystko ustawicznie nie kłamie? Czyż nie padamy ofiarą ciągłych kłamstw naszych słabych zmysłów i naszego ułomnego umysłu? Czy nie przeczymy jedni drugim we wszystkim? czy nie ma sprzeczności i wahań nigdy nierozstrzygniętych w nas samych? Gdzie pewnik,

któregoby ktoś nie wydrwił, gdzie świętość, którejby nie zdeptano, gdzie dobro, które nie byłoby zarazem złem? Co wartem jest życie, gdy raz zabijamy drugich, by je zachować, drugi raz zwracamy dłoń przeciwko sobie, byle się go pozbyć? Czyż niejest, czy nie musi być fałszem wszystko, na co się składają miliardy drobnych fałszów i pozorów, jakie napotykamy na każdym kroku? Czy nie jest fałszem dobro? piękno? zdrowie? cnota? siła? cywilizacja które ciągle nas zawodzą i zdradzają, jak zawodzą i zdradzają usta i oczy kobiety, jak kłamie nauka, obalająca dziś, co podawała za pewnik wczoraj, jak okłamujemy my sami — siebie i drugich — bezwiednie i rozmyślnie.

Nie jestże kłamstwem prawda? a nawet samo jej przypuszczenie ?

A jeżeli w życiu nie ma prawdy, lub dotąd w pogoni wieków za nią nie osiągnęliśmy jej — co ją zasłania lub wyklucza? Czyliż nie słońce jest winnem wszystkich kłamstw i złudzeń życia, — słońce, które to życie wytwarza?...

O! czemuż świeci?!..

Naraz deszcz ustał. Ostatnio krople spadły na ziemię z gałązek drzew i dachów, tu i owdzie zawisło ich kilka i świecą jak brylantowe perły, świecą coraz żywiej, a jaśniejące w nich iskierki rozszczepiają się na kilka barwnych promyków, aż zajaśniały siedmiu kolorami tęczy...

Słońce znów weszło!

Cicho, z nienacka, bez szelestu, zalało ciepłem i światłością stumilowe przestrzenie od jednego błysku, rozsypało barwy, blaski, ożywiło świat cały.

Ptaki, wywabione z kryjówek, poczynają świergotać, otwierają się drzwi, okna, i ludzie, wybiegłszy z domów, witają uśmiechem podziwu słońce, które w tryumfalnym powrocie barwistą wstęgą tęczy spętało niebo...

I znowu ruch, wrzawa! — rzekłbyś: szczęście wstąpiło w świat — z pełnej piersi dyszą wszyscy uludną rozkoszą życia... Zapomnieli, że przed chwilą było im zimno, ponuro — lecą oślep na przynętę zwodniczych blasków, niepoprawni, nienauczeni niczem...

Ja sarn... czuję to... jak inni... dają się jego wpływowi owładać... Czuję, że mi znów lepiej, weselej... że znów, jak wszyscy, rzucę się w jego topiel z rozkoszą... jak zdradzony kochanek rzuca się w objęcia zalotnicy, mającej nad nim władzę...

I na myśl o tem, jak jedni są ślepi a inni słabi, jak wszędzie i zawsze jesteśmy bezsilnymi ofiarami wyższych sił, na domiar męki świadomości naszej niedoli, na tę myśl dusza tak mi się zasepiła, serce tak się ścisnęło, że pośród śmiechów, poprzez radosny tłum, w ulewie jasnych promieni słońca, pokrzyżowanych milionem refleksów barwnych, uciekłem z pochyloną głową, zgnębiony i struty, aby nie patrzeć, nie dać się mamieć kłamliwemu widowisku. A wpadłszy do mieszkania, zasłoniłem okno, z ukrytą w dłonie twarzą rzuciłem się na łóżko i płakałem, płakałem z takim bólem, jak gdybym poznałszy nicość wszystkiego i straciwszy ostatni promyk wiary w to, co kochałem a bez czego żyć niepodobna, oplakiwał odwieczną nędzę ludzką, która — kiedyż się skończy!...

ZWIERZENIA.

Po saloniku, urządzonym starannie i nie bez pewnych pretensyj krawczyni, potrzebującej ujmować sobie klientele dowodami smaku i zamożności, nie bez kokieterii kobiety trzydziestodwuletniej, wyglądającej na znacznie młodszą, oraz wdowy, stęsknionej za mężem — przechadzała się pani Walentyna w toalecie do wyjścia. Odkąd Placyd oświadczył się o jej rękę i został przyjęty, dwa razy świeższa, ruchliwsza i bardziej ożywiona, niż kiedykolwiek, promieniała zadowoleniem. Barwiło ono jej twarz rumieńcem a z oczu tryskało iskrami odrodzonej, tryumfującej zalotności. Niknęła też przy nich lekka chmurka na jej czole, podobna do oznak owego nieokreślonego niepokoju, jaki zwykł towarzyszyć stanowczym i ważnym chwilom w życiu.

Wtem twarz wyczekującej zajaśniała wyrazem nagłego, radosnego ożywienia. Skinąwszy głową w stronę okna, przy którym stała od chwili, opuściła je szybko, spójrzała w przechodzie w lustro i odetchnąwszy głę

boko, z wargami w pół już rozwartymi do odezwania się, zatrzymała się na środku pokoju, twarzą ku drzwiom.

W parę chwil ukazał się na progu Placyd, poprzedzony skrzypiacern echem kroków. Przedstawił się bardzo korzystnie w swym nowiutkim garniturze, wyświeżony, wygolony, z kokieterijnie ułożonymi wąsami i muszką w cieniu dolnej wargi, na uśmiechniętej, pełnej twarzy doskonale zachowanego letniego kawalera, który czuje jeszcze potrzebę małżeństwa.

W chwili, kiedy przystając u drzwi, składał szarmancki ukłon, pani Walentyna serdecznym ruchem wyciągnęła ku niemu rękę i ozwała się wesoło:

— Ależ doczekać się pana nie można! Sądziłam już, że się rozmyśliłeś i nie nie będzie z zapowiedzi...

— Co znowu! — zaprotestował. — To mnie raczej lękać się należy, aby mi słowa nie zwrócono.

— Komu też to udawać takie obawy? — z uśmiechem przerwała kobieta, czując już na swej ręce ciepłe dotknięcie mięsistych jego warg, którymi przedłużał to powitanie znajomych, dobrych znajomych od lat kilku, którzy sobie ufają, lubią się i są pewni, że będzie im razem dobrze.

Przystępowali oni do tego spóźnionego trochę związku dobrowolnie, chętnie, a na pół żartobliwie, jak ludzie znający życie i przebaczący mu jego złe strony, po dobre zaś sięgający z uśmiechem. Nie pierwszej młodości, co prawda, nie byli jednak jeszcze starzy. Placyd, urzędnik miejski, miał ładną pensję, ona zaś pokaźny dochód z krawieczyzny, uprawianej z powodzeniem na czele kilkunastu dziewcząt, których języki, oczy, serca i uzbrojone igłą palec, w zarówno szybkim były ruchu. Prócz tego Placyd ujmował sobie młodą wdówkę trze

żwym poglądem na świat oraz pobłażliwością, właściwą ludziom dobrego zdrowia, serca i humoru — ona zaś dziwnie przystawała do wszystkich jego zamiłowań swoim cokolwiek nerwowym temperamentem gadatliwej śmieszki, której z oczu patrzyła szczerą obietnicą wielu ciepłych uczuć.

Oderwawszy nakoniec usta od ręki kobiety, odparł Placyd z niejaką powagą na jej żartobliwe pytanie:

— Obawy te woale nie są udane, i właśnie miałem panią prosić w tym względzie o chwilkę posłuchania, zanim udamy się na probostwo.

Wpatrzyła się w niego zdziwiona.

— Koniecznie przedtem ?

— Koniecznie.

Ręce ich rozeszły się — kobieta zaś pokręciła głową, żartobliwie udaną podejrzliwością pokrywając niepokój.

— To mi coś pachnie grzechami kawalerskimi — rzekła i pogroziwszy mu palcem, który się oparł na kształtnym nosku, usiadła wśród tego giestu, Placyd. naprzeciw niej.

Zdejmując rękawiczki, błysnął w uśmiechu zdrowymi zębami i z tym wesołym pozorem zmieszania człowieka dojrzałego, niezbyt skłonnego do zakłopotanych minek, bąknął z pod wąsa:

— W samej rzeczy — idzie tu o coś podobnego. Uspokoila się.

— Słucham, Ciekawam bardzo.

— Ale obiecuje mi pani wyrozumiałość?

— A czy będzie o nią tak trudno ?

— Może nie... ale..

— No więc? — nalegała rozciekawiona, poprawiając się na foteliku niecierpliwie.

Pogładził wąsa, spojrział na nią z pod brwi bystro i obejrzawszy się na drzwi od pracowni, skąd dolatywał klekot maszyn do szycia i śmiechy szwaczek — jednym tchem oświadczył z cicha, poważnie:

— Mam syna,

I śledził na jej twarzy wy warte wrażenie.

Rozśmiała się głośno, z leciuchnym ale miłym rumieńcem, pochylając się w tył i głowę zadzierając do góry:

— Ach! dlaczegoż ukrywałeś pan to dotąd?... Nic w tem przecież nie ma znowu tak... złego!...

Uchwycił ją za obie ręce.

— Więc pani mi przebacza?

— Syna?... zupełnie; tajemnicę... mniej — mówiła rozweselona, patrząc nań całkiem inaczej niżeli przed chwilą.

Poważniej zaś dodała:

— I uznaję to, że pan o nim w takich warunkach nie zapomniawsz. To uczciwie.

— Ale bo ja — pochłaniając jej słowa kontynuował Placyd, który nie uważał sprawy za załatwioną — pragnąłbym dać mu moje nazwisko, a skoro pani je nosie zechcesz, dać mu w tobie matkę...

— Mój Boże ! to przecież całkiem naturalne... Czyż mogłabym wzbraniać się choćby chwilę przed taka powinnością?... — mówiła z takim szczerem zdziwieniem, tak stanowczo, poważnie i z takim zapałem jednocześnie, jak gdyby nie widziała się bynajmniej zaskoczona tem niespodzianem wyznaniem, jakby miała wobec tego rodzaju rzeczy przetrawione a najbardziej postępowe poglądy.

Ucieszyło go to, ale jednocześnie i zmieszało, sądził bowiem, że będzie ją musiał dopiero przekonywać

i przygotował sobie nawet pewien zasób argumentów, do których wypowiedzenia język go teraz świerzbiał. Zamiast tego uradowany bełkotał:

— To ładnie, bardzo ładnie z pani strony — i wstrząsał jej rękę, ona zaś mówiła:

— Któżby postąpił na mem miejscu inaczej? Obowiązki rodzicielskie mają przecież pierwszeństwo przed innymi, bez względu na... okoliczności. Cóż zresztą biedne dziecię winno w podobnych wypadkach?

— Tak... tak... — wtórował Placyd, potakując głową, coraz goręcej — cóż winno? ! rozumie się. Z ust mi to pani wyjęłaś. Jestto jedyne uczciwe w tej kwestyi zapatrywanie. Przepraszam panią, jeżeli wątpilem choćby przez chwilę, czy je podzielisz, znając cię tak dobrze...

O! pani masz serce!..

I wypowiedziawszy to ze wzruszeniem, w jakim nie widziała go nigdy jeszcze, wywołanem przez to wyznanie tak poważnej natury, ucieszony jego przyjęciem, serdecznie ucałował jej rękę.

Teraz ona zaczęła się dopytywać o to dziecię i o najdrobniejsze, dotyczące go szczegóły, ciepło, z prawdziwym zajęciem, jak kobieta z sercem, jak przyszła matka, dobra matka.

Placyd zaś, rozrzuwiony, opowiadał jej szeroko, z ojcowskim uczuciem, o swym chłopcu, który liczył ósmy rok życia, zaczynał już oryentować się w świecie, gromadzić pierwsze, tak wyraziste wrażenia dzieciństwa.

i któremu należały się koniecznie wrażenia rodzicielskiego domu, bezpośrednia piecza ojca, matki, ze względu na jego przyszłość. Tymczasem skazany był na poniewierkę wśród obcych.

Pokazał jej drżącemi rękoma fotografię malca, którą pochwyciła rozciekawiona, on zaś śledził niespokojnie wyraz jej twarzy.

Chłopczyk podobał się jej bardzo. Zapytała, jak mu na imię, jakie ma włosy, oczy, oraz czy może fotografię zatrzymać. Chciała go czempredziej zobaczyć u siebie, przygarnąć.

A Placyd, obiecując z zapalem przyprowadzić go zaraz jutro, przepelniony wdzięcznością za tyle okazanego zajęcia i sympaty, nie mógł się dość nadziękować i ścisłał bez końca ręce kobiety, uniesiony wylewem uczuć, dotąd skrywanych, wypowiedzianych dziś po raz pierwszy, pojetych i odwzajemnionych.

— Czemże ja się pani odwdzięczę, wypłacę — szeptał ze łzami w oczach — za to, co chcesz dla mnie uczynić, co czynisz dla mego biednego dzieciaka... Ja nie wiem doprawdy... ale... czyż godzi się przyjmować, taką łaskę bez wzajemności... Mów pani... zażądaj... proszę cię o to, daj mi sposobność odwdzięczyć ci...

Przyjmowała rosnące objawy jego uznania i podzięki jak najskromniej, zakłopotana, prawie zawstydzona.

Naraz, po ostatnich jego słowach, poruszyła się żywo, jakby w nagłej decyzji. Uchwyciła go za ręce i z twarzą zaognioną wstydem, gorączkowo, spieszenie, zaczęła szeptać głosem drżącym od niepokoju i troski:

— A więc — słuchaj pan... Dawno miałam ci to wyznać, dziś zaś postanowiłam to zrobić ostatecznie, nieodwołalnie, bądź jak bądź... chociaż nie wiedziałam jak to uczynię i do ostatniej chwili nie śmiałam, szukając daremnie sposobu...

Dla kobiety to stokroć przykrzejsze... Ale dłużej milczeć niepodobna, nie wolno... Zresztą po tem, co pan mówiłeś, skoro pańskie poglądy

tak się zgadzają w tej mierze z mojami.. pan mnie zrozumiesz, jako ojciec... i wybaczysz mi także, tak jak ja panu... Uczyńmy to dla siebie wzajemnie... I ja... i ja... mam dziecię...

To rzekłszy, z obawą, z wielką obawą, która jej oddech zaparła, przysunięta doń w tem poufnem zwierzeniu, czekała na odpowiedź, śledząc niespokojnie wyraz jego twarzy, zmieniający się stopniowo, w miarę jak go wtajemniczała w ten tak niespodziewany stan rzeczy.

— Po nieboszczyku mężu? — zapytał poważnie. Spuściła powieki i cofając swe dłonie od jego ręki, cicho wyrzekła:

— Mąż mój umarł przed dziewięciu laty... a Ludwisia kończy dopiero... dopiero piąty rok w listopadzie.

Milczała chwilę, z wlepionem weń błagalnem spojrzeniem, którego uniknął i zamyślony, gryząc wąsy, wpatrzył się w dywan na podłodze. Wreszcie ponowiła zaniepokojona i wzruszona:

— Ja wiem, co pan myślisz. To było dla pana. zbyt niespodziane... Pan sądziłeś, że biorąc za żonę kobietę owdowiałą od lat tylu, bierzesz uczciwą... A teraz nagle wszystkie te lata stają się dla pana dwuznaczne, podejrzone... Ale ja panu przysięgam, że się mylisz... Przysięgam panu, że byłam uczciwą... A to... to był tylko przypadek, nieszczęście, zbieg nieprzewidzianych okoliczności, którego ofiarą padłam... po którym... O! gdybyś pan wiedział, ile mnie to kosztowało rozpacz i wstydu... Byłabym sobie może co złego zrobiła, gdyby nie dziecko... Zresztą, osądź sam: i dziś jeszcze mogłabym to przecież zataić i nie dowiedziałbyś się nigdy, jeżelibym tylko oszukać cię chciała. Ale i ja pragnęłam dla mego biednego dziecięcia ojca... nazwiska... Cóż ono winno,

gdyby nawet na mnie samej wina ciążyła, chociaż nie byłam złą, nie byłam płochą, zaklinam się raz jeszcze... na nią! I wybuchnęła płaczem wielkiego zmartwienia i wstydu, zakrywając twarz rękoma.

Jego pozyskał ten żal nieklamany — zaczął ją szczerze pocieszać i uspakajać.

— Ależ... przestań pani! po co się zaraz tak unosić... Przez myśl mi nie przeszło obrażać panią jakimiś podejrzeniami... Tylko...

I urwał.

— Tylko? — odsłaniając twarz zaczerwienioną i wilgotną, zapytała nagłoco.

On zaś kończył swoją myśl, poruszając w takt słów głową i ramionami, a mrugających oczu nie zatrzymując na niczem:

— Ja mam syna.. pani masz córeczkę... do licha! nie możemy z tego powodu rościć do siebie żadnych pretensyj...

Szansę są równe, skoro oboje byliśmy... szczerymi... Nie, o to mi też wcale idzie...

— Więc o cóż? — spytała niespokojnie.

— Oto — zaczął i umilkł. Dopiero po raz wtóry otwarłszy usta, ciepłym, ujmującym tonem ponowił:

— Pani Walentyno, proszę się na mnie nie gniewać, ale... daj mi pani słowo, że masz tylko ją jedną..

Kobieta stanęła cała w pąsach, lecz ujęta przyjaznym jego tonem, poważnie, uroczyście, tak jak w doniosłych chwilach przystoi, prosto w oczy mu spojrzała i zwolna a dobitnie wyrzekła:

— Przysięgam panu na miłość dla mej Ludwisi, że jestto jedyne moje dziecię.

Zaledwie skończyła, podniósł jej rękę do ust i ucałował ją przeciągle, wesoło odparł:

— Wierzę pani! Doskonale. To nawet lepiej. Czuję się zawsze wobec pani winnym, dłużnikiem, a tak.. oboje wnosimy do wspólki małżeńskiej to samo. Jak najlepiej się złożyło doprawdy: dziewczynka i chłopiec, czegoż chcieć więcej! Będę ją kochał jako twoje dziecko — odpłacisz to mojemu malcowi. Prawda?... przecież to naszą dzieci... A czy nie mógłbym jej zobaczyć?

Wzruszona pobiegła do komody po fotografie, opowiadając tymczasem, że Ludwisia chowa się u babki, która ją bardzo kocha, że już składa litery i okazuje niezwykły talent do robótek, czego dowodem podstawka pod lampę na stoliku obok pieca. Mówiąc to i wiele innych rzeczy, przerzucała w górnej szufladzie komody pudełko, zawiniątka, fatalaszki, aż wreszcie odszukała pożądaną przedmiot, aby go podać Placydowi.

— Śliczną, śliczniutką mamy córeczkę — rzekł, wzięwszy do rąk kartonik za szkłem w pluszowej ramce — prawdziwy aniołek! — i ucałował małą główkę na wizerunku, czemu przypatrywała się z iskrzącymi radością oczyma. — Podobna do mamusi — dodał poufalszym tonem przyszłego męża i przygarnął do siebie silnym ramieniem wzruszoną kobietę, która broniła się trochę jego natarczywości, ucałował ją również rześcicie w sam środek rumianego policzka, na którym lży oschły a zwykły, tak miły uśmiech zawitał.

Nie puszczając jej z objęć, z ustami przy jej twarzy, szepnął dyskretnie:

— A ojciec?...

— Nie żyje — odparła cicho, ze spuszczonej oczyma.

— Słowo?

— Pokażę dowody.

W chwili, kiedy na znak zaufania składał pocałunek, odwzajemniła jego pytanie zeicha:

— A... matka?

— Tak jakby jej nie było — odrzekł uspokajająco. — Wyszła za męża od lat sześciu, nawet nie wiem, gdzie się obraca.

— Więc teraz.. możemy już iść do proboszcza?... Wybuchnął śmiechem, a ona zawtórowała mu...

— I to jak najprędzej — zawołał — aby mu nie przyszło na myśl, że wahaliśmy się choćby przez chwilę...

POSAG.

zaledwie przekroczyłem próg, od lustra, w którym odbijała się wdziwiająca kapelus z wiosenny kobietka, zabrzmiał głos:

— Nic z tego! nic z tego!... wychodzę.

Wziąłem to za żart oczywiście, za chęć podroczenia się z dobrym znajomym, nic więcej. Pewny, że zastawszy drzwi mieszkania otworem, znajdę w niem otwarte ramiona, poszedłem pocałować Felę w szyjkę, w te miękkie, wijące się kosmyczki jasnych włosów po za uszama, któremi tak czarują główki niektórych blondynek.

Ale z rękoma wzniesionemi w górę, ku brzegom kapelusza, z oczyma w zwierciadle, oświadczyła mi bez ogródki, że dzisiaj — niestety — czeka mnie zawód.

Ponieważ nie lubię przekomarzać tam, gdzie mnie dotychczas psuto najgorętszeni zawsze przyjęciem, gdzie jest zwyczaj wreszcie dysponować, nie tałem więc mego niezadowolenia.

Wówczas uciekła się do przymilań i przybierają najefektowniejsze swoje minki, poprosiła o wyrozumiałość — dziś tylko, ten jeden raz, nigdy więcej!

Ale dlaczego?...

Wahała się z odpowiedzią. Widząc jednak, że oczekuję jej niezachwianie, zdecydowała się wyznać w sekrecie: wybiera się z narzeczonym za interesami...

Jakżem się szczerze rozśmiała!...

— Z którym do licha?... — zawołałem — masz ich przecie tylu!...

Uraziła się. Nagle oblekając w powagę swój buziak swywolny, przystąpiła do mnie i jako dowód niezbity, podała mi pierścionek, z palca zdjęty, prawdziwy zaręczynowy pierścionek, z datą wewnątrz!...

Obejrzałem, pokręciłem głową i zwróciłem go jej. Dzieją się przecież i takie rzeczy.

— No, no... Więc to na seryo?... Nigdy mi o tem nie wspominałaś dotąd..

— Mówiło się zawsze o głupstwach...

Prawda! i to o jakich!... Nie przypuszczałem jednak, aby tu można było o czemś innem rozmawiać.

— I kiedyż to nastąpi? — pytam.

— Od dziś za rok, mniej więcej.

— Dopiero?

— Nie mani jeszcze wszystkich pieniędzy.

— Jakich pieniędzy?

— Posagu! — odrzekła, z żartobliwą uroczyością akcentując to słowo.

— Skądże go weźmiesz?

Z ruchem brodą ku mnie i filuternem mrugnięciem powiek wycodziła przez zęby, uśmiechnięta:

— Od was!

— Ale ie!...
— O! zbieram już dwa lata!
— I jeszcze zbierać zamysłasz rok cały?!
— Takeśmy się umówili.
— Z kim?
— No z nim. z moim przyszłym.
— Jakto?... więc on wie?!...
— No rozumie się. Wie wszystko.

Podziw otwarł mi oczy — i dla niej, dla tej płochej dziewczyny, z którą tak szalenie można się było bawić, jak gdyby celem jej były same jedynie szaleństwa, a która po za tem tak seryo myślała o przyszłości, — i dla tego hultaja, co w podobny sposób zdobywał posażną żonę.

Zacząłem ją wypytywać rozciekawiony, usiedliśmy.

Był to kelner — stary znajomy z lat dziecińczych jeszcze, z jednego podwórza, potem wielbiciel, może pierwszy

kochanek, obecnie narzeczony, za rok mąż. Patrząc w życie trzeźwo, obmyśliłi zawczasu, jak je sobie urządzić

Zamiarem ich było otworzyć kawiarnię, ponieważ on zna się na "interesie" i ma szczęście do gości, ona zaś... no i ona także na brak powodzenia skarżyć się nie ma powodu. Lokal już upatrzony (ale to jeszcze sekret), obliczone dochody, wydatki, wszystko ułożone, przewidziane, każdy dzień przynosi coś dla przyszłości, każdy czyni szczęście bliższemu.

— Rok! rok tylko!... i będę nakoniec uczciwą kobietą — z wybuchem radosnej tęsknoty zakończyła opowiadanie Pela, akcentując to urągające wszelkiej logice "nakoniec" w sposób, który mnie wprawił w zdumienie.

— Ale aby nią zostać, potrzeba pracować rok jeszcze — poddałem. — Zafrasowana westchnęła:

— Ach, tak! rok cały!!... — i pocałowała mnie. Naraz odsunęła się odemnie i skierowała ucho w stronę drzwi, szepnęła:

— Idzie.

Zrozumiałem, o kim mowa. Jakieś zawstydzenie, obce mi w podobnych miejscach, jakiś niespodziewany poryw delikatności zwrócił mnie z krzesła ku drzwiom, drugim drzwiom oczywiście, w tego rodzaju lokalach znajdującym się z reguły.

Zdziwiona zapytała, co chcę czynić.

— Pójdę już — odparłem, szukając oczyma kapelusza i nie znajdując go nigdzie.

— Czemu?

— Aby mnie tu nie zastał.

— Cóż to szkodzi?

— Byłoby mu to może nieprzyjemnie — co? albo tobie...

— Co znowu ! Owszem, zobaczy, że się z byle kim nie wdaję.

Zostałem. Musiałem zostać — byłem bez kapelusza!

AY tejże chwili drzwi się otwarły i — o uroczą niespodzianko! — pocziwa, dobroduszną twarz garsona, znajomego mi z kawiarni, w której bywam niekiedy, ukazała się przed nami, pogodna twarz dobrego chłopca, za którą lubiono go powszechnie.

Z godną zazdrości swobodą, z uśmiechem nie znikającym, raczej spotęgowanym na mój widok, posunął się ku nam i ucałował rękę swej narzeczonej, mnie zaś złożył jeden z tych gładkich ukłonów, których z obowiązku swego zawodu składał dziennie po parę tysięcy.

Wielce uradowany, że mnie tu znajduje, zapytywał o zdrowie, dziwił się, że tak dawno nie byłem w ka

wiarni, i podobnie jak tam, przy bufecie, zacierając ręce, tylko trochę śmieiej, bo się tu czuł bardziej u siebie, zaczął mi świadczyć honory, jakimi dobry gospodarz otacza mile widzianych a na szczególne względy zasługujących gości. Fela tymczasem, lubująca się zawsze w formach, co dodawało jej nawet uroku, uznała za stosowne, pomimo, że już byłam powiadomiona, przedstawić go słowami:

— Mój narzeczony.

Było w tem coś solennego, co i mnie się udzieliło.

Rozgawędziwszy się o rzeczach potocznych, zaczęli teraz zwracać na mnie wciągające w rozmowę, pełne sympatii spojrzenia. Zwolna nadało to atmosferze cechę tak przyjacielską, że zaniepokoiłem się nie żartem, by narzeczony, wzięwszy mnie pod ramię, nie zechciał podprowadzić do kanapy, albo nie poczęstował papierosem. Zrobiłem tedy ruch, wyrażający chęć odejścia i obejrzałem się za kapeluszem.

Gdzie się u licha podział?... nie widać go nigdzie...

Zauważyli mój kłopot i ona rzekła:

— Czy się nie zatoczył pod kanapę? Narzeczony natychmiast wsunął głowę pod mebel.

— Może spadł za który z foteli? Nie, i tam go nie ma.

Poczęło się zatem zbiorowe szukanie, odsuwanie sprzętów, zagładanie kolejne po za każdy przedmiot i w te same kąty.

Nie ma! jak kamień w wodę wpadł.

Naraz ozwał się okrzyk radości! On go odnalazł.

Kapelusz leżał na oknie, zasłonięty roletą, którą wszedłszy tu, własnoręcznie spuściłem, tak sobie, od niechcenia, bo lubię półcień.

Spojrzałem na niego nieznacznie, czy nie dostrzegę przykrego wrażenia.

Bynajmniej! Własnym rękawem wygładzał włos na moim kapeluszu i z najswobodniejszym w świecie uśmiechem oświadczył, iż podobne wypadki z kapeluszami zdarzają się często.

Musiałem ucisnąć wyciągniętą ku mnie dłoń gospodyni i obojgu, bo i on słuchał, powiedzieć: "do widzenia". Wtedy z pełnym gracyi nachyleniem podał mi laskę, poczem pospieszył naprzód drzwi mi otworzyć i ukłonem zgięty, w chwili, gdy próg przekraczałem, ciepło, bez udania, wyszepnął pożegnalne:

— Polecam się.

ŻYCIE.

Codzień rano, od paru tygodni, ocknąwszy się z nagłego nad samym świtem zaśnięcia, po spędzonej bezsennie nocy zgrzyot, nie przypominał sobie zrazu swego położenia, tak jak skazany, gdy się zbudzi, nie pamięta ciężącego na nim wyroku. Po pewnym czasie dopiero boleść wynurzała się z głębi uciszonego snem ducha, niby budząc się z kolei, by mu dotrzymać towarzystwa dzień cały i każdą chwilę zaprawiać goryczą. Długie godziny biurowej pracy w dwie powszednie, ciężkiej, pochłaniającej pracy najniższych, nie dawały mu wprawdzie spokoju, lecz zajętemu — połową tylko duszy pozwalały cierpieć. Dziś jednak, w niedzielę, gdy wspominał, że na cały ten dzień swobody mieć będzie za nieodstępного kata swą troskę gryzącą i nic więcej oprócz tej zmory, która go dławi od dni tylu, zimno go przeszło. Godziny rozrywki i wytchnienia, dawniej tak zawsze upragnione a tak krótkie, dzisiaj przerażały go swą liczbą i długością, zdającą się nie mieć końca,

wszystkie zaprawione mękami smutku, żalu, tęsknoty za utraconą kobietą, po której cała nasza istota cierpi, płacze, schnie, zdaje się umierać z boleści, jakby jej wszystko, co życie stanowi, jakby jej samą zdolność życia wydarto. Nie miał więc odtąd radować się blaskiem jej spojrzeń, uśmiechu, widokiem postaci, melodią głosu, dotknięciem dłoni, lubym szelestem sukni, nie miał już nigdy usłyszeć tego tak rozkosznego, cudotwórczego: Kocham! — które zamienione z istotą wybraną przeistacza nam w oczach świat cały!.. Nie miał więc więcej czerpać sił, zdrowia, radości w tem słodkiem przeświadczeniu, że nawet nieobecna należy do niego, jemu każdą myśl poświęca, w jego miłości, tak jak on w jej, znajduje rozkosz istnienia. Wszystko to, bez czego życie trudno mu było sobie wyobrazić, odkąd ją pokochał, utracił na zawsze! stokroć bardziej utracił, niż gdyby umarła, widząc ją oddaną innemu. Serce własne, świat cały, stał się dlań teraz niby gniazdo puste, porzucone, niepotrzebne, skazane na los każdego pustkowie: zagładę, bo brakło w nich duszy, brakło — jej!... Napróżno błędził chorą z żalu myślą dokoła siebie, szukając lekarstwa na męki swej rozpacz — na niczem nie mógł spocząć bez nienawiści i wstrętu, wszystko mu obrzydło, wszystko straciło dlań urok. Nie miał już po co żyć — zapragnął śmierci i postanowił ją sobie zadać. Myśl ta ogromem swym wywarła na nim w pierwszej chwili wstrząsające wrażenie. Lecz rychło przyjęła się na gruncie niezdrowego stanu jego duszy, dogadzając właściwemu stroskanym popędowi przesadzania wła

snych cierpień, łechcąc jego miłość własną bolesnym podziwem dla samego siebie, dając udręczeniom odpływ, jak wrzód pęknięty otwiera ujście niezdrowym sokom które podnosiły gorączkę. Kiedy oszołomiony tragizmem swego postanowienia opuścił popołudniu mieszkanie z głuchą refleksją, że doń już więcej nie wróci, — miasto, ludzie, gwar i ruch ulic wydały mu się jak nigdy małemi, śmiesznymi. Ponura дума nappełniła go na myśl, że je porzuca, bo niemi wzgardził. Ale po pewnym czasie ścisnęło go nagle za serce tłumione dotąd, dziwnie bolesne, uczucie samotności wpośród ciżby, rojącej się w świątecznym ożywieniu.

Witano się, żegnano dokoła niego, każdy spieszył do jakiegoś celu, każdy, od dzieci do starców, jak pszczoła o pszczołę w zawieszonym u gałęzi roju, czepiał się innych — na niego tylko nikt nie spojrzał, nie spytał, dokąd zmierza, nie zatrzymał w skracającej się drodze do śmierci. I tak jak teraz nie zwracano uwagi na jego obecność, podobnie nie dostrzegą wcale jego braku niebawem. Wszyscy tutaj oburącz trzymają się gromady — o takich, którym do tego sił lub ochoty nie staje, nikt się nie troszczy.

Uczuł dotkliwy ból w sercu, przejrzawszy, jak bardzo jest opuszczonym, biednym, zbytecznym. Coraz więcej otwierały mu się oczy na nicność własnego bytu, szarej, opłakanej egzystencji sieroty — bez wspomnień i bez nadziei. Lecz niechaj i tak będzie; jeden powód więcej, aby raz skończyć.

Wśród takich myśli znalazł się niebawem w pustce dzikich pól podmiejskich, gdy naraz błysnęła mu przed oczyma szara, ruchoma, lśniąca smuga.

Wzdrygnął się — była to rzeka.

Stanął na chwilę, do głębi przejęty spotęgowaniem przez ten widok wrażeniem celu, w jakim tu przybył. A potem, nie mogąc oderwać oczu od jej żółtawej, mętnej, w drobne fale łamiącej się powierzchni, puścił się wzruszony za jej biegiem, aby się oddalić od miasta, od oczu ludzkich.

Okolice tu była smutna. Małe, kretowinami upstrzone wzgórza paczyły swe jednostajnie powzdymane trawniki, nad którymi tu i owdzie spały szeregiem blade, bezmyślne wierzby. Niektóre z nich, pozbawionym gałęzi i liści pniem podobne były zdala do sterczącej z ziemi czarnej i suchej ręki, zaciśniętą w kułak pięścią grożącej niebu. W górze zaś wiatr włóczył jesienne chmury, które zaczepiając o wynioślejsze przedmioty, zdawały się drzeć o nie i strzępić.

Całą, jednakowoż uwagę jego w tym posepnym krajobrazie skupiała rzeka, w której widział w tej chwili tylko potężny żywioł zniszczenia.

Zanurzywszy się myślą w jej toń, odgadywał ruch posuwanego po dnie topielca, który się toczy nakształt walka, czasem zawadza o kamienie, zatrzymuje się, obraca, i znów toczy, pomiatany przez bezmyślny, żywioł, jak kłoda, jak rzecz, nie jak istota, która cierpiała, w której tliły szlachetne instynkta...

Obraz ten dotknął w nim godność ludzką i wywołał przykrą refleksję, jak nędzną jednak jest śmierć samobójców, tych nędzarzy, odtrąconych przez życie, których przyjmuje ona obojętnie, ze wzgardą, niemal, nie

kwapiąc się wcale po swą ofiarę, najlichszą z ofiar, co sama się wprasza, narzuca...

Wtem ujrzał, że nie jest sam. Żebraczka z dzieckiem na ręku zbliżyła się, znęcona widokiem jego całych sukni i wyciągnęła dłoń z prośbą o wsparcie.

Jego, który życie porzuca, proszą, aby doń innym pomógł — jakież to szyderstwo!

Lecz w tejże chwili myśl tę cierpką pokrzyżowała inna na widok dziwnie pogodnej i jasnej twarzyczki dzieciaka, tej istotki, niezdolnej jeszcze ubezpieczyć swą marną egzystencję, tego bezradnego maleństwa nędzarki, nad którego bytem bez jutra kto inny czuwa...

Zanim jednak ukształtowało się jaśniej to wrażenie, już pomyślał, że takim małym dzieckiem porzucony niegdyś, nie przeżyłby był w bezcelowej walce lat dwudziestu kilku po to, aby dziś z całym poczuciem swych nędz stawać w obliczu nieuchronnej śmierci.

Pozbył się świadka jałmużną i szedł dalej w coraz to chmurniejszym nastroju.

Skoro wreszcie natrafił na ukrytą w zagłębieniu spadzistego wybrzeża zatokę nad tamą, pomyślał: tutaj — i zatrzymał się.

Obejrząwszy się, drżąc całym, z przyspieszonym oddechem zaczął zstępować na dół, ku wodzie, którą przesiąkły piasek coraz głębiej zapadał się pod stopami.

Z tak bliska masa jej wydała mu się większą niż przedtem, groźniejszą.

Opanowany nagłą, nieprzepartą pokusą, zmaczał w fali, połyskującej przy samym brzegu, koniec buta. Lecz naraz rzucił się wstecz gwałtownie, bo zdawało mu się że traci równowagę i chylił się ku powierzchni.

Podjął jednak kamień z brzegu i z takim wzruszeniem, jak gdyby czynił z częścią samego siebie to, co za chwili; uczyni z sobą całym — rzucił go w rzekę.

Kamyk zniknął, kiść kropli trysnęła w górę — woda, skropiona, zawarła się, kilka kręgów roztoczyło, wygładzając się szybko — i nic więcej — ani śladu, że coś utonęło...

I nad nim za chwilę zamkną się tak fale — na zawsze.

Wzdrygnąwszy się całym ciałem, usiadł na głazie, zgnieciony grozą i okrucieństwem tej myśli i zapatrzył się w wodę. Wtem szarpnęło go coś w głębi piersi, za chwilę drugi raz, trzeci, coraz szybciej, gwałtowniej i wybuchnął płaczem, rzewnym, gorącym płaczem dziecka, czując się bardzo nieszczęśliwym, bez miary i okrutnie skrzywdzonym tą niezwalczoną koniecznością śmierci.

Nieokreślony, lecz wielki żal do życia, do ludzi — do niej!... spływał mu z oczu nawalnym deszczem łez, którym towarzyszyły bolące jak rana łkania.

Wszystko, cokolwiek w życiu doznał przykrego, w spotęgowanych rozmiarach zjawiało mu się w pamięci, i lubował się, pastwił nad sobą przesadzonemi obrazami swej niedoli.

Wyplakawszy nareszcie pierwszą boleść, wstał i z silnem postanowieniem postąpił ku brzegowi, szepcząc wargami dygoczącemi z rozpaczliwego żalu, jaki go przejmował:

— Dostyc tych czułości!.. dostyc!... inaczej już być nie moie, po cóż więc zwlekać...

Otarłszy w rękaw oczy, zakryte łzami, pochylił się, wyciągnął dłonie i kamieniami oburącz począł napępniać kieszenie. Wtem, rzuconemi w stronę wody spojrzeniem, niedaleko brzegu postrzegł na powierzchni coś ruszającego się, co mimo woli zwróciło całą jego uwagę.

Spojrzał baczniej.

Była to mała, żółta jaszczurka, którą prąd rzeki unosił. Porywana przez fale, odwracana białym brzuszkiem w górę, jakby z igraszki, całym wysiłkiem swoich wątych łapek walczyła z prądem. Co chwila przestawała ze znużenia wiosłować, aby zebrawszy nieco sił, na nowo stawić falom opór, obronić się, ocalić.

Pociągnięty nagle zbudzonym interesem, towarzyszył brzegiem czas jakiś płynącej, jakby go obchodziły jej losy. Wkrótce zniknęła mu z oczu, pozostawiając jednak w jego umyśle obraz tej zaciętej, rozpaczliwej walki małego, bezrozumnego zwierzątka z ogromem rzeki, z zagładającym mu w oczy strasznym widmem śmierci: walki o życie! Zaniepokoił się.

A jeżeli i on, jak ten płaz, znalazłszy się na łasce fal, straci odwagę, osłabnie?...

Ależ on chce umrzeć, chce, postanowił!

Jeżeli jednak pomimo tego zbudzi się w nim za chwilę przerażone zwierzę, po pierwszym łyku wody, po pierwszym z jej zimną wilgocią zetknięciu?...

Dreszcz go przeszedł.

Zdawało mu się, że odczuwa, jak go na dno ciągną przemokłe suknie, jak kurcz paraliżuje mu zmęczone członki, jak się zanurza raz, drugi... woła o ratunek...

i... o wstydzie!... zostaje ocalonym!... Co za upokorzenie!...

O! jakże nędznym jest człowiek! — pomyślał w gorzkiej, bezsilnej rozpacz — że wżgardziwszy nawet życiem, nie przestaje lękać się śmierci!... że jeden bolesny kurcz mięśni w niwecz obraca wyniki najsmutniejszych obrachunków z wrogą egzystencją!...

A dusza ludzka! tak dumna i mądra, która promieniem swej myśli sięgając w nieskończoność, drży przed ciemnością, lęka się wszystkiego, co jej obce, jednemu spazmowi ciała ulega — jakże ta dusza jest nikczemną!...

Opuścił brzeg rzeki.

Miałże się narażać na odwieczną historię tych wszystkich, co nie zdoławszy zrzucić z siebie ciężaru życia od razu, upadłali się w spóźnionem tchórzostwie?...

Z palącą żądzą znalezienia niezawodnego środka wracał pośród wczesnego zmierzchu jesieni do miasta, bardziej jeszcze niż dotąd wyczerpany nieustanną pracą nerwów, bezsennością, fizycznym zmęczeniem i głodem. W ogłuszonej głowie krążyła jedna myśl.

Zamierzył upić się, a upiwszy wychylić truciznę, która pozbawionego trunkiem przytomności, nim ją odzyska, zabije.

Przybywszy do mieszkania, zamoczył w szklance zapalki a potem przytknął do ust kupioną po drodze butelkę wódki i pił.

Silny napój, do którego nie nawykł, spalił mu usta i całe ciało przejął ożywcem ciepłem a krew popędził ku głowie.

Po drugim hańście uczył się zupełnie orzeźwionym, lecz widok szklanki z trucizną, z której nie spuszczał

oczu, przypominał mu wyraziście wszystkie zgryzoty i krok, jakim się od nich uwolni.

Tymczasem zrobiło mu się gorąco aż do potu, piekące ukłucia jakby igiełek, przebiegły po całym ciele, myśli w głowie zaczynały szumieć coraz gwarniej i naraz uczył nieprzewyciężoną potrzebę napisania kilku listów, aby nie odchodzić bez słów pożegnania i wżgardy. Skoro już umrzeć musi, zostawi po sobie przynajmniej wiele żalu i wiele wyrzutów sumienia.

Zabrał się szybko do pracy. Wkrótce też zalał potokami frazesów, pełnych sztucznego zapału, kilka arkuszy papieru, a rozczulając się coraz bardziej, zaczął płakać nad patetycznie kreślonymi krzywdami swego życia. Z śmiesznym grymasem żałości pijanego, zgrzytając zębami i popijając od czasu do czasu, wygrażał pięścią całej ludzkości w przestankach pisania.

Nakoniec pozostał mu jeszcze do skreślenia list jeden — do niej. Miał to być ostatni wyraz rozpacz, która zabija.

Napisał z rozmachem pierwsze wyrazy, znajdując je niezmiernie wzruszającymi:

"Najdroższa!... W chwili kiedy te słowa czytać będziesz — ja będę już tylko zimnym trupem..."

I przestał, aby wybrać ciąg dalszy z pomiędzy tłumu cisnących się zwrotów.

Napiwszy się raz jeszcze z butelki, oparł pałające czoło na brzegu stołu, pozwalając się myślom unieść daleko...

... Gdy otwarł oczy — nie mógł rozpoznać w pierwszej chwili po przebudzeniu ani pory dnia, ani miejsca, ani powodu, z. jakiego w niem się znajduje.

Pokój pełen był swędu wypalanej lampy, a pogrążyła go w mroku spuszczone roleta, z której obu stron widniały błękitnawe smugi dziennego światła.

W głowie uczył jednocześnie głąchą jakąś tępotę i zamęt, 'w ustach kwas cierpki, w żołądku mdłość, ból w członkach — czuł się niemal chorym.

Kiedy niezupełnie jeszcze ocknięty, odsłonił okno, przestrach na widok wskazówek zegaru wieżowego ocucił go niby kubek zimnej wody.

Godzina druga popołudniu! godzina biurowej pracy!... Co on tu robi o tej porze?

Wtem wzrok jego padł na poadresowane listy i jeden, ledwie, zaczęty:

"Najdroższa!... Kiedy te słowa czytać będziesz..."

Odczytawszy je szybko, zrozumiał, ale nie wierząc jeszcze sobie, rozdarł gorączkowo pozaklejane koperty, przebiegł listy, spojrzął na stół, na wywróconą szklankę, pełną rozmokłych zapalek — i struchlał a zimne jak lód uczucie zawieszanej nad nim śmierci zmroziło go od stóp do głowy.

W jednej chwili przypomniał sobie cały wieczór wczorajszy: wypił truciznę! wypił ją z tej oto szklanki, a ta niemoc, to omdlenie, stan, w jakim się znajduje, to pierwsze zwiastuny śmierci, biorącej go już w posiadanie...

Oblany zimnym potem, bezwładny, padł na krzesło, zatrzymując spłoszoną myśl na tym jednym, straszliwym, w skronie obuchem walącym wyrazie: śmierć!...

Wtedy oczy wysadziły mu się na wierzch w bezgranicznym strachu a twarz wykrzywiła się jak u dziecka, któremu się na płacz zbiera.

Lecz zgroza pozbawiła go sił do płaczu. Zapadł w kamienna, osłupiałość przerażenia i tylko powolne, zdające się pierś rozsadać bicie serca w strętwiątleni ciele żyło i tętniło — wołało, huczało tem jednym, okropnem słowem: śmierć!... budząc w nim stopniowo niewypowiedzianą wściekłość na siebie samego za popełnione szaleństwo.

Ale wszystkie te uczucia jednej obwili, jak błyskawica nagłe i szybkie, zagłuszyła powstająca w nim jak olbrzym, szalona, bezgraniczna żądza zatrzymania tego życia, którego sam się pozbawił, które już uciekało, które teraz dopiero, gdy je tracił, ogarnął naraz oczyma w całym bezmiarze niezliczonych jego rozkoszy i uroków, zbrodniczo i lekkomyślnie wzgardzonym dla jednej, jedynej zgryzoty...

Zajaśniało ono teraz przed jego oczyma jak objawienie całym blaskiem najprostszyc swych ponęt, dostępnych wszystkim: władania swem ciałem, pojenia piersi oddechem, zaspakajania pragnienia i głodu czarnym chlebem, woda, rozkoszy snu i przebudzenia, rozkoszy pracy i spoczynku, żądzy zdrowia w chorobie, a ukojenia w trosce, z tem nagradzająceni największe nawet katusze przekonaniem, że się żyje! że się jest! z świadomością udziału swego w wszechbycie, obecności swej w nieprzeliczonym tłumie istot i rzeczy, których całym skarbem jest to ich krótkie jestestwo na wązkim przesmyku istnienia, jaki rozdziela dwie przepaście nicości: przeszłej i przyszłej!...

Otworzył okno, wetchnął w siebie niby upajający nektar zaduchy ciasnego podwórza, z uwielbieniem, ze czcią prawie objął oczyma ten skrawek chmurnego nieba nad dachami i te brudne mury oficyn, na które tyle

razy nie mógł patrzeć bez wstrętu, a które wydały mu się cudowne, ukochane, drogie — dziś, kiedy za chwilę miały mu na zawsze zniknąć z oczu...

I cichym, tez miary bolesnym i kornym jękiem skazańca wyrzucił w przestrzeń rozpaczliwe błaganie, aby mógł zostać, aby mógł żyć... żyć!... żyć!!... za cenę choćby niewoli!... choćby najcięższego z przypadających ludziom losu!...

Naraz wstrząsnęła nim myśl nowa.

Wszakże tli w nim jeszcze jakaś iskierka życia — zachował nieco sił, przytomności. Należy się więc ratować, ratować bez straty czasu !...

Porwawszy kapelusz, wybiegł pędem do najbliższego lekarza, roztrącając po drodze przechodniów. Szczęściem nie zastał w poczekalni nikogo, inaczej pierwszy wtargnąłby był do gabinetu, wołając, że tu idzie o jego życie!...

Gorączkowo wyrzucił przed doktorem wyrazy.

Miał zmartwienie... pił z wieczora... po ciemku... pod ręką stało naczynie z trucizną... na szczury... wypił przez pomyłkę — czuje się otrutym!

Lekarz przypatrzwszy mu się bacznie, poprosił go, aby usiadł, i wypytał bez pośpiechu o objawy.

— Mogę pana uspokoić — odparł wysłuchawszy. Pan chyba nie wypić trucziny, o jakiej wspominasz, brak bowiem wszelkich symptomatów. Stan pański jest zwykłym stanem po nadużyciu trunku — otrucie zaś objawiłoby się już do tego czasu wyraźnie.

— Jakto? — szepnął, wlepiając w lekarza oczy, uszom swym nie wierząc, zmieniając się z człowieka wpółszalonego z przerażenia, w owładniętego szałem z radości. — Pan sadi... że...

Lekarz zbliżywszy się i położywszy dłoń na jego ręce, utkwil mu w oczach bystre spojrzenie i przyjaźnie mówił:

— Ja sady, że pan jesteś poprostu zanadto wrażliwy... i udzielę panu dwóch rad, nie lekarza, ale doświadczonego człowieka. Nie przesadzaj pan nigdy zmartwień — i porzuć mieszkanie, w którym są szczury, aby nie miewać otdąd... pod ręką... potrzebnej na nie trucizny.

I uśmiechając się zlekka, zakończył:

— Przyniesiesz mi pan to?

A on ze spuszczonej oczyma i twarzą krwią nabiegłą, zmieszany bełkotem:

— O! przyniesiesz mi panu... Dziękuję... Przysięgam!... I uściśnięwszy lekarzowi rękę, wybiegł na schody oszalały z radości, podskakując jak żrebiec na wiosnę, z trudem przemagając chętkę wyrzucenia w powietrze tryumfalnego okrzyku, śpiewania na całe gardło:

— Żyć będę ! ja będę żył! słyszycie?!...

Miał ochotę całować wszystkich spotykanych ludzi, którzy wydawali mu się teraz bez wyjątku najlepsi i najpiękniejsi. Zbierała go chęć pytać się każdego z nich po kolei, czy nie każe sobie oddać jakiej usługi, jakiegokolwiekby chciał, choćby największej. Rozpierała mu piersi gwałtowna żądza zobowiązania się do czegoś bardzo wielkiego, bardzo dobrego, czemby mógł okupić tę niesłychaną rozkosz, to szczęście tak niezmiernie, że będzie żył, żył! żył!.. Czy podobna powiedzieć coś nadto? czy jest wyraz lub milion wyrazów na dosadniejsze określenie tego nieocenionego skarbu, który odzyskiwał cudem?!...

Błąkał się upojony po ulicach, czując się zdrowym, silnym, lekkim jak nigdy, jakby dopiero co na świat

przyszedł. Obejmował! rzeczy spojrzeniem tak radosnym, jak gdyby teraz dopiero poznał ich wartość, jakby niespodzianie stał się ich właścicielem, lub spostrzegł, że nie wiedząc o tem, był nim oddawna.

I nabrał nagle silnej, niezbitnej pewności, że w porównaniu z tak nieoszacowanym bogactwem, jakim jest prawo bytu, ta odrobina smutków, jakie go tu i owdzie zasępiają, jest tylko drobnym, niknąco drobnym złem, które nie zmienia właściwej istoty życia, jak ilość liści, kwiatów, owoców nie zmienia istoty drzewa, co je wydało.

Dla utraty jednego takiego kwiatu... przepięknego, lecz jedyne!... chciał się targnąć na życie własne — nie! na cząstkę boskiego tchnienia, które owiewając wszystko, i jego tuliło w swem dobroczynnym objęciu — tchnienia życia! tego życia, przy którego martwej jednostajności! upierają się głazy, o którego krótkie i marne trwanie walczy atom, komórka, dla którego uprzyjemnienia, przedłużenia, przekazania wszystkie swe siły od początku świata poświęciły niezliczone, od wieków wymarłe pokolenia. W milionie form wypełniało ono dokoła niego bezmiar wszechświata, jak daleko zmysłami sięgnął, myślą mógł wzlecieć... dalej jeszcze!

Nieśmiertelne to życie całości, złożonej z drobnych jak pyłki śmiertelnych cząstek — zdawało się w tej chwili śpiewać przed nim uroczysty jak modlitwa i radosny jak uśmiech dziecka, przecudny hymn tryumfu.

Po raz pierwszy dzisiaj ogarnął boskie jego dźwięki, zrozumiał je i całą swą duszą chłoniął z bezbrzeżną rozkoszą, podziwem i miłością...

PIES.

W zaszarganych uniformach, w butach z ostrogami i czarnych, do pół szarą skórą wyszytych spodniach kawaleryjskich, zbryzanych błotem, z pałaszem między kolanami każdy, "działo czterech młodych oficerów dokoła marmurowego stolika cukierni, popijając z małych filizaneczek czarną, zlekka dymiącą, aromatyczną kawę.

Było to popołudniu, w powrocie z forsownych ćwiczeń, których wybitne epizody, klnąc głupocie podwładnych i wyszydzając pedauteryę przełożonych, opowiadano po kolei urwanymi zwrotami rozumiejących każde swe słowo fachowców, aby sobie wynagrodzić choć w części kilka godzin ciężkiego trudu na siodle.

Wtem do gabinetu, w którym zresztą nie było nikogo, wszedł jeszcze jeden wojskowy, inżynier, z pięknym, ruchliwym, białym wyżłem, upstrzonym dużymi kasztanówatymi płatami na grzbiecie i uszach.

Przybyły powitał kolegów ukłonem wojskowym, nie zdejmując czapki, następnie podał każdemu rękę

i z widocznym pośpiechem rzekł do jedynego między nimi porucznika:

— Karolu, proszę cię, zajmij się moim Faunem dzisiaj.

— Poczekajno... nie wiem, czy mogę... — odrzekł zagadniony z nieznacznym uśmiechem. — Dziś piątek? co? — a to zgoda, zostaw go. Ścisnęli sobie ręce, porucznik zaś, rozśmiałwszy się, palcem przyjacielowi pogroził i rzekł na pożegnanie:

— Tylko się też szanuj, mój kochany!...

Obaj parsknęli szczerym śmiechem młodych, tęgich chłopców i przybysz, z ręką podniesioną do daszka i z słowem "servus!" na ustach zniknął, ścigany wzrokiem psa, którego wilgotne nozdrza drżały nerwowo. Przytrzymywany jednak ręką porucznika za obrożę, nie starał mu się wyrwać, przeciwnie, zaraz po wyjściu tamtego zaczął się łączyć swemu nowemu panu.

— O co to szło? — zapytał od niechcienia jeden z obecnych porucznika, który uśmiechał się i gładził wąs, jakby myśląc w dalszym ciągu o tem drobnem zajściu.

— Kobieta. Omnicz oddaje mi zawsze psa, ilekroć ma u siebie kobietę.

— Jako? dlaczego?... — zapytali tamci.

— Zabawna rzecz — odparł porucznik — Jestto ciekawy okaz psa, trzeba wam wiedzieć: psa mającego dwóch panów, zarazem psa — kobieciarza... Nie żartuję wcale — Faun ma dziwny pociąg do kobiet, niezmiernie łatwo z niemi zawiera znajomość, i potem je nią prześladowuje. Nie rozumiecie mnie ?

... Rzecz się ma tak. Faun widywał u Omnicza często kobiety — kobiety, które się u siebie całuje, ale któ

rych się na ulicy nie zna — nie dlatego jednak, by nie zasługiwały na ukłon, lecz że znajomość ma charakter incognito. ... Wyobraźcie jednak sobie, że osoba taka, idąc z mężem, bratem, narzeczonym, wszystko jedno wreszcie z kim, z mężczyzną, czy też z kobietą, dość że z kimś niewtajemniczonym w niektóre jej stosunki — zostaje na ulicy nagle napadniętą przez psa, towarzyszącego młodemu, przystojnemu a niby obcemu jej wojskowemu, psa, który nie wiedząc nawet o tem, jak fatalną popełnia zdradę, demaskuje oznakami ścisłej, zażyłej przyjaźni te, którą tylekroć widział otaczaną dowodami najwyższej czułości przez swego pana. Faun zaś był pod tym względem niepoprawny i z czystym sumieniem kompromitował w ten sposób publicznie kobiety, dla których jego pan obowiązany był i pragnął zachować wszelkie względy.

... Pojmujecie teraz, co za nieznośne położenie.

... Stawiało to Omnicza nieraz w bardzo kłopotliwej kolizji — i w końcu, nie mogąc psa oduczyć tej niedyskrecyi, a nie chcąc się go pozbyć, przyjął mnie za współwłaściciela, to znaczy: ile razy Faun mu przeszkadza, oddaje go mnie, ile razy u mnie jest zbyt czynnym, wraca do Omnicza. Ponieważ zaś obok tego obaj używamy go do polowania, służy więc dwom panom, należy mu oddać słuszną, niezgorzej.

Podczas kiedy słuchacze przypatrywali się osobliwemu zwierzęciu, pies tymczasem, nie mogąc usiedzieć w miejscu, przestępywał z nogi na nogę niecierpliwie i cicho przez zęby skowyczał.

— Leżeć Faun! — skarci! go właściciel, a pies podwinąwszy ogon, wsunął się pod krzesło, położył i oparł mordę na łapach, skulony.

— Mimo to mieliśmy z Om — zem z powodu Fauna śmieszne zdarzenie, które nas nawet poróżniło na czas jakiś, a które wam opowiem.

... Pewnego dnia otrzymałem od Omnicza klucz od jego mieszkania i bilecik, aby zajrzeć do zamkniętego psa, ponieważ sam, niespodziewanie zaproszony, odjechał gdzieś w okolico na całą dobę.

... Był to wieczór. Poszedłem tam zaraz, rzuciłem Faunowi kawałek kupionej po drodze wędliny, dałem mu wody, a zobaczywszy na biurku parę nieznanymi mi, świeżymi książkami, ponieważ miałem czas wolny, włożyłem na siebie szlafrok nieobecnego gospodarza, jego fez, i pogrążony w fotelu plecami ku drzwiom, zacząłem czytać przy świetle lampy.

... Naraz drzwi się otwierają, klucz: trzask, trzask, w zamku, wielki szum sukni kobiecych i coś pełnego, ciepłego, jak wichrem rzucone spada mi na kolana, z słowami radości:

— Poszedł! poszedł na cały wieczór! — poczem odbieram całusa... ale to całusa!... którego, chociaż zrozumiałem, że był nie dla mnie, nie zaniedbałem jednak natychmiast z równym ogniem odwzajemnić.

... Hultaj ten Omnicz! paradne miewa znajomości!

... Ale za ledwie skończył się nasz pocałunek, ona oddaliła swoją twarz od mojej, przez mgnienie oka patrzyła zdumiona, a potem zsunąwszy się nagle i szybko z mych kolan, stanęła jak wryta, nie znajdując wyrazów tłumaczenia, które zresztą było zbyt czynnym. Okrywający jej ramiona szal opadł z niej i odsłonił kształtną

figurkę w gustownym szlafrocisku, jakiego nie noszą służące, ani te, które niemi być przesłały. Ponad nim płonął zmieszaniem buziak, stworzony, do śmiechu i pocałunków, a nie tej, jaką był obleczony, minki przerażenia — w ogóle osobka co się zowie interesująca.

... Była tak widocznie wstrząśniętą, tak szczerze zrozpaczoną tym niesłychanym wypadkiem, tą pomyłką fatalną, że w pierwszej chwili uniosłem się litością i pomimo, że rad byłem w głębi duszy jej nieszczęściu (w obliczu młodej i ładnej kobiety trudno nie być samolubem), do licha! — pomyślałem — człowiek honorowy nie przejmuje listów pod cudzym pisanych adresem.

... Podałem jej szal jak najuprzejmiej i aby uspokoić wszelkie jej obawy, rzekłem:

— Szanuję zawsze cudze tajemnice. Może pani oddalić się ztąd bez obawy.

... Wysłuchiwała tego ze spuszczonei oczyma, nieruchoma, cała w pałaszach, nie wiedząc, co odpowiedzieć, nie mogąc tchu zebrać...

... A Faun, zawsze ten sam!... nie odwołując zawarcia znajomości, tak się jej zaczął łasić, tak ją szarpać za frendzle szala, że aż go musiałem odpędzić.

... Nareszcie szepnęła zdławionym głosem, spiesźnie:

— Dziękuję panu — i postąpiła ku drzwiom, w których już jej ręką przekręcony klucz, nieznacznie, przez dyskrecję, odkręciłem.

... Lecz naraz, ująwszy już za klamkę, podsunęła ku drzwiom ucho i zatrzymała się. Nie otwarła ich. Kiedym się zaś do niej zbliżył z miną pytającą, wyrzekła cicho, przełknięta:

— Tam ktoś jest.

... Poprosiłem, aby mi pozwoliła wyjrzeć i odchyliwszy drzwi, zobaczyłem rzecz fatalną.

... Trzy kobiety w brudnych, zakasanych spódnicach, uzbrojone w ryżowe szczotki na długich kijach, dźwigając kubły wody, z której buchała para, i pęki szarych ścierek, przy blasku małej lampki zabierały się do mycia podłóg korytarza.

... Powiedziałem jej, jak rzeczy stoją.

... Spytała zadyszana:

— Z której strony zaczynają? ... Wyjrzałem znów i rzekłem:

— Zdaje się, że z tamtej.

— O Boże! właśnie tamtędy muszę przechodzić... .. Nie byłem w stanie zapanować nad ciekawością.

— Więc pani... nie w stronę schodów?...

... Nie patrząc na moje, odparła cicho, cała drżąca, po krótkim wahaniu, jakby widziała się zmuszoną do szczerości:

— Mieszkam z drugiego końca korytarza.

... Zorientowałem się szybko, znając rozkład lokali

na tem piętrze, bo Omnicz mieszkał tam od dłuższego czasu. Sąsiadka — mieszkanie frontowe — męża wszyscy znacie, ale go nie wymienię, przez wdzięczność dla obojga.

... Staliśmy naprzeciwko siebie w milczeniu: ona, nie wiedząca, co począć — jakże się biedaczce serce tłuc musiało tam, w głębi jej powabnego biustu! — ja, nie wiedzący, co doradzić.

... Nie rada mi też, szczerze mówiąc, była w głowie.

— Może się oddała... Niech pani raczy spocząć, przeczekać — rzekłem z obowiązku gospodarza i mężczyzny.

... Posłuchiwała szybko, bez wahania, jak gdyby uznając, że ja tu jestem panem w tej chwili — i usiadła skromnie na podanym przezemnie krzeselku, cała otulona po szyję w swój ciemny, wełnisty szal, podwijając nogi pod krzesło, jak gdyby jak najmniej miejsca chciała zajmować.

... Wyjrzałem znowu za próg, ale straciłem, a raczej zyskałem... nie, dobrze mówię, straciłem — dla niej! — wszelką nadzieję.

... W moich oczach bryzgnęła z pluskiem na podłogę fala grzanej wody. Wiedźmy z obnażonemi, czerwonomi rękoma zaczęły ją rozwlekać po deskach szczotkami. Rozpoczęło się mycie podłogi szerokiego, długiego korytarza, które mogło trwać z całym szeregiem splukiwań i wycierań godzinę, półtorej, nawet dwie, bo pomywaczki urozmaicały sobie pracę rozmową, która wraz z głuszącym ich podniesione głosy zgrzytem ryżowych szczotek tylko na przedłużenie roboty wpłynąć mogła.

— Zaczęły myć — uwiadomiłem kobietę i zaniknąłem drzwi, pytając się w duchu, od czego by tu zacząć, ażeby skończyć w sposób pożądany.

... Przez chwilę milczeliśmy oboje pod wpływem tyle nasuwającej myśli pewności, że jesteśmy z sobą uwięzieni na kilka godzin wieczoru i sam na sam.

... Potem ona, oceniwszy zapewne to wszystko, czego się w tem położeniu mogła spodziewać czy obawiać, odezwała się gorączkowo z lękiem i nie ustępującem zawstydzaniem:

— Czy nie możnaby ich oddalić na chwilę?

— Pod jakim pozorem? — jak najśłodziej odrzekłem, pożerając ją wzrokiem. — Zresztą jedną dałoby się, lecz wszystkie trzy?

... Łzy zakręciły się jej w oczach, przygryzła wargi, zaczęła płakać.

.. Biedaczka! żal mi jej było. Czemuż nie zemdląła zaraz w pierwszej chwili. Byłoby jej to nie oszczędziło następstw niezwykłego zbiegu okoliczności, ale obojgu nam uprościłoby nasze role. Ocuciwszy się w mych objęciach, łatwiej pogodziłoby się mogła z swym losem... To nawet używane.

... Zacząłem ją zapewniać, że nie potrzebuje się niczego obawiać, i — najostrożniej, bez zbytku nalegań, aby się nie złapać — oświadczyłem, iż jeśli sobie życzy, oddałę się, zostawiając ją samą.

... Podniosła na mnie oczy i spuściła je. Namyslała się zapewne, czy odrzucenia propozycji nie wezmę za zachętę — ale wiedziałem dobrze, że nie każe mi odejść, nie zmieniliby to bowiem zaszłego faktu, a byłoby obrażającym dowodem braku zaufania do mnie.

— Nie mogę... nie mogę na to pozwolić, aby pan z mego powodu... — odrzekła z przymusem.

... Siedziała naprzeciw mnie, nie patrząc na mnie, ale wiedząc z pewnością, że ją pochłaniam oczyma.

... Milczeliśmy. Żadne nie wiedziało, co mówić. Nie było to miejsce ni sposobność ani do rozmowy o pogodzie ani do żadnej innej — z wyjątkiem dwóch, najdrażliwszych, które ją przerażały a mnie nęciły, to jest o bieżącej sytuacji lub o... miłości.

.. Naraz wybuchnęła ponownym płaczem, tak że pospieszyć musiałem ku niej z prośbą:

— Ale niechże się pani nie martwi niepotrzebnie! ... Wyszepiała nadzwyczaj żałośnie:

— Co pan sobie o mnie pomyśli?

... Nie mogła się odezwać w pożądanym dla mnie sposób!

... Zacząłem ją zapewniać o moim całkowitym szacunku, więcej nawet niżeli szacunku. Nie mogąc uprosić słowami, by zaniechała płaczu, pocałowałem ją w rączkę, odszukaną pod szalem, potem w drugą, która znalazła się jakoś w pobliżu,

a potem zacząłem opisywać, jak jestem szczęśliwy, że podobne nieporozumienie, ambarasujące co prawda, zbliżyło mnie do tak cudownej kobiety. Od niej bowiem tylko samej zależy, abym tę chwilę niezwykłą zaliczył do najrozkoszniejszych w życiu! I tak dalej...

... Nakoniec — pojmujecie... bo czyliż nawet mogły rzeczy inny wziąć obrot, skoro oboje byliśmy w szlafrokach.

... Ta potrzebująca mnie sobie zobowiązać kobietka dała mi się zwolna przekonać, że koro tu przysłała po pocałunki (po cóżby innego?...) i pieszczoty, nie ma powodu odrzucać je dlatego jedynie, że przez inne usta, aniżeli się spodziewała, będą jej podane, tem bardziej, gdy ustami temi kieruje uwielbienie najwyższe, i gdy... mąż wyszedł na cały wieczór!...

... Nabrała wreszcie do mnie zaufania i wyznała, że ją w błąd wprowadził brzęk mego pałasza, sądziła bowiem, że to Omnicz powraca do siebie — (zdaje się, że podobny sygnały były między nimi w użyciu). — No, a potem jego fez na mej głowie, jego szlafrok... Co za dziwny traf!... Kręciła nawet główką. Ale dałem jej słowo, że między mną a nim nie było żadnej zmywy, że to, co zaszło, przez żadnego z nas obu, przez żadne z nas trojga zarówno przewidzianem nie było.

... Korytarz dawno już byt wymyty, a nam ani w głowie było zwracać na to uwagę.

... Tylko ten Faun nieznośny!... Ciągłe się do nas mieszał — a nawet w najmniej stosownych chwilach poczyna! tak zajadle szczekać, że mnie to do pasy przywodziło. Czy jemu się zdawało, że ja ją zabijam, czy co?!...

... Nie wspomniałem nic o tej przygodzie Omniczowi, wiedząc jak jest zazdrosny. Bo ja — wiecie — ja koledze nie odmówię niczego, wszystko wybaczę — ale on! kiedy się o kobietę rozchodzi: drugi Otello !... Umówiliśmy się więc z uroczą jego sąsiadeczką zachować w najściślejszej tajemnicy przed nim ów wieczór i nieodłączne jego powtórzenia.

... Na nieszczęście zdradził nas — o! ten wisus — Faun!

... Nie znał on sąsiadki Omnicza, póki była jego kochanką, bo wydalano go zawsze z mieszkania — ale zapoznał się z nią, odkąd stała się moją, ponieważ patrzył na wszystko.

... Następstwem tego było, że zaczepiona przez Fauna w obecności męża zarumieniła się, mąż w przystępie nadnaturalnego jasnovidzenia zaniepokojony tem, zaczął dochodzić, do kogo pies należy, i zrobił jej scenę ona uczyniła wyrzut Omniczowi, Omnicz, nie poczuwając się do winy, zwąchał, jak rzeczy stoją, i zrobił scenę mnie, i posprzeczaliśmy się.

... Co za szaleństwo, moi drodzy! dwóch takich przyjaciół jak my, gniewać się o kobietę!... Czy kto słyszał ?!

... A jednak tak było. Przestaliśmy do siebie mówić, witać się, a nawet kiedy jeden drugiego spotkał

na ulicy, skręcał w bok lub wstępował gdziekolwiek. Pies oczywiście został przy Omniczu. Trwało to z miesiąc.

... Wiecież, kto nas pogodził?

... Znowu on: Faun.

... Przypadkiem znaleźliśmy się raz Obadwaj w jakimś publicznym ogrodzie, podczas koncertu, przy dwóch sąsiadujących stolikach. Pies mnie poznał i skacząc z radości, zaczął się łaścić. Cóż bo zwierzę mogły obchodzić ludzkie niesnaski!... I póty przebiegał odemnie do Omnicza i znowu do mnie, aż rozśmieszeni, przejrawszy całe dzieciństwo naszej waśni — podaliśmy sobie rękę.

— Faun! pójdź tu... Tu!... Zobaczno ośle jakiś, czy tam czasem pani Całujka nie idzie, tylko prędko !
Na te słowa wyżeł zerwał się szybko z pod nóg porucznika i wyskoczywszy na stołek, przy oknie stojący, oparł na nim przednie łapy i wyglądał przez chwile ciekawie na ulicę, jak gdyby wypatrywał istotnie po za szybami wskazaną osobę.

Trzej oficerowie parsknęli śmiechem — a porucznik objaśnił, śmiejąc się także:

— Tej sztuczki wyuczył go Omnicz. Prawda, że odpowiada ona zupełnie charakterowi Fauna?...
Poczem przywoławszy psa, zaczął go ręką pieścić.

NIESZCZĘŚCIE.

Są dni, w których szczęście zdaje się przenikać świat cały, ogarniać wszystkie istoty, w których czujemy je dokoła, pragniemy go, wierzymy w nie.

Takim jest pierwszy dzień wiosny, słoneczny, wonny i świeży, kuszący mieszczucha do wydostania się z ciasnoty ulic na wolne powietrze, aby zakosztować energicznej przechadzki, wśród zachepek wiatru, z widokiem daleko sięgających płaszczyzn naokoło siebie i niezmierną, rozkoszną pustynią błękitu i światła ponad głową.

Takiego dnia rano, korzystając z błahego pretekstu dowiedzenia się dlaczego od dni kilku nie przynoszą mi mleka, składającego zwykle moje śniadanie, udałem się na odległe przedmieście do domku pewnej wdowy. Chodziłem tam codziennie ubiegłego lata wypić parę szklanek z wieczornego podoju, w zdrowym zapachu półciemnej obory, gdzie krowa, to poczciwe i łagodne zwierzę, pozwalając głaskać swój grzbiet kościsty, przerywała niekiedy cichym ryczeniem żucie świeżego potrawu lub

ogłądała się poważnie na kobietę, wyciskającą z różowych jej wymion biały, ciepły, wyborny napój.

Ujrawszy z za wierzb i płotów dobrze mi znaną, zbutwiałą strzecho, podobną do nieuczesanej czupryny, którą z jednego boku powlekał wesoły, złocisty odbłask dnia, w jednej chwili żywiej przypomniałem sobie jej mieszkańców, przewidując z góry te uśmiechy, te rozkładania rąk i podzięki za pamięć, jakimi odwiedziny moje będą przyjęte. Biedaków byle co cieszy.

Naraz, gdym się przybliżył do chałupki, doleciał mnie z jej wnętrza płacz kilku głosów, tak przejmujący, jakim się żegna ukochanych zmarłych w pierwszej, najboleśniejszej chwili po doznanej stracie.

Do licha! zima to kawał czasu jeden z przykrzejszych... Kto wie, co tutaj od tyłu miesiący zająć mogło?

I zasepiłem się w przeczuciu jednego z tych smutnych kontrastów, jakich życie nastrecza tyle!...

Przestąpiwszy wysoki próg niziutkich drzwi, w kabłąk się zginając, niby wołyżer przeskakujący przez obręcz, wszedłem do sionki, a z niej do izby, gdzie jeden oddech napełnił mi nos i płuca trudną do rozwikłania, komplikacją zapachów, jakie w mieszkaniach biedaków, wytwarzane z wszystkiego, co podejmują, zatrzymuje się miesiącami, aby nie wypuszczać ciepła.

Zastałem tu dwie osoby. Wdowa o czerwonych opuchłych oczach i twarzy, zaśmieconej kosmykami lgnących do niej włosów, kiwając się w obie strony, zawodziła siedząc na skrzynce, skrzywiona, zboliała. W drzwiach komory zaś

zblizonym sposobem martwiła się starsza jej córka, podobna do niej swoją cierpiącą miną, jak drugi odlew tego samego biustu, który wypadł nieco młodziej.

Czując w powietrzu żalobę, właśnie miałem je zapytać o przyczynę zgrzyoty, kiedy z sionki wbiegł syn wdowy, krawiec, na mieszczanina wyglądający w swoich sukniach miejskiego kroju, przy ich perkalikowych, krótkawych, półwiejskich. W rozpiętej kamizelce, z podkasanymi rękawami koszuli, z rękoma ociekającymi wodą, biegał, oglądając się na wszystkie strony, pewno za ręcznikiem lub ścierką. Sądził widocznie, że już wiem o wszystkim, bo tylko pokiwał do mnie głową, jakby mówiąc: "a co? czy przypuszczałeś pan coś podobnego?" — i westchnął z rozpaczliwym: "a jej! jej! jej!"

Na widok tych trojga zdrowych i całych, zaczęła mnie trochę niepokoić nieobecność drugiej, młodszej córki wdowy, Teresi, z której ręki najchętniej brałem w letnie wieczory i ranki kubek z mlekiem.

Lecz oto i ona.

Zmartwiona jak tamci, ale jakoś pięknie zmartwiona, pierwsza spostrzegła się, że przecież jestem tu gościem.

— Czemu pan nie siada?

Na to matka, wśród nieustannego szlochania, takim tonem, jakby jej już nic nie pozostało na świecie, przepraszając, że pozwoliła mi stać dotąd, podsunąwszy stół, zachęcała, abym się doń przylepił.

Zacząłem próbować ją uspokoić.

— Łatwo to mówić — łkała — ale kiedy się kto tyle koło czego nachodzi, napięgnie, dba o to więcej niż o siebie samego, a tu ni ztąd ni zowąd... po wszystkimu, to wtenczas mało człowiekowi serce nie pęknie z żalu...

Ach! rozumiem...

Słowa te przypomniały mi naraz najmłodszą, kilkoletnią córeczkę wdowy po drugim mężu.

Więc to to dziecię? najmłodsze! najmilsze!...

Pełen współczucia, chciałem zapytać, jak do tego przyszło, zarazem wstrzymywany delikatnością, aby nie jątrzyć ich rany. Lecz wszyscy płakali, wszyscy. Teresia, zagryzłszy wargi, roniła ukradkowo po parę łez z wdziękiem, syn kłął pod wąsem, obnosząc z jednego kąta w drugi swe mokre ręce, a starsza córka szarpała matkę za barchanowy rękaw, niby to dla uspokojenia, ale nie przestawała sama wtórować jej.

Znalazłszy się bliżej Teresi, spytałem zcicha:

— Kiedyż się to stało?

— Nie ma godziny.

Tak niedawno!... Pojąłem ich boleść. O ścianę zapewne spoczywa to jeszcze niezastygłe ciało. Serce mi się ścisnęło... W zgonie dorosłego człowieka jest coś przerażającego grozą znikomości naszej istoty, ale przedwczesną nielitościwą śmierć dziecka jakże boli, zasmuca!...

Wtem, kiedy snuję w najlepsze tę refleksję, skrzypnęły zawiasy i przeskoczywszy próg, wpada do izby mała, brudna, śmiejąca się — żywa! żywiuteńka!... — dziewczynka, bijąc drewnianą łyżką w dno blaszanej kwarty.

Wdowa uniosła się:

— A ty czemuś taka kontenta bębnie jeden!

I maleństwu dostał się tak potężny szturhaniec, że od wstrząśnienia kwarta z łyżką upadły na ziemię, usta dziewczynki otwały się, oczy zamknęły, i z zatrzymanymi w pół drogi ku nim rączynami, ze skrzywioną żałośnie buzią stała chwilę cicho. Naraz, na

brawszy tchu, jak nie wyrzuci z gardziółka pisk — ów pisk przesywający, który między innymi odróżnia małe dziatki od aniołów.

Teraz wszystkich już miałem przed sobą i wszyscy rozpaczali.

Nad kim? nart czym?

Kiedym zniecierpliwiony zapytał o to wdowy — wskazała ręką pod okno, do którego byłem plecyma zwrócony i dodała kilka słów objaśnienia, gdzie była mowa o wczorajszych nadziejach, które przed godziną prysnęły, o czymś żywym, beczącym, czego się spodziewano, na co liczone i cieszone się od tak dawna... gdy tymczasem..

Obejrzałem się.

Przy oknie, na ławie, stały w rzeczy samej niecki, pełne różowego mięsiwa, nad nimi zaś rozpiętą była na kiju surowa, świeża skórka, pokryta białym włosiem w czarne łaty.

— Ach! więc to ja dlatego nie dostawałem w ostatnich dniach mleka?...

Dlatego, dlatego!... zaczęła się żalić wdowa i byłaby kto wie jak długo wyliczała mi spodziewane tutaj korzyści, które jeden okrutny kaprys natury w niwecz obrócił, gdyby krawiec, wyprowadzony z cierpliwości, nie przerwał jej wywnętrzeń okrzykiem:

— Wytrę ja dzisiaj w co te ręce, czy nie?! — i przyskoczył do fartucha matki. Odepchnięty przez nią najpierw a potem przez starszą siostrę, napadł Teresie. Dziewczyna zamierzyła się oburzona, ale widząc, że na nią patrzę, zaniechała nieestetycznego giestu, opuszczając pięść — krawiec zaś z zadowoleniem wycierał ręce do sucha.

Wyrwawszy się co prędzej, aby ich nie urazić śmiechem, którego byłem pełen, odprowadzony na dwór przez całą nieszczęśliwą, takim ciosem nawiedzoną rodzinę, zobaczyłem jeszcze od furtki, jak kot, przyczajony dotąd pod ławą, wskoczył teraz na okno i zaczął się raczyć zawartością niecek, sam jeden, niby przedsiębiorca pogrzebowy, korzystając z cudzej niedoli.

W powrocie do miasta, wpośród przecudownej pogody, istnej orgii światła i ciepła, spotykałem same uśmiechnięte, wesołe twarze. Własne troski zdawały się ludziom Iżeszemi, cudze nie obchodziły ich — wiosna wszystkich wzięła w obroty.

MARA.

Od chwili, kiedy porzuciłem muzykę, niegdyś... pamiętasz?... pomimo bólu i tęsknoty nie do ukojenia, jakie mi dawała, ukochaną z tym samym szalem i wyłącznością, która cechuje wszystkie moje uczucia; od chwili, kiedy tę miłość dla sztuki przenieśliśmy na kobietę, na nią, na moją żonę — w coraz dziwniejszym znajduje się stanie...

Z powodu drobnostek nabieram nagle wstrętu do rzeczy, do ludzi, których lubiłem zawsze i z równie błahego powodu uczucie to ustępuje miejsca innemu jeszcze szybciej, niżeli się pojawiło.

Przerzucam się raz po raz z jednej ostateczności w drugą, jak chory, który co chwila zmienia pozywy, ponieważ osłabione ciało jego żadnej zbyt długo nie znosi.

Chwilami świat mi się wydaje cudownym, a sama możliwość patrzenia na szczęście innych — nieprzebranym źródłem uciechy. Naraz jakaś nic nieznacząca dro

bnostka zasępiła mnie, zniechęca, otacza chmurą wzmagającego się smutku i zwątpienia i wnet wszystko wydaje mi się fałszywym, marnem, bezcelowym, niezdolnym...

Ale nie tylko teraźniejszość, w coraz to innym widziana świetle, dokucza mej wyobraźni, podejrzewam i przeszłość, nie ufam przyszłości.

Ni ztąd, ni zowąd przychodzą mi czasem do głowy rzeczy nieistniejące, choć możliwe i unoszą mnie jak najpewniejsza w świecie, rzeczywista i nieunikniona konieczność, a unoszą tak gwałtownie, tak mnie pochłaniają, że zanim spostrzegę się w tym locie po manowcach przypuszczeń, już gorzko objęła mnie i napęła, ta dziwna, subtelna gorzkość chorej wyobraźni, która przenika na wskroś, zasmuca i obezwładnia.

Nie tracę przytem, co prawda, nigdy do szczytu władzy odróżniania rzeczy istotnych od możliwych, lecz sama myśl o możliwościach, a wszakże te nie mają granic, sama obawa tego, coby być mogło, zatruwa mi bez miary to, co jest.

Jakże bo znikomem, ułudnem aż do kłamstwa niemal, wydać się musi wszystko człowiekowi, który zna nieograniczoną zmienność rzeczy i odczuwa druzgocący despotyzm całości wobec cząstki!..

Zkąd jednak bierze się we mnie ta chorobliwa pochopność do uprzedzania i rozbierania przyszłych faktów, ta skłonność dopatrywania wszędzie zapowiedzi ostatecznych wyników, skutkiem której to, na co skazani jesteśmy wszyscy, rozczarowanie, zjawia się u mnie najwcześniej?

Nie umiem sobie tego wytłómaczyć.

Nazywaliście mnie nieraz egzaltowanym, kapryśnym, ja sam to, czułem, że nerwy moje plątają mi figle... Ale czemu? Prawdopodobnie mój ojciec dał mi życie w chwili, kiedy dla niego samego wszystko straciło już urok i ja przyniosłem z sobą na świat przedwczesne niedowierzanie dziecka dojrzałego pesymizmu. Faktem jest, że udział mój w życiu różni się od waszego, że dostaje mi się tylko część waszych radości, a smutki mam, o jakich wam się nie śniło. Jak straszne są dla mnie na przykład godziny waszego odpoczynku i słodkich marzeń noc — z swoją ciemnością i ciszą, które zakrywając uśpioną rzeczywistość, powołują do życia świat mar!.. Skoro noc nadejdzie, jakaś głucha groza mną owłada, niedające się wypowiedzieć ani usprawiedliwić uczucie lęku i odrazy ku całemu światu, jak gdyby wszystko dokoła mnie było zatrutem i cuchnącem, jak gdybym się znajdował w obcym mi miejscu, gdzie zdają się na mnie czyhać miliony niebezpieczeństw, choć żadne ze znanych mi nie przeraża. Nie widzę przedmiotów, straciłem z oczu przestrzeń, pogrążoną w mroku i dlatego ją podejrzewam. Zaczynam się lękać, sam nie wiem czego, nie wierze własnym zmysłom, myśl moja kurczy się i drży w gorączce, zgnieciona obawą wrogiego ogromu, wpośród którego zawisła mała i bezsilna... I pragnę wówczas snu, zbawcy, któryby mnie wyrwał z chaosu niekarnych majaków — ale sen nie przybywa... Jedną właśnie z takich nocy fatalnych ugodziła niedawno w jedyną osłodę mego życia, w tę miłość, która tak wyjątkowe, tak niesłychanie górujące stano

wisko zajęła w mem istnieniu, że dla niej wyrzekłem się wszystkiego, com posiadał, przestałem czuć, czego mi brak; że, poznawszy w niej granice wymarzonego szczęścia, nabyłem jednocześnie przeświadczenia o jego nieskończoności. Ponieważ przynosząca mi je istota była dla mnie najwyższym kontrastem wszystkiego, co przywykliśmy uważać za złe i brzydkie. Stało się to w następujący sposób. Pewnej nocy, nie mogąc oczu zmrużyć do późna z powodu większego niż zwykle rozstroju, stanąłem z światłem nad jej pościelą i objąłem wzrokiem to uosobienie dobroci i wdzięku, którego sam widok goił mnie dotąd zawsze i uzdrawiał. Spała lekko i spokojnie. Po raz nie wiem już który spostrzegłem, ile jest piękniejszą od tego jej obrazu, który nieustannie w myśli noszę — jak gdyby wyobraźnia moja zbyt nieudolną była do pochwycenia całego jej powabu. Wydało mi się teraz, że bijąca od niej prostota przyprowadza do ładu i chłodzi stopniowo mój wzburzony umysł... Wtem uśmiechnęła się, robiąc przez sen nieznaczny ruch przeczenia głową...Śniła!... O czym?... Gdybym mógł przeniknąć!.. Ale niepodobna... A przywidziało mi się, że ten sen był ważną dla mnie tajemnicą, że dzieje się w nim może coś, co mnie krzywdzi, że jej dusza odbiega odemnie, że łączące nas węzły stają się słabszymi... Nic bowiem nie usposabia bardziej do niewiary, jak widok śpiącego: cały zajęty sobą, milczący i skryty.... Starąłem się czas jakiś natężeniem myśli odgadnąć jej marzenia, lecz był to próżny wysiłek. Natomiast

pod natarczywością mego wzroku zbudziła się i westchnąwszy, szepnęła:

— Nie śpisz?

— Nie. Patrzyłem na cielne. Śniło ci się coś? Przybrała twarz osoby, która wyczerpała pamięć, a nie mogąc sobie nic przypomnieć, podniosła się na posłaniu i spytała ciekawie:

— Czy co mówiłam?

— Nie, uśmiechałaś się tylko...

Wyciągnęła do mnie odsłonięte ramiona i z uśmiechem w półrozbudzonym, który miał w sobie coś dziecięcego, odparła:

— To do ciebie... Musiałeś mi się śnić...

Nie pojmuję, skąd mi się wówczas zebrało na podejrzenia. Nie dając jednakże niczego po sobie poznać, pocałowałem ją, ułożyłem napowrót i poprosiłem, aby usnęła.

Usnęła też wkrótce, patrząc na mnie przez chwilę, z pod zmrużonych powiek, których rzęsy ęmiły stopniowo blask jej źrenic, zapadając coraz niżej i gasząc jednocześnie uśmiech nakształt światła...

Zasnęła. Utonęła napowrót w świecie, w którym niepodobna mi było śledzić ją, strzedz jej, ściagać — jak syrena z bajki, porzucająca z brzaskiem śmiertelnego kochanka, aby się zanurzyć w niedostępnej, niezgłębionej tajemnicy wodnej toni...

I naraz doznałem uczucia, że się znajduję twarz w twarz z nieznanym, niewidzialnym a potężnym wrogiem mojego szczęścia...

Był nim sen!

Sen, który nie zna granic czasu ni miejsca, praw ludzkich ani praw logiki, karbów cudzej ani własnej

śpiącego woli, który czyni nas zdolnymi do wszystkiego, upaja lub grozą przejmując, w którym wyobraźnia urzeczywistnia wszystko najlepsze i najgorsze, o co istota ludzka na jawie się otarła, w którym tylko brak ruchu nie pozwala nam dopuszczać się najdziwaczniejszych, a nawet zbrodniczych czynów — sen lunatyka i hipnotyczny są tego dowodem — w którym kielkują może pierwsze nasionka spełnianych później na jawie występków.

I oto stałem bezradnie wobec udręczającej mnie zagadki tego cichego spoczynku, który, tak z pozoru niewinny, zabierał mi w oczach i Bóg wie gdzie unosił ukochaną i drogą kobietę!...

Te i tym podobne myśli, podejrzenia, obawy, urodzić miały niebawem czyn najszałeńszy w świecie, podyktowany przez wyobraźnię, rozognioną dziwacznościami i upartymi podszeptami bezsenności.

Nieraz już przedtem pogrążałem ją oczyma w sen sztuczny, w ów niezbadany rodzaj katalepsy, nazwany przez uczonych hypnozą, w którym osoba uśpiona przyjmuje rozkazy hipnotyzera, aby je później na jawie jaknajściślej wykonać, bez świadomości pobudek swego czynu. Skłonność jej do tego odkryłem przypadkowo, zwyczajem kochanków mocując się z nią wzrokiem, wśród czego, po długim wpatrywaniu się w moje oczy, popadła raz nagle w zdrętwienie. Zorientowawszy się, co to znaczy, obudziłem ją i przekonałem się, że był to istotnie sen hypnotyczny, nie pamiętała bowiem o niczem.

Parę razy później, przez żart, powtórzyłem tę próbę a nakazywałem jej zwykle wykonanie czegoś, wręcz przeciwnego jej zwyczajom. Było ztąd potem wiele śmiechu, gdy zmieszana, nie mogła sobie zdać sprawy z po

stepku, spełnionego bezwiednie pod potężnym przymusem sugestyi. Lecz kiedy jej wyznałem rzecz całą, bez cienia żalu za podobny zamach na jej wolę, obejmując mnie, rzekła uradowana:

— Patrz, jaką masz nademną władzę!...

Teraz więc, zdenerwowanemu nagłą obawą zmian nieznannej przyszłości, mogącej przynieść wszystko, przyszło mi na myśl władzy tej użyć.
Postanowiłem za jej pomocą utwalić w niej miłość dla mnie, rozkazem tajemnym zapewnić sobie szczęście posiadania jej zawsze taką, jaką aż do tej chwili wzbudzała we mnie najgorętsze uwielbienie.
Nie obyło się bez skrupułów.
Zdawało mi się, że ją w ten sposób krzywdzę, że spełniam bezprawie, gwałt jej zadaję niegodny...
Ale dlaczegoż pragnąłem narzucić jej mój wpływ...
Dlatego, aby ją uczynić nietykalną wobec wszelkich innych wpływów, zagrażających naszemu wspólnemu szczęściu, niezliczonych wpływów zewnętrznych i nieuchronnej zmienności słabej natury ludzkiej.
Zresztą czyliż podobnych gwałtów nie popełnia się codziennie mimowoli?... — myślałem. — Jeżeli istnieje w rzeczy samej ta siła, której zamierzam użyć, czyż nie jest możliwym, że słabsi zostają nieustannie pod bezwiednym naciskiem tego rodzaju ze strony silniejszych?...
Z sercem bijącym wzięłem ją owego rana za rękę i utopiłem bystre spojrzenie w jej oczach, dopóki nie przesłoniły się mgłą i nie przymknęły, na znak, że dusza jej oddaje się teraz cała w moc moją.
Mie puszczając jej dłoń, zawołałem na uspioną po imieniu, zapytałem, czy słyszy mnie i poznaje, a gdy potwierdziła, rozkazałem, aby zważała na każde me

słowo — i uniesiony szalonym pomysłem, oddałem mu się całkowicie.
Była to w swym rodzaju dziwna, dziwna scena miłosna.
Porwany niezwykłością mego czynu, znalazłem się w nastroju półnieprzytomnym, a zarazem uroczystym: zadawałem jej pytania dręczonego niepokojem i zazdrością kochanka, które mi otwarły wszystkie skrytości jej serca, wskazując, że w niem panuję niepodzielnie. A potem rozkazywałem jej i prosiłem, aby pozostała zawsze tak dobrą i tak kochającą, jak była dotąd, aby nie zmieniła nigdy ani swych uczuć dla mnie, ani doskonałej ich formy. Całe moje ubóstwienie dla niej przelałem w rozkaz, który miał odtąd zapewnić trwałość naszemu szczęściu..
Ona zaś poddawała się bez oporu, a przebudzona nie zachowała najlżejszego nawet wspomnienia o tem, co zaszło, a co jednakowoż kierować miało odtąd każdym jej krokiem, jak gdyby własna jej wola...
Dzień, jego światło, rozjaśniające myśli nawet i wypogadzające umysł, przyniósł mi trochę wstydu i trochę wyrzutów sumienia, ale też i chęć wyśmiania siebie samego, jak się to śmiać zwykliśmy z rzeczy, popełnionych w malignie.
Czułem w sobie przecież równocześnie i ten tajemny dreszcz otuchy, jakim przejmuje zabobonnych pomysła wróżba lub posiadanie zbawczego amuletu.
Pod wpływem jej swobody i naturalności zaczęło się nawet zwolna w pamięci mojej zacierać wspomnienie wybryku rozstrojonych nerwów, gdy wtem, w jakiś czas potem, nałóg, będący dla mnie dawniej rozkoszą, nałóg studyowania jej bez przerwy, przyprawił mnie o nowy

niepokój, który dziś — och! gdy raz na tę drogę wstąpię, trudno mi się na niej zatrzymać... — dziś nie pozwala się odpedzić i zakorzeniony, spotęgowany, towarzyszy mi ciągle, bez ustanku mnie nęka...

Czemuż się naraziłem na to? Dlaczegożeś nie przewidział?... Naturze zadawać gwałt podobny!...
Sądziś może, że podstęp mój nie dopisał?... Ależ nie! przeciwnie — i to jest najstraszniejsze właśnie... Co miało mi dać spokój, stało się dla mnie męką.
Czyż nie rozumiesz?
Każde jej słowo, ruch, spojrzenie, wszystko, co mnie w niej dawniej tak zachwycało, żem w niezmiennej pragnął zachować to postaci, wydaje mi się dziś wymuszonym, nieszczerem, martwym...
Wszystko to bowiem nie ona dziś czyni, ale rzucony sztucznie urok, który dla niej samej jest tajemnicą, dla mnie widoczny, jak sekret sztuki dla kuglarza, który się nią popisuje...
A wszystko, aż do najmniejszego poruszenia, uśmiechu, intonacji, nie przestanie być takim samym jutro, pojutrze, za rok, zawsze, i ja wiem o tem... sam to sprawiłem!... Sam przemieniłem ją w bezmyślnie posłuszną lalkę, w ślepe narzędzie mego kaprysu i dziś snuje się koło mnie mara bez własnej woli, bez duszy samodzielnej, cień dawnej istoty, wcielony odbłask moich chorobliwych mrzonek... W pokusie poprawienia życia. którego sam, jak wszyscy, bezsilną jestem igraszką, w czyn wprowadziłem je na szkodę najdroższej mi istoty!...
Co mam czynić?... Wyznać jej — niepodobna!... Czyliż mi przebaczy!... Chyba w powtórnym uśpieniu cofnąć sugestję lub nawet podszeptać coś wręcz przeciwnego...

Ale czy teraz, w rozpacz, która odbiera siły, będę miał tyle nad nią wpływu, ile go miałem, kiedy mnie pożerała miłość, ogień nienasyconych pragnień bez granic uwielbiającego kochanka?...
Zresztą nie przestanie to być przymusem, to z niej nie zdejmie mego nienaturalnego wpływu... To nie powróci mi dawnej, świadomej i niezależnej istoty, to jej nie uzdrowi, nie odda jej zrabowanego przezemnie przyrodzonego dobra: woli samodzielnej, swobodnej woli, którą jej bezpowrotnie wydarłem, przyprawiając jej duszę o kalectwo, a siebie, sprawcę tych zbrodni, skazując na wyrzuty i udręczenia bez końca!...
Najgorsza bowiem przyszłość... nieznana! — wydaje mi się dzisiaj mniej straszną od tej wiadomej, pewnej, niezmiennej jednostajności, która ciąży nad nami obojgiem, jak wyrok: nieubłagany, jak kłątwa...
Co czynić zatem? co czynić?!...
Radziłem się lekarza, bom sądził, że znajdzie na to sposób, bo wreszcie są chwile, kiedy to wszystko wydaje mi się tylko przesadnym urojeniem...powracającą, ale bezpodstawną mrzonką, z której się można uleczyć...
Zabronił mi surowo doświadczeń hipnotycznych, kazał zmienić tryb życia, wyjechać na czas jakiś, brać rzeczy poprostu i nie dopuszczać do siebie przywidzeń...
Przywidzeń!...
Jak niepojętym wyraz ten przejmuję mnie dreszczem!... Boję się ich! boję więcej, niż mogłem to kiedykolwiek przeczuć!... Obawiam się, aby kiedyś... jakieś przywidzenie nie opanowało mnie tak wyłącznie, uparcie, wszechwładnie, że straciłbym zdolność dojrzenia po za, niem rzeczywistości... Jest dla mnie coś wyzywającego

w fikcjach, nęcą mnie, jak niewyjaśniona zagadka natury nęci uczonego, nie mogę im się oprzeć...
Czy to, co tutaj powiedziałem, także nie przywidzenie?...

Mów, odpowiedz, odpowiedz mi wyczerpująco i szczerze, co o tem wszystkim myślisz!... Przekonaj mnie. jeśli chcesz, że się dają unosić wyobraźni... Ja ci uwierzę, bo ci ufam, bo pragnę być przekonany, jak ślepy pragnie widzieć, umierający żyć — lecz przekonaj mnie!...

KŁOPOT.

Wciągnięty przez pana młodego w najodleglejszy zakątek apartamentu prezesostwa, dokąd już nie docierały ani dźwięki orkiestry z tanecznej sali, ani gwar balu, wrócego najwyższym szaleńcem o tej porze nad ranem — mały figlarny brunecik z niecierpliwością czekał na wyjaśnienie.

Nakoniec ten piękny, wysoki, trzydziestoletni szatyn, którego szczęście, zazdrość budzące we wszystkich, obchodzono dzisiaj tak hucznie, z niepojętym w takiej chwili wyrazem niezadowolenia a nawet zgryzoty w twarzy — zaczął: — A więc posłuchaj mnie a zrozumiesz moją zasepioną minę, zrozumiesz, dlaczego wbrew twemu mniemaniu nie pragnę się was wcale pozbyć, dlaczego bym chciał przeciwnie, ażeby ten zgiełk i ta ciżba trwały jak najdłużej... abyście "wy... abym ja...

Urwał nagle, jak człowiek wyprowadzony z cierpliwości, powstał z kanapki, na "której obaj usiedli,

przymknął drzwi od sąsiedniego pokoju i powróciwszy, wzburzony, ponowił z większym naciskiem:

— Jestem najniezwyklejszym z ludzi — posłuchaj tylko.

Pamiętasz zaręczyny moje przed pół rokiem? Widziałeś wówczas dwoje ludzi, pijanych z nadmiaru szczęścia, jakiem ich napęliła zamiana pierścionków.

Wówczas to, pod wpływem tego upojenia postanowiłem sobie, ponieważ termin ślubu był już umówiony, że.. od dnia tego... należę do mej narzeczonej, do niej jednaj.. że odtąd przestają dla mnie istnieć inne kobiety, jako takie... że... czyż nie rozumiesz mnie jeszcze?... że pierwszy nasz uścisk jako męża i żony będzie mym pierwszym uściskiem od chwili zaręczyn.

Przyrzekłem to sobie szczerze, uroczyście, czułem bowiem potrzebę i obowiązek tego przyrzeczenia, zarówno dla mej miłości jak dla naszego przyszłego szczęścia. Miodowy miesiąc obok swej strony idealnej, którą, kazi zbyt świeże wspomnienie pieśczoł innej kobiety, ma także swoja, stronę fizyczną, ta zaś wymaga, aby nie rzucać się w szal jego wezbrany prosto z objęć innych, choćby dlatego tylko, że mogłoby się nie sprostać chwili...

Wszak prawda?

Trzymałem tedy na wodzy moje nałogi. Przychodziło mi to z początku z pewną satysfakcją, potem z niejakim przymusem, nawet z przykrością, nareszcie z męką — ale wytrwałem do końca, opierając się wszelkim tentacyom. Co za tentacyom!... Jak nauczyły mnie one pojnować próby Antoniego pustelnika?!...

Dochodziło do tego, że rozmawiając z klientkami w mem biurze o najzawilszych i najpoważniejszych

sprawach, gryzłem się w język, aby im nie zaproponować schadzki miłosnej. Pomimo perswazji zdrowego rozsądku bowiem i względów natury zawodowej nie mogłem się oprzeć tej myśli. To też wkońcu zmuszony byłem dla własnego spokoju i dla honoru biura w wszelkich sprawach z młodemi kobietami zastępować się moim dependentem.

Prostu sam widok kobiety, widok jej sukni, sam jej szum przyprawiał mnie o zawrót głowy — cóż dopiero zamiana spojrzeń, ten tak zdaje się niewinny z pozoru zwyczaj oczkowania na ulicy w przechodzie z jednego chodnika na drugi. Dawniej mnie to bawiło — teraz sprawiało istne tortury.

Najwięcej jednak kłopotu miałem z moją sąsiadką.

Aktorka, kokietka arcylekkiego życia — brzęk naczyń, śmiechy kobiece i niekobiece rozlegają się u niej do późna w nocy — ale przepyszna istota! na którą niepodobnaby mi było w chwilach największej sytości spojrzeć bez dreszczu — teraz zaś, w miesiącach ścisłego postu, dostawałem formalnej febry mi jej widok.

Nie wiem, czy ją znasz: Flora. Wysmukła, gibka, pełna zręczności i szyku brunetka o czarnych jak grzech oczach, którymi przepala cię do głębi — zupełnie w moim guście i gdyby nie ślub... dalibóg nie byłbym słucał przez ścianę cudzych z nią śmiechów i trącań kieliszkami, ale sam byłbym się z nią śmiał do rozpuku i trącał do nieprzytomności. Nie mogąc jednak pieścić tej czarującej kokietki a niezdolny jej omijać, bo na to zbyt była ponętną a przytem wabiła mnie niewątpliwie — starałem się dokuczyć jej przynajmniej mym oporem, który i dla mnie niemało był dokuczliwym. Udawał się też jakotako na

jawie jedynie — skoro tylko zasnąłem, byłem bezbronnym i moja sąsiadka robiła wówczas ze mną, co jej się podobało... Dyablica!..

Tak nadszedł wczorajszy wieczór.

Wróciłem do domu późno, przymuszony przez was, wbrew chęci, do tej pożegnalnej bibki — w następstwie podchmielony.

Przypadek — przeklęty przypadek! — chciał, że równocześnie stanąłem u mych drzwi, gdy ona stawała u swoich w powrocie z teatru.

Rozumie się przywitaliśmy się, jako znajomi.

— Więc to jutro?... — szepnęła, błyskając na mnie oczyma, ciemniejszymi niż zwykle, od podkreśleń pozostałych z scenicznej charakteryzacji.

— Tak, jutro — odparłem, starając się wymknąć rękę z jej dłoni, ale napróżno.

— Jutro... — powtórzyła z leciuchną ironią, cała schowana w swoje długie, czarne okrycie, rodzaj aksamitnego worka, potrającego bezkształtnością swoją urok schowanych weń kształtów. — Od jutra będziesz pan już na zawsze nie do zdobycia!...

I poczęła wśród lekkiego kołysania głowy muskać delikatnie bladą różowym podbródkiem białą, puszystą boą z roztrzępanego baranka, który opasywał jej szyję.

Pewien siebie, odparłem od niechcenia, zarażając się jej cynizmem, który trafiał w smak memu podochoceni:

— O! jestem nim już dzisiaj!

— Już dzisiaj?... Ależ dziś jesteś pan jeszcze kawalerem... Dziś wolno panu jeszcze wszystko!...

— Prócz tego, czego sobie sam zabraniam... Parsknęła. śmiechem.

— Więc pan sobie zabraniasz?... To wyborne!... I oddawna, jeżeli wolno wiedzieć?
— Odkąd panią poznałem,
— Czy to złośliwość?
— Nie — to hołd.
— A więc od pół roku, bo tak dawno sąsiadujemy. Pół roku! dla Boga — kawał czasu. Jeżeli panu to przyszło bez trudności, to... żal mi doprawdy pańskiej żony...
— Śmiało przypuszczenie, że mi to przyszło bez trudności — i to w ustach pani, która je spotęgowałaś.
— A jednak wychodzisz pan zwycięsko. Podoba mi się to.
— Z powodu siły woli, jakiej dowodzi?
— E, nie... Ale z powodu.. z powodu zapasu uczuć, jaki musiał się zgromadzić w pańskim sercu przez tak długi czas. Muszą to być nieprzebrane skarby...
— W istocie — westchnąłem — i trudne do udźwignięcia.
— Gdyby pan sobie nieco ulżył?
— Z pomocą pani?
— Ach nie, ale przysłałabym panu moją Rózię: ładna dziewczyna i podobałeś jej się pan.
— Myślę, że nie będę miał Rózi na sumieniu.
— Od zarozumiałego zadzierania głowy jeden tylko krok do potknięcia się.
— Zapewniam panią, że się nie potknę.
Zmierzyła mnie jednym z swych najniebezpieczniejszych spojrzeń i zbliżając ku mnie usta, szepnęła z umyślną afektacją:
— Nawet na progu mego mieszkania?
— Nawet — bo go nie przestąpię.

Oddaliłem twarz od jej ust, których ciepło w głowie mi mieszało, ona zaś wybuchnęła śmiechem.

— Więc pan się mnie boisz? To pochlebne!...
— Dla pani?
— Nie — dla pana. Jakże lekliwą i kruchą jest pańska cnota?!
— Kruchą jest jak każda. Czyż pani nie wie, że jestto najkruchsza rzecz na świecie... Ale lekliwą? — to znowu nie.
— Dowiedz pan tego.
— Jak?...
— Przyjm pan u mnie dzisiaj... kolację. Wpatrzyliśmy się w siebie. Czułem, że przyjmując, narażę się niesłychanie.
— Wahasz się pan?
— Ależ.. na co? — zapytałem.

— Na co? Najpierw na to, abym miała z kim zjeść kolację — potem Da to, abyś pan nie zmarnował ostatniej w życiu dozwolonej sposobności sam na sam z kobietą lekkich obyczajów — a wreszcie na to, że jestem niezmiernie ciekawą zobaczyć zachowanie mężczyzny, który od pół roku dotykał co najwyżej palców kobiety dłonią lub ustami.

— Czyliż nie widzi pani tego już teraz?

— Rzeczywiście. Idzie mi jednak o coś więcej — o sposób ubiegania się o pocałunek, o uścisk kobiety w podobnym nastroju...

— Jakto? więc pani przypuszczasz?

— Jestem tego pewną.

— Pani mnie zachęca?

— Ja pana zmuszę!... jeżeli zechcę naturalnie.

— Lecz po tem wyznaniu ja zaproszenia przyjąć nie mogę.

— Odrzucając je, przyznasz się pan do bezsilności.

— Ależ ja nie należę do siebie.

— Od jutra dopiero! Dziś należysz pan jeszcze do każdej, która pana zdobędzie. Chyba że się pan zdołasz oprzeć, w co niebardzo mi się chce wierzyć, mimo pańskiej obrączki zaręczynowej.

— Tak?... A więc przekonam panią, że kawałeczek złota, opasujący palec, więcej znaczy, niż najpiękniejsze z ramion, zarzucone na szyję.

— Jak moję?

— Te właśnie miałem na myśli.

— Jest pan na dobrej drodze.. Ale — jeszcze jedno. Skoro pan przegrasz... nie miej do mnie żalu...

— Zgoda. Lecz co pani mi przyrzeka w przeciwnym razie?

— W przeciwnym razie — ja się utopię. Sądzi, że nie dopuścisz pan do tej ostateczności.

Weszła śmiejąc się — ja za nią, z lekkimi skrupułami sumienia, które starałem się zagłuszyć rozumowaniem, iż idę tam — po zwycięstwo.

Aby mi dać czas ochłonać, czy też upić się do reszty, pozostawiła mnie w swym buduarze samego, pośród mebli niskich, rozłożystych, zmuszających przybierać niedbale, wygodne, na pół leżące pozycje i marzyć.

Od sufitu spływał blask różowej lampy, zewsząd biły silne, odurzające wonie perfum i przypominały w rozmaity sposób kobietę przybory jej stroju. Olbrzymia miednica na umywalni, otoczona rojem flakonów i słoików — nad nią lustro, w którym mimowoli szukało się resztek odbicia biustu, co tak często się przed

niem obnażał, zlaną wodą różaną. Przy łóżku z kotarami pantofelki małe, złote, o ostrych końcach. Łóżko wzorowo zasłane, podobne miną do starannie zapiętej sukni na pięknym biuście, która mimo swego przyzwoitego wyglądu pobudza, aby się myśla pod nią wciskać, rozpinąć ją, rozrzucać, zdzierać aż do nagiego ciała. Tu i owdzie fotografie Flory, duże i maleńkie, w kostjumach i w toaletach współczesnych, w pozach co jedna to smaczniejszych, każda z inną przyprawą, niby spis potraw. Na jednym foteliku wachlarz, na innym sznurówka, na dywanie puszek od puchu, opodal

długa rękawiczka z palcami złożonemi do przysięgi, z której zdawała się drwić pustemi oczyma spoglądająca na ten giest uroczysty czarna jedwabna maska z koronką, zawieszona na mosiężnej klameczce okna. Na wszystkie strony kwiaty świeże i zeschnięte i ponadpoczynane bombonierki z cukrami.

I jak uroczystość napelnia nas w uroczystych miejscach, tak ja nasiąkałem zwolna atmosferą pieszczot w tym przybytku pocałunków i uścisków — przedmioty bowiem i miejsca tchną zawsze tem, na co patrzyły.

Naraz zebrala mnie ochota uciec, taki złowrózby opanował mnie niepokój, lecz w teje chwili kotara u drzwi uchylila się i odslonila główkę, uśmiechniętą i wyrzucającą, z pomiędzy ząbków słowa:

— Chciałabym wejść.

— Pragnę, tego samego.

— Kiedy nie mogę.

— Czemu?

— Jestem bosa.

— A więc?

— Pantofelki moje tam stoją... niedaleko pana...

— Przeniosę panią do nich.

— Cóż znowu. Daleko prościej przynieść je do mnie.

— Wie pani co? — wybierzmy środek. Niech pani zbliży się cokolwiek — a i one podejda ku pani.

— Ależ na co?

— Abym je mógł sam włożyć na nóżki.

— Co? już panu w głowie podobne rzeczy? Nie myślałam, że to tak prędko pójdzie.

— Cóż w tem złego?

— Złego nic — ale to pana zgubi!.. Lecisz pan w płomień na oślep.

— Przeciwnie — odrzekłem śmiejąc się — pragnę okazać pani, jak jestem ogniotrwały.

— A no próbuj pan.

Weszła w szlafroczkę z jakiejś japońskiej jasnej szezesczącej materyi, skrojonej jak prosty płaszcz a przepasanej grubym sznurem — i wysunęła nieco z pod niego nóżkę w jedwabnej, czarnej pończoszcze.

Założyłem jej pantofelki jeden po drugim, starając się panować nad sobą — bo te żywe, ciepłe, drgające stopy kusily mnie jak jakies małe a ładniutkie zwierzątka, aby je przytrzymać i pieścić; ztąd pewne roztargnienie.

Skarciła mnie za niezręczność.

— Nie umiesz pan kobiet obuwać.

— Rozzuwam nierównie składniej.

— Nie wątpię.

Tupnęła nogami i ściągając węzeł sznura w pasie zawołała:

— A teraz?

— Teraz?... — zapytałem, obejmując ją. wzrokiem i uczulem, że cierpnę, po pewnem spostrzezeniu... Nie miała na sobie sznurówki....

— Teraz — broń sio pan!

I napół usiadła, napół położyła sio na szerokiej kanapce, o skrzyżowanych w dwie strony oparciach, które siedzące tu osoby zamykały jak w wąwozie.

Wąwóz ten stał się mem — Waterloo.

Czemuż budują podobne sprzęty? dlaczego ona była tak powabną? ja tak wrażliwym?!...

Ba! pół roku najściślejszego postu — a potem naraz wyborna kolacya, wyborne wino i tuż obok wyborna kobieta, do której zbliżywszy się zanadto zapomina się o całym świecie i upada, jak meteor, co musi spaść na ziemię, skoro wkroczy w sferę jej przyciągania...

Wołało coś we mnie wprawdzie chwilami rozpaczliwie: Szaleńcze! co czynisz! na co się narażasz? — lecz ja głuchy byłem na to wołanie, jak głodny pies głuchym jest na obawę plag, skoro się znajdzie w pobliżu kawała mięsa.

Pięćdziesiąt razy go już obito za rabunek, wie, że i tym razem baty go nie miną — a mimo to zje, zje wszystko do ostatniej kosteczki, ponieważ baty są jeszcze za drzwiami, a przysmak tuż pod nosem...

Upadłem też, upadłem z całym rozmachem człowieka, który nadużył swej cierpliwości i zbyt zaufał w swe siły — ona zaś zatrzymała mnie w tym upadku z całym łakomstwem kobiety, uradowanej okazyą splełtania figla innej, z całym znawstwem kokoty, w której ręce dostał się specjal.

Bo byłem nim — wczoraj.

Nie jestem nim już — dzisiaj.

O godzinie dziesiątej rano opuściłem buduar Flory z sercem pustym jak klatka, z której ptak wyleciał — bez serca; z głowa wysuszoną jak rodzynek — bez

głowy. Opuściłem jej mieszkanie, jak się opuszcza dom gry — z pustką w kieszeniach, które się wniosło pełniuteńkie.

Byłem tak wyczerpany, że nie stać mnie nawet było na powiedzenie sobie samemu, że popełniłem podłość — nie zaprzeczaj...

Po kilku godzinach snu dopiero wyznałem to sobie szczerze, otwarcie, z wściekłością.

Bo popełniłem ją!...

Do tego stopnia ubóstwiać tak tego godne młode, pełne tkliwości, bez granic oddane mi dziewczę i w zamian za jej niewinność nie odwzajemnić się nawet falsyfikatem niewinności, sztuczną niewinnością paru miesięcy, którą oddałem prostej zalotnicy...

Ach, czy podobna postąpić sobie niegodziwiej?! — Lecz czy podobna być nieszczęśliwszym?

Pomyśl tylko, w jakim znajduję się położeniu. Całą wymowę mych uczuć, zbieraną skrzętnie przez pół roku w tym celu, aby ją złożyć u stóp innej — wyszafowałem jak szalenie wczoraj dla tej uwodzicielki, która ogołociła mnie ze wszystkiego, co miałem do powiedzenia, aż do ostatniego słówka, do ostatniego miłosnego szeptu — tak że dzisiaj nie mam już nic do wyznania lub bardzo mało, za mało na chwilę, w której powinno się być porywająco wymownym!... więc drzę w miarę zbliżania się tej chwili, drzę coraz bardziej, tak jak źle przygotowany student, który najlepiej czuje wszystkie braki swej wiedzy przed samym egzaminem.

Za chwilę rozejdziecie się — a ja — ach!...

Dlatego błagam cię, zaklinam! zachęcaj młodzież dodawaj ochoty, zatrzymaj ich, zatrzymuj jak najdłużej...

a wyświadczysz mi przysługę, dobrodziejstwo — zbawisz mnie! O nie śmieję się — ty nie jesteś w stanie wyobrazić sobie mojej okropnej sytuacji.

— Czyż naprawdę tak się roztrwonileś ?

— To była orgia szalonych !... Piekielna kobieta, nie doświadczyłem nigdy czegoś podobnego...

— W każdym razie dziwię ci się trochę... Wszak będziesz mógł żonę swą wynagrodzić później nieco... Ona nie może mieć przecież żadnych określonych wymagań... nie pozna się.

— Nie pozna się może dziś — ale oceni to jutro, za miesiąc, za rok, gdy sobie przypomni...

— Ale co tam, bądź dobrej myśli. Pomyśl tylko, jak jest późno — jak ona będzie znużoną...

— Ach dobrze, żem sobie przypomniał. Proszę cię, tańcz też z moją żoną, mój drogi, jak najwięcej... To ją znuży...
pojmujesz?...

— Dlaczegoż sam z nią nie tańczysz?

— Z najprostszej przyczyny: ja się potrzebuję oszczędzać.

— Prawda.

— I jeszcze jedno: proszę cię o sekret, na dziś, o tem co słyście.

— Tylko na dziś ?

— Jutro Flora i tak roztrąbi swój tryumf.

— Jeżeli chcesz, mógłbym ją zobowiązać do dyskrecyi.

— Czyż ty ją znasz?

— Dotąd nie, ale... Wszak ona nie jest zbyt trudną przy zawieraniu znajomości?

WYBÓR.

Zmierch padał, gdy stary Trawnik, koszykarz, człek w domu i rzemiośle zarówno energiczny, właściciel tego odosobnionego domku nad rzeką i ojciec obu tak dorodnych dziewcząt, z pękiem młodej wikliny na plecach a fajką dymiącą w gębie, powracał z wybrzeża. W tej samej chwili, kiedy wkroczył do izby" żona, przybierając obojętną minę, urwała nagle swary z zmieszaną bardzo starszą córką Salomeą, plotącą właśnie duży okrągły kosz o dwojgu uszach, tak zwaną duckę.

Lecz stary miał bystre oko i zmiarkował natychmiast, że się dzieje coś niezwykłego.

Natury wybuchliwej, gorącej, nienawykły do długich, przemyślnych badań, rzuciwszy wiązkę złotozielonawych prętów na ziemię, odrazu wlepił swoje groźnie połyskujące ślepie w obie kobiety i tak je przyparł do muru, że się ta najbrzydsza rzecz w świecie, dziś dopiero, przypadkiem przez matkę odkryta, w całości teraz i przed ojcem wydała.

Salusia była w ciąży.

Okropny zamęt powstał w domu. Trawnik wyciągnął dziewczę z pomiędzy kupy pręcia i wyrwawszy jej z rak splatany kosz, którym się zasłaniała, bez miłosierdzia począł ją kijem okładać, aż wyła z bólu, wzywając na pomoc wszelkie znane sobie świętości. Ledwie starej powiodło się ukryć córkę przed razami, ale nie uchroniła jej od słów, któremi ojciec, zapieniony z pasyi, bezcześcił ją od ostatnich. Co za zakąła na dom ! co za przykład dla tamtej! młodziej!... Skoro ten ostatni argument doszedł uszu Salusi, wysunęła zabeczona, twarz z po za fartucha i wyłkała na swą obronę:

— A cóż to ona odemnie lepsza — czy co?

— Salka! — wdała się z oburzeniem matka — siostry mi nie obmawiaj, kiedyś sama taka!

— Jąkam? jaka? — szlochała dziewczyna — Niech się jej mama tylko przypatrzy, a pozna mama, żeśmy są obie jednakowe.

Zarzut to był niesłychany. Wobec niego Rozalia, której długa nieobecność w izbie zaraz się wydała podejrzaną, winna się była usprawiedliwić osobiście.

Odnaleziono ją, jak rak czerwoną, w drewnitni, gdzie, z szczególnym zapalem rąbała szczapy, i niestety po krótkiej indagacji okazało się, że Salka mówiła prawdę. Rózia — okropność! — podzielała los starszej siostry.

Jeszcze też ściany Trawnikowej chaty nie widziały nigdy tego, co się tam owego wieczora działo i nie słyszały z ust starego podobnych jak wtedy rzeczy. Było to istne piekło! Starzy poszli spać o godzinę później niż zwykle, zapomniawszy drób wpędzić do kurnika i "zbója" z łańcucha spuścić — a dziewczęta, zbite,

sponiewierane, jedna z urwanym rękawem, druga z rozdartą szpetnie spódnicą, obie pozbawione koralików, które leżały rozsypane po wszystkich kątach izby, późno w nocy wsunęły się z sionki cichaczem i po omacku, zziębnięte, gdy już rodzice, posnąwszy, rozchrapali się na dobre.

Nazajutrz, skoro świt, nowy zgiełk, nowe razy i śledztwo. Córki z rękoma i twarzami, pełnemi wczorajszych, sińców wszelakiej barwy, usłyszały swoje, matka swoje, wszystkim trojgu dostało się z wypoczętych pięści starego obficie, tej za niedozór, tamtych za szelmstwo.

Aż wreszcie kije wypłoszyły prawdę. Wyszło na jaw, że sprawcą niespodzianego w rodzinie skandalu był młody "jegier", szeregowiec, którego z powodu zaległych podatków, pod nieobecność Trawnika, bawiącego podówczas na jarmarkach z koszykami, trzy miesiące temu przysłano "na egzekucyą". W dni kilka dopiero Trawnikowa, zapożyczwszy się na gwałt u znajomych, pozbyła się tego, zdawało się zrazu, wielce uciesznego i z niezłym sercem chłopaka, chociaż o nienasyconym żołądku, dziś jednak dopiero widać, co za gałgana i huncwota. Tydzień tylko bawił i oto, jak się" spisał. Na wiele św zdała baczność, jaką Trawnik krewkie swe dziewczki od zawitania lat niebezpieczeństwa otaczał. W chacie koszykarza nastąpiły przykre czasy. Dziewczęta pracowały wprawdzie z zdwojoną gorliwością, odgadując każde życzenie ojca, ale nie wystarczało to, by okupić ich straszne winy. Wyrzuty i złorzeczenia nieprzerwanym gradem spadały na ich głowy, na kułakach też nie zbywało — jedynie matka znalazła dla siebie wobec gniewu męża skuteczną tarczę w słowach:

— Tylko też mnie nie winuj! Czemuś w porę nie zapłacił podatku?...

Snuły się więc biedaczki po kątach, popłakując, niewiele mając do powiedzenia jedna drugiej, schodząc rodzicom zagniewanym z oczu, jedząc, pijąc, śpiąc nawet ukradkiem — i przez cztery miesiące obnosiły w ten sposób po domu wstyd swój, coraz widoczniejszy.

Naraz Rozalia, natężająca się ze skruchy nad miarę w robocie — poroniła. Matka, i tak znaczną część surowości okazująca im ze względu na starego, który nie folgował w gniewie, złagodniała dla niej wówczas zupełnie. Ojciec zaś, już podczas słabości dziewczyny, gdy dziecko zmarło, mimowolną litością zdjęty, potem napowrót ją do łask przypuścił.

Tem przykrzejszą za to była dola starszej, Salusi, która teraz za obie dźwigać musiała ciężar oskarżeń i wyrzutów. W niczem zaś nie zmieniło się jej na lepsze, kiedy powiła w dwa miesiące później zdrowego i silnego chłopca. Przeciwnie — najpierw złożona niemocą, potem nieustannie potrzebna dziecku, na nic teraz w domu nie będąc przydatną — na każdym kroku oskarżała się oczom rodziców tem zawieszonem u swej piersi niemowlęciem, które było hańbą i ciężarem rodziny.

Ojciec też nieustannie jej dawał uczuć ogrom jej grzechu. Nie mógł bez gniewu na nią i na jej malca patrzeć i w jej obecności brwi mu się same marszczyły, rozdymały nozdrza, a wąsy kłapały groźnie.

Czasem tylko, gdy był sam w izbie i kiedy go nikt nie mógł padpatrzeć, podchodził ukradkiem do bębna, sapiącego przez sen w kołysce i z zajęciem, z nieokreślonem wzruszeniem przyglądał się jego drobniutkim delikatnym rączynom i buzi pyzatej. Czasem go nawet

pokołysał zlekka, doznając dziwnej przyjemności przy oddawaniu tej drobnej usługi maleństwu, które bez jego wiedzy i woli śmiało mu się narzucić na wnuka. W starym budził się dziadek w chwilach takiego sam na sam z niemowlęciem, które go uwalniały od kłamstw i przymusów, jakich tyle narzucają — oczy ludzkie. Zrywał się wszakże i odchodził, usłyszawszy czyjeś kroki, a jeśli dziecię zapłakało, natychmiast strofował Salkę:

— Ty! czemu dziecka nie pilnujesz? to taka z ciebie matka?!...

Poczem wychodził na dwór zapalić fajkę. Czynił to zawsze od pojawienia się dzieciaka w chacie. —

Raz, w piękny dzień wiosenny, przybył stary do domu z wielką nowiną, dla której zakomunikowania wyciągnął żonę za próg, gdzie oboje usiedli na pniaku.

Sąsiad ich niedaleki nad rzeką, samotny rybak, wdowiec, schorowany starzec, którego ostatniej zimy do reszty sparaliżowało, dogorywał. Trawnik, odwiedziwszy go, dowiedział sio, że staruch, czując bliską śmierć, zamyśla sprowadzić do siebie synowca, świeżo wysłużonego wojaka, ożenić go i oddać mu chatę wraz z całym przyborem rybackim.

Otóż nadeszła — sądził Trawnik — sposobność, jakiej nie godzi się pomijać, wydania której z dziewcząt. W miasteczku bowiem, choć oddalonem od chaty, wiadomo dobrze, co w niej zaszło, i o męża ztamtąd będzie niełatwo. Tu zaś. ma przybyć chłopak młody, zamożny, obcy, nieświadom niczego, równie jak i jego stary stryj.

Trawnikowej myśl ta trafiła do przekonania. Uradzono tylko oddalić z domu chłopca Salki, bo chociażby

kawaler ku Rózi uczuł skłonność, mogłoby go jednak zrazić, że w domu tym podobny wypadek zaszedł. Kiedy nazajutrz wóz zajechał przed chatę, ojciec musiał Salkę zburczeć za jej szloch i lamentsy groźbą: "Ejże! bo ja i ciebie z twojem małem na cztery wiatry przepędzę!..." — bo zapłakana, wycalowując bez końca dziecię, które się darło w niebogłoso, niby protestując przeciwko rozstaniu, z taką żalobą podawała je matce, jak gdyby ta zamierzała je utopić... Rozchodziło się zaś poprostu o odwiezienie malca do krewniaczki o mil parę. Niedługo potem zjawił się synowiec rybaka, młody, rumiany, wesoły drał, pośpiewujący, pogwizdujący, którego od tej chwili na wodzie i na łądzie było pełno. Najpierw cała rodzina obejrzała go i osądziła zdaleka, rodzice głośno, córki w głębi duszy. Sąd wypadł przychylnie. Potem raz wpadł niby to pożyczyć wideł, dowiedziano się, że mu na imię Wincenty — i znajomość została zawartą. Ku uciesze całego domu okazał się bardzo ciekawym do dziewcząt. Często zaglądał w opłotki i chętnie z dziewczkami gawędził. Nie wiadano tylko, którą przenosi. Kiedy bowiem był z Salką, zdawało się, że woli Salkę, przy Rózi — wyraźnie miał się ku niej, skoro zaś znalazł się z obiema naraz, poprostu do obu się zabierał. Stąd nawet Trawnikówm? zaczęły się na, siebie bocyć. Wówczas stary postanowił, że należy wahającemu się kawalerowi pomódz w wyborze, podsuwając jedną z dziewcząt. Wyznaczył Salkę, a to dla tego, że Rózi, której bład nie pozostawił śladu, zresztą młodziej, łatwiej zawsze będzie o męża.

Zaczęto tedy podsuwać młodemu rybakowi starszą koszykarsównę, którą znajdował zawsze przy pracy, ale zawsze ochędoźnie odziana a przy tem odznaczana jawnymi względami rodziców, na świadectwo jej przymiotów. Rózia, przeciwnie, z musu zaczęła chłopca unikać. Nie wolno jej było kwiatka we włosy wetknąć, chodziła zamorusana i pełne miała uszy wcale niezasłużonych strofować, których znów celem było zohydzić ją kawalerowi, jako niewiele oczywiście warte, kiedy tak pomiatane przez wszystkich ladaco. Niebawem też Wicek skierował swe umizgi ku Salomei. Rózię, jednak, łakomą męskiego towarzystwa, oburzała ta polityka rodziców, krzywdząca ją niesłusznie. — Co ja mu mam z oczu schodzić, kiedy mi nie krzyw — buntowała się, skoro matka odwoływała ją z podwórza na sam widok zbliżającego się rybaka. — Tyś mu nie w głowie, to za nim nie łaż — w myśl pouczeń starego mówiła Trawnikowa. — Już ja tam wiem najlepiej, czym mu w głowie, czy nie, a i to wiem, że na Salkę by się nawet nie obejrzał, choć mu ją tak pchacie, skoroby wiedział o jej dziecku!... Stara, przelękciona, tupnięciem nogi spieszyła zagłuszyć niebaczne słowo, przypominając młodziej córce jej winy. Ale Rózia odpowiadała z głębokim przekonaniem o swej nad siostrą wyższości: — Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr. Mądre zarządzenia Trawnika wydały niedługo skutek. Pewnej soboty koszykarz, wybadawszy wpierw starego sąsiada, nakazał żonie przygotować się na rozstrzy

gającą wizytę kawalera. Salce udzielono pomyślnej wieści, jako interesowanej — Różia, wydalona z izby pod pozorem zajrzenia do chlewa, skąd ojca doleciał rzekomo kwik nadto podniesiony, podsłuchiwała wszystko przez drzwi.

Wicek przyszedł nazajutrz w odświętnym surducie, w białym, czystym, odbijającym od jego opalonej twarzy kołnierzu i z pewnem zażenowaniem przywitał oboje starych, którzy dla zachowania godności udawali, że jeszcze o niczem nie wiedzą, utrudniając tem nieco sytuację kawalerowi.

Nareszcie ogródkami, bo wydawały mu się czemś delikatniejszym od wyluszczenia wprost rzeczy, oświadczył im, że z wiedzą stryjaska, który dla choroby towarzyszyć mu osobiście nie może, przybył prosić, aby mu oddali córkę za żonę. Nastąpił uścisk obu mężczyzn, ucałowanie rąk Trawnikowej, na którą od uroczystości chwili uderzyły poty. poczem koszykarz zawołał do niej, ukontentowany:

— Stara! skoknijno po Salkę.

Trawnikowa natychmiast zwróciła się ku komorze, gdzie Salusia, ze względu na święto i spodziewane oświadczyzny wystrojona, czekała jak na szpilkach, czując raz w raz przebiegające ją od stóp do głów ciarki.

Ale Wicek zatrzymał Trawnikowe w pół drogi.

— Pannę Rozalię z przeproszeniem — poprawił.

— Me Salcie? — zadziwił się Trawnik, wytrzeszczając oczy. — Bo my myśleli, że pan Wincenty wedle Salki chodzi.

Tak na to jakoś od miesiąca patrzyło...

Kawaler, zwlekając z odpowiedzią, płaszczyl sobie kapelusz na kolanach. Przytem cera jego, z natury

czerwona, stawała się zwolna arcyczerwoną, jak u człowieka, znajdującego się w dużym kłopotcie.

— Żeby nie skłaniać — odważył się wkońcu — tom po prawdzie względem panny Salomei... niby... żem się miał do niej. Ale jakem się dowiedział, że panna Salusia ma małe...

Trawnik porwał się z zydła.

— Co znowu! A któż to panu Wincentemu takich bajek napłócił!...

Kawaler wszakże odparł z przekonaniem:

— Nie, żebym to chciał ubliżyć pannie Salusi. ale ja wiem od pewnej osoby.

— Ciekawa rzecz, od kogo?

— Nie mogę powiedzieć.

— Jakto pan Wincenty nie może, kiedy o takie rzeczy idzie?

Milczał — oni czekali; wreszcie wydusił z siebie:

— Ha, skoro mnie państwo przypieracie, to się przyznam, że od panny Rózi.

— Co?! Różka by śmiała powiedzieć takie paskudztwo na siostrę?! — uniósł się ojciec, któremu matka przywtórzyła mimicznie załamaniem rąk, pełnem zgrozy.

— Niech to będzie bez urazy, ale przecie lepiej, że mi zawczasu powiedziała, niż żebym się miał dowiedzieć po wszystkimu. Zresztą panna Różia przyznała się po szczerości, że obie miały ten przypadek, tak w tem nie było obmowy, ani nic znowu tak złego, skoro wiadomo, żadna dziewczyna, nie trza państwu mówić me jest święta... Ale se myślę: po co mi cudze chować!... — a że miałem do obu serce jednakowe wiec proszę o Rózię. Stryjaszek wie o wszystkim.

— Ha no, to idź matka po Różkę — mruknął stary z rezygnacją, zmuszony pogodzić się z położeniem. Wtem ukazała się Salusia, która nie mogąc wytrzymać w komorze z niecierpliwości, odważyła się wejść, w mniemaniu, że wejdzie w samą porę. Wystrojona i uśmiechnięta, stanęła przed oczyma ojca z miną dziecka, które wie, że sprawa rodzicom pociechę. Na ten widok z pod obwisłych brwi Trawnika błysnęły dawne gniewy, a błąd starszej córki dwa razy wydał mu się jaskrawszym pod tą wesołą i strojną postacią. — Czego tu chcesz? — wybuchnął — wołał cię kto? A kiedy wylekła cofnęła się w tył, nie pojmując tego przyjęcia, zawołał jeszcze surowiej, grożąc palcem: — Ruszaj mi zaraz po Różię, a sama zdejm te szmaty, żebym cię nie nauczył, komu się to tak wystrajać! Ty!!...

MATKA.

Rumiana, otyła, po pięćdziesięciu latach wystrzegania się wszelkich wysiłków duszy i ciała, od rana do wieczora zajęta była wyłącznie nadawaniem sobie pozorów osoby chorej, znękaney życiem, mającej wszelkie prawo przepędzić ostatnie swoje chwile w wygodach i spokoju.

Obudziwszy się późno, rozpoczynała dzień śniadaniem w łóżku, poczem oglądała sobie w lusterku oczy, język i cerę, ziewała, uskarżając się na źle przespaną noc, na klucie, pieczenie lub ścierpnięcie którejś części ciała, na sny złowróżbne, nakoniec wywlekała się z pod ciepłej kołdry z takim wyrazem twarzy, jak gdyby czuła, że robi to poświęcenie prawdopodobnie, po raz ostatni w życiu.

Od rana już bolało ją wszystko, sama nie wiedziała z czego — najpewniej ze starości. Popołudniowe zaś bóle wynikały prosto z rannych trudów.

Utyskując na brak sił do jakiegokolwiek pracy, chodziła zwolna, jak rekonwalescent, Nie wstała z krzesła

i nie usiadła bez stęknienia. Co tylko wzięła w usta, nie smakowało jej, — jedynie też dla podtrzymania lichego i tak zdrowia zmiatała każdą potrawę do szczętu. Jeżeli zaś i z talerza córki wyłowiła od czasu do czasu jakiś miękki kawałek, to czyniła to z powodu złych zębów i, ot, przez fałszywy apetyt trochę, żalując zaraz po połknięciu, że dała się skusić.

Nawet mówienie ją męczyło, dla tego mówiła powoli i rozwlekłe, za to mówiła ciągle, bez przerwy, z niestrudzoną, tak lekką dla zrzędów, a tak nieznośną do słuchania monotonią.

Mówiła głównie na temat egoizmu ludzkiego, niewdzięczności dzieci, oraz nigdy i niczem nienagrodzonych trudów wychowania. Ileż ona sama niegdyś około dzieci swych się napracowała! co dla nich przeszła! a jaki z tego pożytek?

Oto ten, że skoro odwiedzi którego z synów, zawsze natrafia na chwilę, kiedy synowe wybierają się na spacer... a jeśli spróbuje zajrzeć do córki, zięć nawet tyle nie ma dla niej uwagi, aby kazać przystawić do herbaty coś więcej oprócz do

znudzenia uprzykrzonej zwykłej przekąski — Da której kto wie nawet, czy poprzestają, gdy są sami... Warto mieć dzieci, doprawdy!...

Została przy niej tylko najstarsza córka, dziewczyna pracowita, zawsze zajęta, napelniająca po całych dniach mieszkanie turkotem maszyny do szycia, a oprócz tego podejmująca w domu wszystkie obowiązki służącej, na której utrzymanie stać je nie było.

Wobec szczupłej emerytury, pobieranej przez matkę po zmarłym przed laty mężu urzędniku, dziewczyna ta, najlepsza z dzieci, była nieocenioną, konieczną jako dopełnienie bezczynnej, a wiele wymagającej matki, która

odpłacała jej za to, z szczególną troskliwością chroniąc ją od złego wyjścia za mąż.

Młodsza córka, wydawszy bez zbytniego namysłu, w wyborze męża dla starszej nader była wybredną, umiejąc w każdym z jej licznych wcale konkurentów odkrywać braki, które uchodziły przedtem uwadze wszystkich. Córka zaś, posłuszna jej radom, odrzucała jedną po drugiej okazyę zamążpójścia, — dopóki nie zjawił się człowiek, który, pomimo wszelkich podejrzeń, wróżb i dąsów matki, obudził w dziewczynie, zdającej się aż dotąd dla wszystkich żyć więcej, niżeli dla siebie, pierwszy wybuch samolubstwa w gwałtownej i ślepej żądzy szczęścia.

Bezskutecznie tym razem wyczerpawszy wszelkie środki, matka przestała się wkońcu opierać; uznała narzeczonego i zaczęła go traktować jako należącego do rodziny. Zdobył więc prawo spędzania u nich każdej chwili, załatwiania interesów, wtajemniczania się w wszystkie ich kłopoty.

Zawsze dbała o szczęście córki, starając się przyszłych małżonków udoskonalić, zaczęła teraz matka bez ogródki zwracać obojgu uwagę na ich najmniejsze przywary. Co tylko mogło się ukryć przed ich przyjaźnie usposobionemi oczyma, wydobywała na jaw i omawiała, strofując za każdym razem jedno dla dobra drugiego, twierdząc, że ludzie, którzy mają żyć z sobą do zgonu, powinni się poznać zawczasu i dokładnie. To chroni od bardzo przykrych niespodzianek — są przykłady.

Zresztą surowa dla ich ujemnych stron, nie była pobłażliwszą dla siebie samej. Zaczynając od słów: "Ja jestem taka..." dawała narzeczonemu swej córki co chwila sposobność poznać, że i jej, jego przyszłej świekrze.

bardzo daleko do doskonałości, nie skapiąc wszakże zapewnień o przywiązaniu swem do córki i o tem, że nie rozstałaby się z nią nigdy, że zawsze, zawsze, dopóki jej tylko niebo żyć pozwoli (od pewnego czasu czuła się dziwnie zdrową...), będą oboje mieć przy sobie ją, jej rado i jej doświadczenie. — Tak umacniała stopniowo i wytrwale jego wiarę w dobrą przyszłość..

Pewnego dnia codzienny gość nie zjawił się, natomiast wkrótce potem odesłał pierścioneł.

Widząc boleść dziewczyny, nie miała matka dosyć wyrazów dla odmalowania swego oburzenia.

— Nędznik! oto dowód, jak cię kocha!... Ale ja ostrzegałam... pamiętasz?... mówiłam, że z tego nic nie będzie!...

KLUCZE.

Była godzina dziesiąta w nocy, całe przedmieście spało. Zaczęła się już zwolna rozpraszać i gromadka ciekawych, skupiona koło okien jedyne w tej chwili rześcicie oświetlonego domu, z kądem się rozlegał po ciemnym i pustym placu huczny zgiełk przedmiejskiego wesela.

Domostwo to, najpiękniejszy budynek w całej ulicy, należało do Jana Chwasta, zamożnego kowala, który dnia tego córkę jedynaczkę wydawał za mąż. Śmielsi z ubogich przedmieszczan, wciskając sio aż do sionki, zacierali przez otwarte drzwi do izb pełnych gwaru, śmiechów, brzęku naczyń i piskliwego zawodzenia muzyki, kontenci, jeśli zdala udało im się komuś znajomemu ukłon przesłać. Podchodził czasem do nich gospodarz, czerwony, rubaszny tłusciuch, ocierający co chwila chustką spocony kark i łysinę, i odwzajemniał powinszowania biedaków trunkiem oraz słowami: "Bóg zapłać! Bóg zapłać!" — poczem wracał nazad między rozbawionych gości.

KLUCZE.

Była godzina dziesiąta w nocy, całe przedmieście spało. Zaczęła się już zwolna rozpraszać i gromadka ciekawych, skupiona koło okien jedyne w tej chwili rześcicie oświetlonego domu, z kądem się rozlegał po ciemnym i pustym placu huczny zgiełk przedmiejskiego wesela.

Domostwo to, najpiękniejszy budynek w całej ulicy, należało do Jana Chwasta, zamożnego kowala, który dnia tego córkę jedynaczkę wydawał za mąż. Śmielsi z ubogich przedmieszczan, wciskając sio aż do sionki, zacierali przez otwarte drzwi do izb pełnych gwaru, śmiechów, brzęku naczyń i piskliwego zawodzenia muzyki, kontenci, jeśli zdala udało im się komuś znajomemu ukłon przesłać. Podchodził czasem do nich gospodarz, czerwony, rubaszny tłusciuch, ocierający co chwila chustką spocony kark i łysinę, i odwzajemniał powinszowania biedaków trunkiem oraz słowami: "Bóg zapłać! Bóg zapłać!" — poczem wracał nazad między rozbawionych gości.

Naraz zobaczył u progu żonę, rozmawiającą, z Pytlem, czeladnikiem, odprawionym temu tydzień z powodu nałogowego pijaństwa i innych wybryków.

Kowal nie miał w zasadzie nie przeciwko zamięłowaniu do trunków, byle mu się oddawać w właściwym czasie. Jednakże Pytel upijał się w dnie pracy, był kłótny, psuł robotę i demoralizował czeladź, po wielokrotnych zatem napomnieniach został wypędzonym, a chociaż od tygodnia już nasyłał w prośby za sobą rozmaitych swatów i kumów — majster okazał się nieugiętym.

— Chciałem z niego zrobić człowieka — mówił surowo — napominałem, przez palcem patrzył, ale kiedy on mnie miał za nie, widzieć go więcej nie chce. Z Panem Bogiem!

Teraz ów. Pytel z miną skruszonego winowajcy zawracał oczyma u progu, błagając majstrową o protekcję, w nadziei, że przy takiej uroczystości odezwie się w sercu majstra iskierka zamięłowania.

Ale Chwast, zobaczywszy żonę w rozmowie z nim, uniósł się.

— Matka! — zawołał gromko — a co tam takiego !

Kowalowa, któraby dzisiaj światu całemu dogodzić rada, tak ją serdecznie nastrajały zaślubiny jedynaczki, podeszła do męża z prośbą na języku.

Nie dał jej nawet ust otworzyć.

— Co ty się tam w gawędy wdajesz z tym gałganem? — mruknął niezadowolony, brwi marszcząc.

— Człowieczysko, widzisz, zgryzione, żebrze, żeby się za nim do ciebie wstawić. Roboty znaleźć nie może.

— Bo takiego nikt nie weźmie! Jego już znają wszędzie. Ale i ja też nie głupi trzymać u siebie dłużej ladaca. Dostyc już mego miłosierdzia.

Kowalowa ujęła męża za ramię.

— Weź go, weź, Jasiu — prosiła — ulituj się nad nim, jeszcze mu ten raz daruj.

— Ani mi się śni!... Nic z tego. I tak za długo

byłem dobry.

— Jeść nie ma co!..

— Chyba pić! I po to on tu przyszedł, znam ja go dobrze. Ale niech on mi nie przylaźł, bo to na nic. Powiedz mu, żeby se szedł precz, niech go moje oczy nie widzą. Gałgana trzeba w człowieku dużego, żeby go napędził, bo ja mam na wszystko wyrozumienie, ale jak raz powiem: marsz! — to już skończone. Kpa z siebie dla bądź kogo robił nie będę.

Ponieważ Pytel, kulący się w cieniu za progiem, z frasobliwie przechyloną głową, napotkawszy teraz spojrzenie majstra, czempredziej mu oddał ukłon pokorny, Chwast sam pobiegł ku niemu porywczco i gniewnym gościem wskazując drzwi, zawołał:

— Poszedł ztąd faryzeusie jeden! czego tu chcesz? wynoś mi się, pókim dobry, nie ma u mnie dla ciebie miejsca.

I zatrzasnąwszy drzwi od ulicy za garstką ciekawych, która wraz z Pytlem umknęła teraz z sieni, na klucz je zamknął.

Nawet w taką godzinę cię jucha trapi! — mruknął, klnąc pod nosem, aby usprawiedliwić swa popędliwość. Żona zauważyła niekontenta:

— Po coś go wymyślał przy ludziach, będzie miał złość do ciebie.

— Ojej! jest sobie też czem głowę zawracać!...

Wrócili do biesiadników.

Była ta sama śmietanka pozarogatkowego towarzystwa: krzykliwi mężczyźni, z cerą ogorzałą, jaśniejszą na sinych, rzadko golonych brodach, z nadmiernie wy pomadowanymi czuprynami, z humorem wyjątkowym, — kobiety niezgrabne, brzydkie, tłuste, o czerwonych, zapracowanych rękach i twarzach świecących, ubrane pstro i pokładające się od śmiechu z żartów młodzieży i starszych, którzy prześcigali się wzajemnie w dowcipie lub śmiesznej przesadzie przedmiejskiej etykiety, przedrzeźniającej po trosze ogładę mieszcuchów, częściej potrącającej o grubiaństwo wsi. Byle czym bawiono się zresztą doskonale, ponieważ każdy przyszedł tu z zamiarem i pewnością bawienia się. Wielka ilość wypitego od południa trunku, ciężkie i korzenne potrawy, świąteczne, nie dość wygodne stroje, par dusznych, rzęsiście oświetlonych izb i dym cygar. palonych bez ceremonii pośród kobiet, wytwarzały atmosferę odurzającą, w której nikt nie wiedział dokładnie, co sam robi, co czynią drudzy, tylko porwany ogólnym ruchom, poruszał się także, śmiał i krzyczał dla zaspokojenia bezwiednej, wewnętrznej potrzeby. Trącano się kieliszkami po wszystkich kątach, całowano, zapewniano o dozwolonej przychylności podnieconych serc, hulano wreszcie, dopóki tchu starczyło, dopóki muzyka sama grać nie przestała.

Wśród tego oczy obecnych ściagały nieustannie pannę młodą, dwudziestoletnią dziewczynę jak łania, zdrową i gładką, do której wzdychali wszyscy epuzerowie

z przedmieścia. Weselne grono uważało sobie bowiem za obowiązek odpłacać sute gody pochlebstwem ciągłej admiracji. Ona zaś tonęła spojrzeniem i duszą w jednej tylko namiętej i dziarskiej twarzy wąsatego zucha, którego silne ramiona porywały ją raz po raz zamasyście, w ciżbę tańczących par.

Stary Chwast długo opierał się temu związkowi, ponieważ wielbiciel jedynaczki, wojskowy, nie chciał opuścić szeregów. Ale wkońcu poświęciwszy przywiązanie do pałasza i munduru dla miłości pięknej Chwastówny, podbił tem starego kowala i został jego zięciem.

Była to para dobrana i niezawodnie najczęśliwsza w tej chwili w całym zebraniu.

Na weselisku jednak znaleźli się wszyscy odepchnięci zalotnicy i nie dawali się nikomu wyprzedzić w ohochozej zabawie. Tylko jeden, czulszego serca, spostrzegłszy, że jego płacziwa mina nie sprawia na nikim wrażenia, przebrał miarę w picu i spał teraz twardo w ciemnej izdebce, gdzie dbały o wszystkich gospodarz wynalazł dlań przytułek.

Kiedy w szeregu toastów jakiś żartowniś wniósł zdrowie tych, co dostali "kosza" — "My już zaswatani! aaswatani!" — zaprotestowali zgodnie czterej młodzieńcy, strzelając oczyma w stronę świeżo obranych, bogiń.

Ale wiedziano o piątym. Gdzie tamten?

— Śpi!...

Dalejże do niego.

I połowa rozochoconych gości z kieliszkami w ręku poszła wychylić je nad tym z odrzuconych konkurentów, który najdotkliwiej odczuł swe niepowodzenie. Panna młoda wszakże wstrzymała pochód, zastąpiwszy drzwi,

aby nie dopuścić urągania z człowieka, zakochanego w niej aż do nieprzytomności. Jakiś bywalec, a dobry znajomy, zobaczywszy to, pogroził jej żartobliwie palcem i szepnął, że przestrzeże męża, aby się miał na bacności. Zdrowie to jednak nie zostało spełnionem.

Wkrótce potem chaotyczną hulankę przerwał inny epizod.

Gospodarz mianowicie dojrzał po za uchylonemi drzwiami kuchni przypatrującego się tańcom Maksa.

Maks był wielką figurą w domu kowalów, wszyscy się dziwili, czemu go wśród gości nie ma.

Kowal pospieszył też zaraz do kuchni.

— A widzisz Maksin... żal ci teraz... he?... Patrzysz, bez drzwi i ciągnie cię z innymi poskakać... prawda?... A pójdźże chłopie. Wyszukam ci na poczekaniu taką szykowną tancerkę, że no! zobaczysz!... Daj się namówić... Nie chcesz?...

Jaki to uparciuch. No to z panną młodą, z Karolką co?... Karolciu, chodzino tu!...

Panna młoda, usłyszawszy wołanie ojca, puściła na środku izby wykręcającego się z nią w tańcu kawalera, mówiąc: "przepraszam", — na co on: "za mało", i pospieszyła do kuchni.

— Co tato?

— Weźno się ty do Maksa, mojaś ty. Śpieguje jucha bez drzwi, jak się bawimy, a sam nie włązi. Namów go, ty ta z nim potrafisz... Lo mnie nie chce, ale lo ciebie robi. Przecie to wstyd, żeby Maksa na twojem weselu nie było!... Jakże to?...

Tak prawil z żartobliwym gniewem kowal. Karolina zaś przystąpiła obcesowo do mężczyzny. Śniady chłopak z słabym zarostem, o nieco przyciętych ustach i poważnem spojrzeniu, trochę zakłopo

tanym wzrokiem ogarniał jej białą, wdzięczną, strojną postać oblubienicy.

— Czemuż to Maks do nas nie przyjdzie?! — ozwała się czupurnie, zadyszana, rozgorączkowana, zabawą, przyciskając oburącz falującą, pierś.

A kiedy Maks, nie znalazłszy odpowiedzi, poddawał się sile jej wzroku, sypiącego iskry młodości i szczęścia, strofowała go z odpowiednim ruchem głowy:

— To mi pan tak życzy?!... Chodź pan zaraz..

I starała sio uchwycić go za rękę, on zaś, uniknąwszy tego, machnął dłonią i mruknął.

— Co tam po mnie!...

— No i tak zdaleka Maks patrzy?... jakby nie swój?...

— Ano, przyszedłem chociaż przez drzwi spojrzeć.

— Tylko tyle?

— Po prawdzie, to tam i jeszcze po coś.

— Po co? po co?...

— Po kolacyę — odparł niewesoło uśmiechnięty.

— E, żartuje pan... Po kolacyę?!

— A. tak. tak... Przez wesele panny Karoliny kolący im nie dostał — powtórzył Maks tonem udanego wyrzutu.

Chwast uderzył pięścią w dłoń i rozśmiał się, szeroko otwierając usta.

— Widzisz?! dobrze ci tak! — zawołał, — trza było się do stołu z innymi.

W samej rzeczy, wśród zajęcia się gośćmi, zapomniano zupełnie o Maksie, który zawsze stroniąc od licznych zebrań i tym razem, pomimo nalegań, usunął się — i nie dano mu zwykłej wieczerzy.

— Ajej!... — obruszyła się na taką nieuwagę zafrasowana kowalówna, przykładając rękę do policzka, jakże się to stać mogło i czemuż się to Maks nie upomniał?!.. Zaraz panu dam, zaraz...

Czempredzej wzięła się do złożenia wieczerzy dla niego z dań najsmaczniejszych.

Chwast jednakowoż próbował jeszcze wciągnąć go między gości. Kiedy wszystkie jego namowy Maks zbywał wykrętami, napomykając nawet, że niezdrów, zakończył wreszcie kowal:

— E, niech cię nie znam. Wiesz, żeby mnie to od kogo innego, nie od ciebie spotkało, jak Pana Boga Kocham, zgniewałbym się na śmierć. Pomyśl tylko, że się już takiej drugiej zabawy u nas nie doczekasz.

— Pewnie, że nie! — odmruknął ów, ale nie ustąpił.

Wtedy panna młoda, zjawiając się z kieliszkiem i butelką, rzekła:

— Niechże Maks przynajmniej za moje zdrowie wypije!

Wahał się chwilę, mrugając oczyma i przenosząc je z uśmiechem rozrzewnienia to na kieliszek, to na napelniającą go młodą kobietę.

— Za zdrowie panny Karoliny? — powtórzył miękkiem szeptem.

Ona zaś potwierdziła żywo, dobitnie:

— A jakże. Da Pan Bóg, że i ja kiedyś na pana Maksa weselu tak samo pić będę.

Chciał coś odpowiedzieć, ale w tej chwili Karolina podniosła kieliszek:

— Do pana Maksa!...

Wypiła przechylając pulchną, rumianą twarz tak, że na białej szyi znać było, jak połykała napój, poczem nalała znowu. Maks wypróżnił z iskrzącymi oczyma ten sam kieliszek, którego przed chwilą dotykały jej usta.

— Może jeszcze jeden? — zapytała. Wyciągnęła rękę, wypił powtórnie, otarłszy usta rękawem, pocałował Karolinę w rękę i zabrał się ku wyjściu. Kowalówna potrząsnęła głową i zaśmiała się:

— Już ucieka!.. A, co też to za człowiek z tego Maksa.

Potem zwróciła się do dziewczki:

— Maryś! zanieśno za panem to co tam stoi. — A jak pan czego będzie potrzebował, proszę przysłać.

Gdy opuszczała kuchnię, powiódł za nią wzrokiem między tłum gości, dopóki mu z oczu nie zniknęła, wreszcie odstąpił od drzwi i wyszedł. Chwasta także już nie było.

— A to dopiero dziwak — mruczał kowal, szukając drogi dla swej tuszy pomiędzy godawnikami.

— Kto taki? — zapytali bliźsi.

— A ten mój Maks.

Kilka osób kiwnęło głowami, zrozumiałwszy, o kim mowa, ale ktoś zapytał:

— Co za Maks?

Dopieroż kowal w opowiadanie o Maksie.

— To wy nie znacie Maksa?! A bójże się pan Boga, Maksa nie znać?!... Ady go tu całe przedmieście zna, kogo spytać. Najpocziwsze chłopczyśko w świecie, powiem panu, jeno dziwak okrutny przez to, że od ludzi ucieka. Do roboty za to... szukać takiego drugiego!... Powiem panu jedno: że się mam dobrze, kuźdy to wie

ale nie kuźdemu wiadomo, bez co... Oto: bez Maksa, wiecie?... Jak sobie szczęścia pragnę, byłbym dzisiaj chudziakiem, jak bądź kto, żeby nie Maks... taka głowa!... Chociaż o słowo u niego trudno, a i do picia też nie bardzo chętny i żeby kto chciał wiedzieć, co on myśli, to z niego nie wydobędzie, jeno musi wykalkulować z tego, co robi. Tak też widzicie, jak tutaj żywy między wami stoję, połowę, trzy ćwierci tego, co mam, winienem Maksowi... Jedyny chłopak, mówię wam, jedyny!...

Tu majster splunął, potrząsając głową, dobitnie, a widząc, że w otaczającej go gromadce nastawiono uszu, usiadł wygodnie na stołku i oba kułaki na kolanach wsparłszy, ciągnął:

— Wzionem go do siebie (dziesięć lat mija) sierotą. Jak raz się chłopak wyzwolił, jako niby stelmach z fachu, kołodziej... ale zachorowawszy, przeleżał w szpitalu dwa miesiące, osłabł, wyszedł przez centa, a tu ani jakiej roboty znaleźć, ani sił nie ma do roboty. Przypadkiem zaszedł do mnie i powiada: "Kołodziej jestem, czeladnik, przez miejsca, możebym się na co przydał Kołodziej kowalowi prawa ręka, nie trza wam mówić. Przyjdzie chłop Da ten przykład, koło mu pękło, okuj, wyrychtuj. Ja do chłopca: "Poszukaj se wpierv ojczy stelmacha, żeby ci rozłupane dzwono wystrugał, a po tem dopiero przyjdź do mnie, to ci się wtenczas okuje. Mój chłop rozgląda się za stelmachem, najduje po drodze inną kuźnię i tyłem go widział. Tak ja też kalkuluję: stelmach by się przy kuźni przydał, niejeden zarobek się traci, że kołodzieja wpodłe nie ma. Mówię tedy do Maksa "Zostań pan, pokaże się, co umiesz". Został. Z początku mu ta nie bardzo szło, że był zmi

zerowany, ale jak się u mnie trochę podkarmił, jak nic zacznie rychtować, strugać, we dwa, trzy miesiące widzę ja, że mi się jeszcze jeden czeladnik, jeszcze ze dwóch chłopaków w kuźni zda, tyła roboty przybyło, a bez co? bez to, że stelmach był w domu. Zakładam ja mu zaraz w oficynie waścak w porządku, wypisuję mego chłopca na majstra, kupuję statek, myślę se... Łaska boska, że mi się ten Maks nadarzył!... Anim się zaś spodziewał jeszcze, co z tego dalej będzie...

... Przychodzi raz chłop, żeby mu wynaprawiać taki. Obejrzałem, widzę: stare, roztrzęsione — padam chłopcu: "Ojczaczku, nowe wam taniej wyjdą niżeli naprawka". Chłop na to: "Wielaż chcecie za nowe?" — "A skądby się tu u mnie wzięły — mówię — to nie kowalski kawałek". I chłop poszedł. Ale że to było ku wiośnie, ziemia rozpulchniała, roboty się zaczęły, wnet przychodzi drugi, przychodzi trzeci, czwarty, każdy to samo o taki. a u mnie taków nie ma Tak wtenczas Maks. który na wszystko miał oko, powiada do mnie: "Panie majster, drzewaby kupić, taków narobić. To przecie interes!..." Popatrzałem na niego, splunąłem i rzeknę: "Rychtyg, z tegoby mógł być interes!..."

... Za jakiś czas pyta się w kuźni człowiek wsiowy o pług, gdzieby najlepiej kupić — a Maks mi znowu do ucha: "Panie majster, trzeba pługi kuć, drzewo ja wystrugam". A ja se kalkuluję: "ma recht!" Od jednego do drugiego, od taczek do pługów, do bron, do wózków, do wozów — i cóż pan, panie kochany, powiesz na to, dziś u mnie w składach "na dziedzincu wyrobionego, okutego towaru za półczwarta tysiąca, a jak sporządzone!... Maks strugał a ja kuł. Rok w rok się tyle rychtuje i rok w rok się wszystko po jarmarkach

rozsprzeda. bez targu, bo moja robota znana!... Aniby na to był przyszedł, żeby nie Maks. Myślicie, że to koniec?... he! he!..

W tem miejscu Chwast machnął ręką znacząco i podniósłszy się nieco na krześle, zawołał w stronę drzwi, głośno, aby hałas przekrzyknąć:

— Wicek! Kubuś! gdzieście są?!... Mówiłem wam: dawać pozór, żeby żadna szklanka próżno nie stała. Nam tu już w gębie zasycha!...

Chłopcy z butlami uwinęli się szybko, a skorostarszyzna pociągnawszy z kufla otarła wąsy, Chwast wytrzymałszy nieco oczekujących dalszego ciągu słuchaczy, powrócił do opowiadania:

— Przyprowadza do mnie inszym razem chłop konia i prosi, żebrze, żeby kupić, bo był potrzebny. "Idź se chudziaka z Bogiem, nie naprzykrzaj się, co mi po szkapie". A Maks mnie za rękaw: "Panie majster, szkapina niczego, tylko wygłodzona. Jaby radził kupić, sprzeda się z zarobkiem". Posłuchałem, wziąłem potem za tego konika dwa razy tyle, com dał, w miesiąc. Posłuchałem raz. posłuchałem drugi, a że się człowiek, nie chwalący, na koniu trochę zna, bocięgiem wedle szkap chodzę, wziąłem się i do tego, i roku nie ma, żebym ze dwudziestu koni nie przehandlował (i teraz w stajni pięć stoi na sprzedaż, przy moich, dwóch od gospodarstwa) — a na kuźdym się ma jaki taki grajcar zysku. Juści samo się to wszystko nie robi i musisz się koło tego zakrzętać. ale ja na to ciężki i żeby mi Maks nie podpowiadał: "panie majster to, panie majster tamto" — jak Boga kocham, przez głowę by mi niejedno nie przeszło.

... Ale!... A żeby nie Maks, byłbym to od wdowy po stryju (stary dziecnek nie zostawił), byłbym wyprocesował gront pod Szmulówką, dobre ćwierć mili ztąd, na prawo od Babińca? Trzydzieści morgów! to nie byle co... i należało mi się, alem myślał: "poradzę to babie?" — a ten jak nie zaczął wymyślać to tak, to owak,

radzić, przekonywać, do adwokatów mnie namawiać, — baba przegrała, gront mi przysądzi i folwark jest.

... Prawda, że się wtenczas poskrobał w głowę i mówię Maksowi: "Bój się ty biedy, Maksie, ziemia jest, ani słowa, ale co z tem robić?!" — "Gospodarować!" — mówi. — "A nawóz?" — "Bydło trzymać!" — powiada. — "Ale kto tego wszystkiego dojrzy?!" — ja do niego. — "I! o tyłeczka, to ta nic" — on na to. I prawda: żona nie dojrzała, ja sam prześlepiłem niejedno, a Maks upilnował, choć mu nikt nic nie mówił, po cichu, po swojemu.

... Wiele to razy, przy innym kłopotcie, zapomniało się o czemś, dopiero wieczór, nad talerzem, coś mnie kolnie: "O rany boskie — wołam — na śmierć zapomniałem tego albo tego... Cóż teraz będzie?... " A Maks, z kaszą w gębie, na to: "Zrobione, panie majster, zrobione". — "A kto zrobił?" — dziwię się. — "Przypomniałem se — mówi jakby nigdy nic, — że taka rzecz wypada, a wiedzący, że pan majster może nie będzie miał czasu, takem to zrobił". — Aż mnie wstyd brał. — "Maksie! — powiadam wtenczas — dajże ci Boże zdrowie, synby mi tak nie dbał o moje, jak ty!..." On zaś cmok mnie w rękę i tylko: "Nie prędko ja się panu majstrowi wyplacę..."

Widzę ja, że on tak o wszystkim szczerze i sumiennie myśli, więc go zaczepiam raz: "Słuchaj Maks,

tak dalej być nie może, wy się musimy z sobą porachować: to moje, a to twoje. Ja na to nie pozwolę, żebyś ty mi za darmo robił". A ten znowu cmok w łapę: "To pan majster ze mną — mówi — chce jak z obcym? Przecie ja jakby wasz krewny: nie boję się ja, żebyście mnie mieli ukrzywdzić i jak czego zechcę, to poproszę". — Powiadam wam: jedyna dusza na tym świecie!... Na nikogo się tak spuścić jak na niego, o sobie zapomni, żeby nam posłużyć: mnie, żonie, — a dopieroż dziewczusze naszej?!... Hej! jak se wspomnę te wózki, huśtawki, te zabawki, co on tu dla niej wszystko wymyślał, jeszcze jak była mała i później.

... Po co daleko szukać? Kolo wesela ile on się nie nalatał, wszyściuteńko skupował, znosił, urządzał, radził, spraszał nawet gości... Myślałby kto: siostrę rodzoną wydaje, sam się żeni!.. Chociaż między nami mówiący: widziałem ja, że mu się Stefan czegoś nie podoba. A jakże.

... Raz mi nawet szepnął: "Panie majster, pannie Karolinie jeszcze czas" — a później: "Żeby tylko państwo tego nie żalowali". Zawsze był o nas wszystkich bardzo troskliwy. Ale zaś potem, widzi, że się dziewczyna uparła, widzi, że ja sam przystałem, ani słowa już nie pisał i żeby mu to odradzać zapomnieć, harował koło całego wesela więcej, niż które z nas. Jak parobek się od miesiąca wysługiwał babie mojej i Karolce, i dziewczyna rada nie rada przestała się na niego boczyć.

... A teraz, patrzcie tylko, moi ludzie, jaka to dzika jucha: bez drzwi zaglądał na zabawę i ani rusz go tu było wciągnąć, chociażem się go tyle naprosił. Poszedł se do swojej izby. On zawdy był taki: mało gada, po kątach się chowa, a swoje robi. Ale co za serce! co za serce!...

Część gości, dając się opanowywać stopniowo sympaty dla Maksa, słuchała i potrzasała głowami ze zdziwienia, po za krzątanią i gwarem tańczących. Ktoś, z pochlebstwa dla opowiadającego, zauważył:

— Kto sierotę przytuli, takiemu Pan Bóg szczęści. Kowal zaś, zadowolony z wylania przepelniających go uczuć, odparł:

— Żebyście wiedzieli, że ten Maks mi na dom szczęście sprowadził, jak se zbawienia pragnę! To też takie mam dla tego chłopca serce, że bym mu niczego nie odmówił, czego by tylko chciał. Cóż, kiedy bestya nic nie chce!... Ha, no, tak czy tak, połowę wszystkiego po mnie dostanie, — to mu się sprawiedliwie należy... Jednego tylko żałuję, że nie kowal, bobym mu warsztat zostawił.

— Córce trza było kowala wyszukać! szkoda kuźni!...

— Skoro wołała wojaka! Strasznie dziewczki na tych wojaków lecą.

— Prawda?! — przerwał tryumfująco uśmiechnięty kapral, biorący udział w godach. Kowal zaś dodał:

— Na kuźden sposób Bogu dziękuję, że się to raz skończyło. Najpierw dla tego, że już dziewczusze za męża był czas, a po drugie: będę miał nareszcie spokój. Nie dalibyście ludzie wiary, ile mi ta dziewczyna utrapienia przyczyniała bez swoje szczęście do chłopaków. Swat się pchał za swatem, kumotry do mnie, baby do żony, kuźden zachwalał swego, kuźden zaklinał, opędzić się im nie było sposobu, jakbym miał sto córek, nie jedną! Teraz już wydana — to i po wszystkim.

— Daj jej Boże szczęście! — zakończył mocno pijany powroźnik z przeciwka, którego zamglone czy, o ile mógł niemi jeszcze patrzeć, na wszystko patrzyły

czuie, na co padły, czy to był guzik czyjejs kamizelki czy brodawka na czyimś nosie.

Ucałowali się z kowalem serdecznie, objawszy się za szyję, dzięki czemu powróznik utrzymał równowagę, a następnie zabalgotowało w gardłach na intencję pomyślnej przyszłości nowożeńców.

Ale jedna z młodszych kobiet, bliżej gospodarza siedząca, odmówiła udziału w toaście, żądając natomiast szklanki wody.

Chwast klasnął w ręce:

— Maryś! wody dla pani Antoniowej! Dziewczyna wykręciła się na pięcie, lecz po chwili wróciła z niczem.

— Proszę pana, wiadro urwane.

— Co pleciesz! — obruszył się kowal, — tamtego tygodnia łańcuch zładowany...

Opatrzył się jednak i zmieniając ton zawołał wesoło:

— He! he!... mądra z ciebie dziewczucha, Maryś!... Nie ma wody na weselu Chwaścianki. Pani Antoniowa! służę winka...

Z grymasami przyjęła zaproszona kieliszek.

I dalej pito, śmiano się, potrącano w natłoku, prowadząc równocześnie kilkanaście rozmów, żadnej porządnie, — nie słuchając, co drudzy mówią, nie kończąc własnych słów. W głowach szumiało, w oczach tańczyło wszystko, nie wyłączając sprzętów, ścian.

Naraz, jak się to w największym hałasie wydarzać zwykło, po jakimś krzykliwym wybuchu powszechnej wesołości nastąpiła krótka chwila ciszy, krótka, jak oddech zdyszanej piersi, a wśród niej do cienkiego rzempolenia skrzypiec wmieszało się niespodzianie stłumione ale słyszalne wycie psich głosów na podwórzu.

— Czego te psy wyją?! — zżymnął się gospodarz. — Pies zawsze muzyce pomaga! — zażartował jeden z gości. Drugi dodał:

— Dziwują się psiska i zazdroszczą ludziom, bo jeszcze nie widziały takiej fety.

Ochryple krzyki mężczyzn, piskliwe śmiechy kobiece, przeplatane brzękiem szkła i stukaniem obcasów, odwróciły uwagę od tego przedmiotu.

Wtem, po chwili, przez otwarte drzwi w oknie tylnego pokoju dojrzał ktoś wielką jasność.

— A to co? — mówi — już świta?! Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę, gospodarz zaś, tknięty, poskoczył pod samo okienko.

— Rany boskie! — wykrzyknął, splasnawszy dłonie — gore!!

I wybiegł z izby środkiem osłupiałej, pogrążonej w nagłym milczeniu, pijanej czeready. Kilku mężczyzn, otrząsnawszy się z pierwszego wrażenia, podążyło za nim, poczem całe zebranie zaczęło się cisnąć na obszerny dziedziniec po za domem kowala.

Dziedziniec ten, duży kwadrat, z studnią w pośrodku, okolony drewnianymi budynkami, zalany był światłem, buchającym jakrawo z wielkiego snopa płomieni, obejmujących dach składu drzewa na prawo, z samego kraja.

Chwast, błąd jak trup, otrzeźwiony zupełnie z całonocnej pijatyki, biegał tu już na wszystkie strony w gorączkowej potrzebie ratowania, nie wiedząc jednak, jak się do niego zabrać, od czego ie rozpocząć.

— Konewek! wody! zrzucić drabinę! — wołał, sprawiając swym przerażonym wzrokiem i gwałtownymi gestami popłoch wśród wysypujących się z domu gości.

Oszołomieni niespodziewanym wypadkiem, nie znając jeszcze rozmiarów jego, ani przyczyny, wybiegali tu na gwałt, jedni przez drugich, parci ciekawością zarazem i obawą. Widok budynku dopiero, płonącego jak głównia, przykuwał ich do miejsca i wstrząsał dreszczem. Wlepiali weń oczy i stali chwilę nieruchomo. Potem mężczyźni zaczęli nakłaniać żony, aby wróciły pod dach, ale kobiety nie chciały puścić męskich dłoni. Pozostali całą gromadą.

Kowal tymczasem, sam jeden czynny, pochyliwszy się nad wylotem głębokiej studni, jęknął głośno:

— Jezu miłosierny! wiadro urwane !..

W istocie wałek, ogołocony z łańcucha, oraz koło, nieobciążone niczem, zakołysały się pod ręką jego lekko, żartobliwie, jak bezużyteczna zabawka.

W tej chwili obok składu drzewa, palącego się żywo niby olbrzymi stos suszu, gęsta chmura zaczęła otaczać sąsiednie zabudowanie, rodzaj długiej szopy.

Mieściły się tam wozy drabiniaste i zwykłe, chłopskie sanie, pługi, brony i taczki, przeznaczone na sprzedaż, całoroczna praca obu warsztatów kowala, samo drzewo.

Parę razy zarumieniły się zlekka kłęby dymu, okadzające spadzisty dach z gontów. Naraz, jak żądło wysunął się z pośród nich blady, kończysty płomycek i zniknął... Potem drugi, trzeci... coraz dłuższe pasma ogniste, coraz jaśniejsze, jakby się mnożyły pod dymem, rozradzały. Aż zlawszy się w jedno, wezbrały wielką, ruchomą, falującą nakształt grzywy na wietrze gęstwiną krwawych płomieni. Wraz z migotliwym, szkarłatnym ich blaskiem objął przedmioty i ludzi gorący oddech pożogi.

Chwast, przerażony, wrzeszczał z całej piersi:

— Ludzie! ratujcie przez Bóg żywy!...

Pożar zaś rósł w oczach z nieprawdopodobną szybkością.

Całą prawą stronę dziedzińca ogrodził już niby żywopłotem ognistym. Drugi bok kwadratu, w głębi, złożony z spichlerzy, pełnych plonu, osłaniała nieznacznie mgła, niewiadomo z kąd się biorąca, aż naraz, zanim płomienie po grzbietach dachów przepelzły, i spichrze stanęły w ogniu.

Dobył się on w kilku miejscach równocześnie, jak zbudzone ze snu potwory, o cielsku nieujętem, nierealnym zda się, wyglądającym na uludę świetlaną, tak znikomem, a jednak pochłaniającem wszystko bez litości, do szczytu, wśród złowrogiego syku i szumu, przypominającego stłumione warczenie zgłodniałych, żerujących zwierząt.

Wszyscy drżeli, obezwładnieni paraliżem wielkiego strachu istot słabych wobec zjawienia się większej od nich a wroziej im potęgi.

Wtem na hasło, dane łkaniem kowalowej, kobiety zawiodły przeraźliwym płaczem pijanych i wylękłych prostaczków.

Inne zaczęły mdleć... Zwiększyło to zamieszanie wśród mężczyzn, którzy i tak nie wiedzieli, co czynić.

Zaczęła się bezradna bieranina i nawoływanie a przy trzasku ognia i okrzykach ludzi górowało płaczące wycie psów, które, zadartszy w górę pyski, rzucały z ukosa spojrzenie na wściekły pożar.

— Widzisz Jasiu"?... mówiłam ci, daruj Pytłowi... on miał taką złą minę... a tyś go jeszcze zprzezywał!... biadała nie w porę żona Chwasta.

Obok, osłupiałemi oczyma wpatrzoną w gorejące budynki, bladą i drżącą w swym lekkim, białym stroju

panny młodej Karolinę, otulał młody mąż jakimś ciemnym szalem...

Nie mówili odboje ani słowa.

Hałas tymczasem stopniowo zwiększał się.

Do piania zbudzonych kogutów przyłączyło się coraz to gwałtowniejsze lucie skrzydeł, coraz głośniejszy krzyk przerażonego drobiu w zamkniętych kurnikach, gdakanie kur i wrzask gęsi.

Z stajni również dolatywał głuchy tentent kopyt i chrzęst łańcuchów. Uwiązane na nich do żłobów konie rwały się, parskając.

W oborze na koniec zaryczała jedna z krów. Wkrótce poszły za jej przykładem inne, najżałośniej zaś brzmiał nieustanny bek cielęcia.

Każda chwila była teraz drogą — ratunek zaś był niemożliwy.

Nie było wody.

Kilku mężczyzn, z wiaderkami w ręku, oparli się o cembrzynę studni, spoglądało w jej głęb bezradnie. Łańcuch urwany, sznura nie było pod ręką.

Chwast pobiegł do bramy wjazdowej, zamkniętej na potężną kłódkę. Pomimo, że z zewnątrz dobywano się już do niej także, stary bezskutecznie namocowawszy się z jej silną budową, puścił się w stronę mieszkania po siekiere.

W pół drogi zatrzymały go jednak wzmożone wrzaski przelekłych zwierząt.

— Wyprowadzajcież konie i bydło! — krzyknął ochryple.

Oblany potem, pierwszy przyskoczył do wrót stajni. podczas gdy kilku mężczyzn w czarnych surdutach,

a weselnymi bukietami u kohnerza, zwróciło się do reszty zabudowań.

Daremnie się dobijali.

Drzwi stajni, obory, chlewów nawet, wszystkie były pozamykane na kłódki lub zamki.

Chwast biegał od jednych do drugich, odtrącając ludzi, nie wierząc im, sądząc, że własnych rąk dwójgim zdoła wysadzić drzwi, którym dziesięć ramion co dopiero nie dało rady.

— Kto to wszystko zamykał?! — wybuchnął rozwścieczony — na co?! kiedy brama zaparta!... Hej! gdzie parobek?...

Maryś!...

Parobek i dziewczka wysunęli się z po za gości wystraszeni, niewinniając się.

— Ja nie zamykał, proszę łaski pana...

— I ja nie!...

— Żadne nie zamykało!... Poczekajcie ścierwa! ja wam dam!...

I pogroziwszy pięścią obojgu, popchnął ich ku domowi, z rozkazem:

— Klucze! klucze mi tu dawać z kuchni czem prędzej!...

Służba pospieszyła do kuchni.

Jakże długo nie wracają!...

Nareszcie zjawili się — z próżnymi rękoma.

— No?!...

— Nie ma nigdzie kluczy, proszę pana.

Chwast wyciął mówiącemu te słowa parobkowi policzek, aż się sługa zatoczył.

Zgrzytnąwszy zębami, sam pobiegł pędem poszukać kluczy i — również powrócił z niczem.

Nie było ich w kuchni na gwoździu, na którym wisiały zawsze od tylu lat, nietykalne, święte!... — nie było ich nigdzie..

Zresztą w panującym nieładzie czy podobna ich nawet było szukać?

I nie na wieleby się też przydały.

Pożar nie czekał, aż się, zabiorą do stłumienia go, zajmował węgiel po węgle, rósł... rósł!...

Tu i owdzie oblepiły już teraz płomyki ściany, z po za których bydło i konie zaczęły wołać o ratunek bolesnym, ludzkim niemal, rozdzierającym serce głosem, rozpaczliwego błagania... Lecz cóż można było dla nich uczynić ?...

Naraz wśród tego chóru szamoczących się w zamknięciu zwierząt, który zdawał się jękiem śmiertelnym ulegającego zupełnej zagładzie mienia i pośród gwaru grozą przejętych ludzi, zatrzepotało coś ponad głowami w powietrzu.

To gołębie, zbudzone blaskiem pożaru czy iskrą, wpadła do gołębnika, wyleciały zeń. Spłoszone, wylękłe, ukazawszy się w aureoli różowego światła na czarnym tle nocy, zataczały gromadą wielkie koła ponad miejscem klęski.

Chwasta opanowała jakąś niemoc.

Zaprzestawszy biegać i krzyczeć, z wzrokiem utkwionym w najjaśniejsz płonący dach, stał w miejscu jakby skamieniały, podczas kiedy tamci coraz głośniejsz złorzeczyli podpalaczowi. Bo ogień był podłożony, to pewna, wybuchał z wnętrza budynków. I nazwisko wypędzonego czeladnika krążyło z ust do ust wśród zapalczywych klątw najwyższego oburzenia.

Ogień tymczasem opuścił już prawą stronę; podwórza, pozostawiając tylko zwęglone, słabo gdzieniegdzie tlejące kupy żaru wpośród czarnych słupów i krokwi. A te smutne szkielety w miejscach, gdzie niedawno wznosiły się wysokie ściany dostatnich budynków, wydawały się nieoswojonemu z nowym widokiem oku czem? nienaturalnym, potwornym, strasznym, czemś, w co odrazu uwierzyć trudno.

Całą siłą rozgorzały teraz zabudowania, mieszczące żywy inwentarz.

W małym okienku obory, w której ryk stał się słabszy, ukazała się nagle rogata głowa krowy, z językiem sterczącym z rozwartego pyska. Zwierzę, dysząc ciężko, zdobyło się ledwie na jakieś chrapliwe rzerzenie...

Lecz tuman dymu osłonił zakratowany otwór, z którego po chwili wychyliły się już tylko podarte strzępy ognia.

Kilka razy jeszcze coś wewnątrz prychnęło, stęknęło. poczem nastąpiła cisza, pozorna cisza, wypełniona jednostajnym sykiem płomieni i traskiem palących się bierwion, a od czasu do czasu przerywana łomotem upadku przepalonej belki.

Usiłowania otwarcia bramy wjazdowej ciągle jeszcze nie odnosiły skutku. Trzeźwi z zewnątrz dawali wskazówki, jak się do tego brać mają z drugiej strony, gdzie był przystęp do rygli. Pijani, z tej strony, nie umieli wykonać rozkazów tamtych.

Obie strony zaczęły się kłócić i lżyć.

Naraz mały, niski domek, ostatni w lewym skrzydle, który, nietknięty dotąd od ognia, niknął przy tamtych, jaśniejących ponuro, stanąwszy w jednej chwili w płó

mieniach, zdawało się, że się zjawił, że teraz dopiero wyszedł z ukrycia.

Na ten widok kowal, pogrążony od chwili w niemem odrętwieniu, drgnął, splótł ręce, aż w stawach zatrzeszczały i przenikającym głosem zawołał:

— Jezus Marya! a Maks?! Dreszcz przebiegł po tłumie.

— Maks!... — podawano z ust do ust, oglądano się, szukano, czy go tu nie ma po za innymi, czy nie wyjdzie z jakiego kąta, mówiąc: "jestem, czego chcecie?"

Nie było go jednak..

Nikt go nie widział od chwili, kiedy opuścił kuchnię, aby pójść do siebie i zjeść kolację.

Któryś z terminatorów odezwał się, że z godzinę temu świeciło się jeszcze w oknie stelmacha, a zaraz potem było w niem już ciemno.

Więc położył się spać... zasnął!... leży tam... wśród ognia!...

Człowiek? tam?!... czy podobna?!...

Przytomniejszym wydało się w tej chwili, że uczuli na skórze piekące dotknięcie żaru.

Chwast rzucił się w stronę płonącego domostwa, jakby miał zamiar wejść w płomienie. Pod wrażeniem tego bezwiednie uczynionego ruchu rozpaczy, wstrzymano go — on zaś błagalnie, przeraźliwie, jak gdyby chciał zbudzić śpiącego wśród ognia, krzyczał, podnosząc ściśnięte dłonie:

— Maks! Maks!!...

W odpowiedzi na to wołanie rozległ się łoskot, iskry sypnęły i szczyt małego domku runął w głąb wnętrza, poczem żar błysnął żywiej i jaśniej niżeli poprzednio.

Patrzącym jęk wyrwał się z piersi pomimo woli. Chwast, uchwyciwszy się za głowę, odwrócił się od okropnego widoku i rykiem męskiego płaczu rozpaczął:

— Jezusie! Jezusie!... a ja mu pozwoliłem pójść do domu!...

Ten głos niezmiernej boleści szarpnął za serca wszystkich.

Jakże, straszne nieszczęście spadło na ten dom. przód chwilą jeszcze pełen szczęścia!... Jakaż okropną śmiercią zginął człowiek, którego znali wszyscy, którego wielu widziało tak niedawno, o którym przed godziną tyle słyszeli dobrego!...

— Na bok! na bok! — zawołał ktoś nagle — i tu gore!

Rzeczywiście gorzał już teraz i dom frontowy, dom, który zamykał czworobok rzeczywistości kowala.

Zajął się niepostrzeżenie po za plecyma gości weselnych. Zaledwie mieli czas pierzchnąć na środek podwórza, pod studnię, zkąd, znalazłszy się w samym środku pogorzeli, widzieć mogli w pierścieniu objętych nią zabudowań, obok zgłiszcz spopielałych, napoczęte dopiero przez ogień domostwo.

Wtem, przy wtórce metalicznego dźwięku trąbki, doleciał z ulicy miarowy huk kopyt, w galopie uderzających o bruk.

Turkot, rosnący szybko, jak na skinienie zatrzymał się przed domem. Rozległ się głos komendy, nowy sygnał, trzask wyłamanej bramy i oddział strażaków w błyszczących kaskach, z siekierami u boku, w wojskowym szyku wkroczył na dziedziniec.

Czemuż nie kwadrans wcześniej?!...

W okamgnieniu zapuszczono węża w studnię, dwadzieścia par silnych ramion wprawiło w ruch pompę

sikawki, podniosły się drabiny, osęki, trysnął strumień wody, jeden, drugi, i ludzie z latarkami. jak mały zwinni, wzięli w obroty domostwo, zda się skazane na niechybną zagładę.

W kilka minut rozrąbali dach na dwie połowy.

Zerwawszy część płonąca, odsłonili nad węglem wielką, czarną ranę, z której ściekała woda, plamiąc mury i snuły się ze skwierczących niedopałków pasemka dymu.

Druga połowa dachu, wsparta na kominie, wznosiła się ocaloną ukazując ciemne wnętrza strychu, około którego uwijali się strażacy, przebiegający po zrębie muru.

Naraz jeden z nich, z po za komina, zażądał drabiny.

— Co tam takiego? — zapytał baczny na wszystko komendant, gdy równocześnie dwie drabiny wsparły się o krawędź ściany.

— Człowiek jakiś! wisielec!... — odparł tamten w górze.

— Odciąć.

Trzymając w pół ciało bezwładnie obwisłe, wynurzył się strażak z ciemnej czeluści strychu i zstępował zwolna po szczeblach.

Skoro się znalazł na dole, wszyscy jednocześnie, goście i straż, zbiegli się około złożonego na ziemi ciała.

Ale pożar już przygasł i dziedziniec pogrążony był w ciemnościach, musiano się więc nachylać dla rozpoznania samobójcy.

Któż to taki?... pytali patrzący jedni drugich. Zaczęły krążyć szept, sprzeczano się, aż Chwast, dostawszy się do środka, spojrzął i szepnął zdumiony:

— Maks!... — Poczem nastąpiło milczenie. Po chwili dopiero jakiś głos wyrzekł:

— To on musiał podpalić!

A Chwast wśród panującej dokoła ciszy nic przestawał się wpatrywać wielkimi oczyma w tę twarz martwą, zmienioną, siną, w te usta, bardziej niż kiedykolwiek zamknięte, które nie były już zdolne przemówić na swą obronę wobec, tak strasznego oskarżenia.

— Coś koło niego brzęczało — odezwał się strażak, który zniósł trupa.

Po tych słowach, zagłębiwszy rękę w jednej z kieszeni kaftana samobójcy, wyjął z niej pęk kluczy i podniósł je do góry.

Chwast wyciągnął po nie dłoń mimowolnie.

Zaczawszy je przebierać jeden po drugim, zwolna, poznawał w nich ze zdumieniem swoje klucze: od warsztatu, od składów, stodół, od stajni...

Przeliczył je więc po raz wtóry i trzeci, sądząc, że go wzrok myli, potrzebując się upewnić, — tak nieprawdopodobne, przeciwne wszystkiemu, w co dotąd wierzył niezbitcie, myśli i przypuszczenia zaczęły mu się mięszać w głowie...

— Moje klucze... — wyszeptał wreszcie tonem ostatecznego przekonania, wyężając umysł na sformułowanie jasnego sądu o istocie tego niespodzianego, strasznego wypadku.

I nagle, przejrząwszy, uczuł, że ma u nóg swych podpalacza.

Natenczas w pierwszym porywie wzmagającej się wściekłości, ogarnęła go nieprzeparta żądza wylania jej potokiem zelżywych słów, wyrażenia pięścią, zdeptania tego złoczyńcy, który mu zabrał całe mienie. Ale ten świeżo poznany krzywdziciel, nieruchomy w tej chwili i bezbronny, to był przez długie lata naj

wierniejszy jego sługa i przyjaciel, opuszczał go dziś wraz z tym dostatkim, który sam stworzył, opuszczał, bo... I zgnieciony, brzemieniem ciosu, zawiedziony i nieszczęśliwy bez miary, z właściwego prostakom nałogu obwoływania wielkim głosem każdej boleści, cisnął w twarz trupowi gorzki wyrzut:

— Toś ty dla siebie tak dbał?... dla siebie zbierał?... dla siebie pracował?...

Poczem, zwróciwszy się do córki, z bekiem wyrzekął:

— Oj Karolka! Karolka! wszystko to przez ciebie!... I zaczął oczy kułakami wycierać, zgarbiony, złamany. —

Jeszcze jedno ciało wyniesiono z domostwa, — śpiące ciało owego niefortunnego wielbiciela kowalówniej; który się upił z żalu...

Na dziedziniec napływały tymczasem tłumy przedmieszczan, zbudzonych świtem i wieścią.

W tworzących się grupach goście weselni spierali się z sobą o szczegóły zdarzeń ubiegłej nocy. Ełku pocieszało rodzinę zrujnowanego Chwasta, a reszta zabierała się do domów, unosząc w głowach ciężar wypitych trunków, a w sukniach woń spalenizny.

OPIEKUNOWIE.

Pewnego dnia, rano, drzwi się otwarły i jakaś kobieta, omatulona w chustki, niemłoda, wyglądająca w połowie na ubogą małomieszczankę, w połowie na chłopkę, podobna do stu takich samych kobiet, przybywających na targ z mleczywem, lub drobiem, zapytała Paulini; piskliwie, czy nie potrzebuje jaj. Wszczął się targ, uwieńczony kupnem, w wywiązanej zaś ztąd gawędce Paulina, która udawała mężatkę przy każdej nadarzonej sposobności, wspomniała coś o nieobecnym mężu. Wtedy rozmowna kobiecina spytała ją o dzieci, a usłyszawszy, że ich nie ma, zaczęła ubolewać:

— Musi pani być smutno, przez cały dzień, tak samej?

— Pewnie.

— Wzięłaby sobie pani na wychowanie jakie, albo co?

Paulina zastanowiła się chwilę. Przechodziła myślą niektóre nudniejsze godziny dnia, spędzane w przymu

sowej samotności, ponieważ główny jej, na teraz, przyjaciel, był zazdrosny. Nakoniec rzekła:

— Gdyby się trafiło ładne, możebym i wzięła..

— A co: dziewczynkę — czy chłopca?

— O ! dziewczynkę! tylko dziewczynko!...

Jak to dobrze! przybyła ma właśnie dziewczynkę na zbyciu. Bardzo to dziecko kocha, ale że w domu bieda, chętnieby ją więc oddała w porządne miejsce na wychowanie.

Od słowa do słowa umówiły się, że w najbliższy dzień targowy przybędzie ją pokazać.

Stawiła się wedle obietnicy, przyprowadzając małą dziewczuchę, czysto wymytą, wyczesaną i ubraną, aby się jak najlepiej wydała — Paulinie zaś spodobał się nieszpety buziak dziecka o oczach nieco dzikich, ale ciekawie i z życiem strzelających dokoła. Wzięła ją. Łzy ukazały się w oczach matki. Nie mogąc się dość nadzieikować dobrej pani za jej szlachetność, w dobranych zwrotach wpajała w małą na prędce poczucie obowiązku jak największej wdzięczności, szacunku i przywdziewania do dobrodziejki. Niezmiernie rozczulona, polepione biedactwo łasce Pauliny, odeszła z obietnicą odwiedzenia dzieciny za miesiąc.

Nie pokazała się lat sześć.

Mała rozwijała się konsekwentnie pod okiem swej opiekunki, którą nazywała cicią.

Powierzchni wrażenia wielkiego miasta, jego ruch, jego zbytek, rozmaitość wieczornych przechadzek, wszystko to lgnęło do umysłu S[...].]ki o wzdętym brzuszku i niezgrabnych ruchach chłopskiego dziecka, nieznacznie przeobrażając ją w gibką i zgrabną Lusię. Wcześniej nauczyła się przepadać za, ulicami przysłoniętą nocą,

za wesołemi napaściami mężczyzn, zagląających w oczy zuchwale i zastępujących drogę, którzy potem pojawiali się w domu, skąd wysyłano ją do oddalonych sklepów po wędliny lub ciastka.

I zanim stała się zdolną osądzić źródła dochodów swej cici, już oswoiła się z niemi i polubiła je, bo zapewniały one stroje, przysmaki i wesołe towarzystwo. Równoległe z tem zaś wykształciła w sobie tkwiącą w każdej kobiecie umiejętność postępowania tak, aby być upragnioną.

Paulina знаła się na tej sztuce — poświęciła jej życie. To też Lusia, wiotka blondynka z niebieskimi oczyma, umięczeniami patrzeć głupiutko a widzieć sprytnie, stanowiła wyborną parę u boku tamtej, okazałej brunetki, spoglądającej roztropnie i śmiało. Kto na nie spojrział — jeśli nie zajęła go jedna, znaczyło to, że na pewne zadowolni go druga, i na odwrót: dopełniały się — a przynajmniej młodsza obiecywała w niedalekiej przyszłości godnie dopełniać starszą.

Tymczasem, co parę tygodni, najczęściej w uroczyste święta, pisało się list do rodziców. Listy te, którego dyktował zawsze ktoś z obecnych przyjaciół cici, ponieważ Paulina sama nie dość była mocną w stylu, obok próśb o odwiedziny pełne były wygórowanej chwały dla opiekunki i stanowiły rodzaj apoteozy, na którą złożyło się wiele piór, wyszafowując w nich zgodnie prawdziwe skarby humoru, chociaż Paulina baczyła pilnie, by się tam nie zakradł jakie głupstwo, mogące ją skompromitować.

Niekiedy przyszła odpowiedź od starych. Nie brakło w niej nigdy pozdrowień i błogosławieństw dla Pauliny — lecz co do odwiedzin, te stale okazywały się

niemożliwymi. W domu bieda, roboty co niemiara, drogi kawał, przytem ojcu, jako woźnemu sądu, oddalać się z miejsca prawie nie sposób.

W takich okolicznościach zastał Lusię siedemnasty rok życia, z wychowaniem pasowaną już na towarzyszkę Pauliny, która młodej towarzyszkę potrzebowała coraz bardziej.

Pewnego przedpołudnia, pod nieobecność obu kobiet, zjawiła się w kuchence, położonej na wstępie mieszkania, para starych, w zakurzonej odzieży i z spotniałymi twarzami ludzi: woźnostwo, którzy przybywszy do miasta na odpust, przy okazji zacierają odwiedzić jedyńca.

Przyjęła ich służąca oświadczeniem, iż żadnej z pań nie ma w domu.

Woźny, ogorzały drab, z gębą, zapuszczoną kudłami, wygolonymi tylko na samym końcu brody, spojrział na żonę, ona na niego. Żadnej z pań?... a Salka?

— Panna Lusia — poprawiła sługa. — Właśnie pani i panna Lusia wyszły razem na spacer.

Woźnostwo spojrzeli na siebie powtórnie, zdumieni. Panna Lusia?...

Zainteresowany wielce woźny, począł sługę zwykłym trybem wypytywać: czy jej tu dobrze? jaka dla niej pani? pan czy młody, czy dobry?...

— Co za pan? — zapytała sługa.

— No wasz?

— Albo to my jednego pana mamy! — rozśmiała się. — I młodych i starych, jakich kto chce!... Ale dobrzy panowie, ani słowa, a najbardziej starzy...

Nie rozumiał tego na razie woźny ani jego żona, chociaż oboje pilnie słuchali, przypatrując się z znac

nem zajęciem mówiącej. "Jakto? aż tylu panów?!..." — pomyślał mąż i spytał:

— cóż to za panowie?

— No... nie rozumiecie to?... — z znaczącym

uśmiechem szepnęła służąca — kawalerowie, co przychodzą z miasta względem zabawy...

Wlepił oczy w mówiącą i spytał:

— Do której przychodzą?

— Teraz, to już do obu.

— Taaak?!... — zawołał przeciągle, marszcząc się. To twoja pani taka?!...

Po tych słowach dopiero służąca, zmiarkowawszy z ich tonu, że się wdała w niepotrzebne poufałości, zmierzyla go nagle i zapytała z góry:

— A niby któż pan jesteś taki?

— Kto ja taki?!... — nadziejąc czapkę na głowę z energią, powtórzył. — Poczekaj, zobaczysz wnet ty i twoja pani, kto ja taki!... Chodź stara!

I, pociągnawszy żonę, wyszedł popędliwie.

Ledwie znaleźli się za progiem, zatrzymał ją ręką i utkwivszy w jej twarzy osłupiałej swe pałające oczy, milcząc wskazał na świeżo opuszczone drzwi i głową potrząsnął. Potem pogroził gniewnie laską i zwolna, niezgrabnie, nie będąc przyzwyczajonymi do schodów, zaczęli zstępować na dół.

Ta trudna przeprawa pochłonęła całą ich uwagę, tak, że dopiero na ulicy woźny dał folę oburzeniu, nie szczędząc najsurowszych a bardzo brzydki brzmiących wyrazów dla napiętnowania haniebnego postępkę Pauliny, za który groził straszną pomstą.

— Ja miałbym darować takie paskudztwo, zrobione z dziewczyną?!... Oho! ze mną sprawa!

Wyszukali podręczną kawiarenkę, która ohydnyimi drzwiami i potwornie nabazgranym szyldem najwierniej przypominała im podobne zakłady rodzinnego miasta. Tu zaczęli się rozgrzewać jedną kawą po drugiej, dolewając obficie rumu.

Tutaj też, bijąc się w piersi pięścią i w stół nią, stukając, długim wywodem moralnoobyczajowym umacniał się woźny, przy potakujących skinieniach żoninej głowy w zamiarze srogiego odwetu za krzywdę, jakiej ofiarą padła Salka, On, sługa sądowy, zna się na takich sprawkach i wie, czem to pachnie.

Skoro silny i podniecający trunek buchnął obojgu do głowy, woźny znalazł się wnet w gotowości natychmiastowego poczynienia, pierwszych kroków a żona potakiwała mu stale. Poszli do Pauliny. Świeże powietrze ulic, potem spinanie się na schody, zamąciło im nieco w głowach i już ze zmniejszonym, ale jeszcze jakim takim animuszem wkroczyli oboje do kuchni. Rozgarniając na prawo i lewo duże jak wiechy wąsiska koloru piwa i spadające z obu stron twarzy szmaty urzędowych bokobrodów, myślał: co będzie, to będzie, ale wyrznię prawdę tak, że jej w pięty pójdzie!...

Zaledwie jednak znaleźli się w kuchni, na widok dwóch elegancko ubranych kobiet, z delikatnymi minami prawdziwych dam, energia w woźnym osłabła. Skoro się czegoś nie ma w zwyczaju, zdobyć się na to od razu trudno. Woźny zaś w całym swem życiu bardzo niewiele rozmawiał z damami a szorstko to już do żadnej nie odezwał się nigdy. U siebie w sądzie miał do czynienia tylko z chłopstwem, ekonomowe zaś, nawet przez

pół nie tak wspaniale, jak Paulina i Lusiu, już go onieśmiały.

Wiec zmięszął się i daremnie próbował naprzód wysunąć żonę, ponieważ ona tym samym manewrem chowała się za niego. Ze szczętem zapomnieli języka w gębie.

Kiedy Paulina, z łaskawym i dobrotliwym uśmiechem, odezwała się:

— A! twoi rodzice Lusiu!... Nareszcie przypomniałście nas sobie państwo!... — woźny doznał niespodzianie uczucia, podobnego do wyrzutów sumienia i wstydu, jakby z powodu zamierzonej niesprawiedliwości.

Paulina zaczęła tymczasem mówić wiele przyjaznych rzeczy, zdając się bardzo ucieszoną ich przybyciem, witając i wypytując o zdrowie żonę, którą poznała natychmiast i znalazła doskonale zachowaną od lat tyłu. A wyrzutem, iż się do nich wybrali w odwiedzinach tak późno, nadawała ton tak ciepły i obowiązujący, że podochoconą parę przepełniła wkrótce gwałtem narzucona przez to uprzejme przyjęcie unieżoność i przychylność.

Kiedy otwierając drzwi przed gośćmi, zaprosiła ich dalej, onieśmieliło ich to do reszty. Woźnowa czekała, co mąż uczyni, on zaś, na widok wzorzystym dywanem zasłanej posadzki, po której kazano im stąpać, doznał takiego mniej więcej uczucia, jak gdyby mu w zabłoconych butach wypadło wieść na świeżym obrusem zasłany stół.

W pokoju, umeblowanym bajecznie, czekały talerze z jadłem i napitek.

Widok smacznych potraw rozbija najtwardsze dusze tak się też stało z woźnym i we wszystkim naśladowaną go żoną.

Jedli, pili, oczy im błyszczały, usta sanie coraz częściej rozszerzały się do uśmiechu i zbierała gwałtowna żądza całowania hojnych rąk gospodyni oraz ambicya okazania się godnymi tak wysokiego stopnia przychylności. Z nieskończoną wiarą i zaufaniem słuchali z po za swych pełnych talerzy i szklanek wszystkiego, co Paulina opowiadała o przywiązaniu Lusi do siebie, o tem, że nigdzieby jej nie było lepiej niż tu, że największą przykrością dla nich obu byłoby rozłączenie — i tym podobne rzeczy, których sens napół nieprzytomnie, z trudem pochwycałszy, woźny uroczyście pospieszył uspokoić tajemne obawy Pauliny.

— Brać ją?... — mówił — a któżby też dziewczynie robił taką krzywdę!... I gdzie brać? do domu ? do nas?....

Wykrzywił się wzgardliwie.

— A cóż onaby robiła w tej dziurze!...

Lusia, stojąc zdaleka i z obawą przypatrując się tym biednym, zapracowanym ludziskom, którzy mieli być jej rodzicami, z obawą, aby nie zechcieli jej zabrać z sobą, — odetchnęła radośnie po tych słowach. Lecz na znak jakiś Pauliny wyszła do kuchni.

Teraz woźny, wzruszony do głębi, zdawał się walczyć z jakimiś, na usta cisnącemi mu się wyznaniem, z tą szczerością pijanego, w którego trunkiem napełniającem się wnętrzu zdaje się braknąć miejsca na skrytości i tajemnice — wreszcie zaczął poufnie, trzymając v ręce przygotowany do wychylenia kieliszek:

— Przyznam się pani, że w pierwszym momencie, jakem pomyślał, co się z dziewczyną dzieje, tom chciał odebrać... A jakże! nie zapieram się... Ale za serce —

serce. Tak teraz, widzący, jaka się z niej zrobiła panna — a któżby jej też los chciał zawiązywać!... Ona się tu wydać gotowa!... Ojoj! sam znałem takie. I jeszcze jedno: Kiedy ją matka obumierała, paniusiu kochana, i oddawała mnie i żonie Salcię w opiekę...

— Jakto?!... więc to nie wasza córka?...

— Nie, paniusiu droga, Boże uchwaj! sierotka!... — zostawiła jej wieprzka i krowę, a zakławszy nas na śmiertelnej pościeli, żebyśmy nie zapominali o sierocie, pada: "Weźcie ja, przytulcie, tyle jej, co mam, zostawiam, reszta w waszem sercu. Nim zeżre wieprzka, nim zeżre krowę, wyrośnie i odsłuży się wam..." Ale krowy i wieprzka nie na długo dobrodziejko starczyło, takeśmy z żoną uradzili dać gdzie dziewczkę, do kogo porządnego, bo u nas nędza... Łaska pani, że nie zmarniało biedactwo — a dziś matka rodzona, żeby ją wstawszy z grobu na ten przykład uwidziała, miała by tę pociechę, że dziecko na psy nie zeszło i człeka sumienie nie dręczy, moja pani, że... co mam mówić... dziewczuchę u siebie zabiedził i nieboszczce słowo złamał.

Tu zbliżył kieliszek do ust, zmęczonych tą przydługą opowieścią, i przymykając mgły pełne oczy, wypróżnił go jednym łykiem. Poczem, młasnawszy wargami, podniósł palec w górę, w ślad za nim brwi krzaczyste i zakończył z senną powagą pijanego:

— Bo najpierwsza rzecz ludzka, moja złota dobrodziejko jest: sumienie!!...

W tej chwili weszła Lusia z jedwabną chustką w jednej ręce a okazała fają w drugiej i nie pojmując dawanych przez Paulinę znaków, zbliżyła się z temi przedmiotami do starych

Było już za późno — więc Paulina, z znacznie obniżoną uprzejmością, przymusiła się wyrzec:

— To od Lusi.

Kwaśno obserwowała już teraz potężne wrażenie podarunków, rada pozbyć się gości jak najprędzej.

Wśród niezgrabnych ukłonów i podziękowań, bezbrześnie szczęśliwi, odeszli wreszcie woźnostwo, zataczając się i potykając na każdym kroku. Spieszno im było, bo mieli daleką drogę do miasteczka.

Po ich wyjściu Paulina ze skrzywieniem zawołała na służącą:

— Fe! tu trzeba przewietrzyć zaraz... Józiu! pootwierajno prędko okna i sprzątnij, bo jeszcze kto przyjdzie i tak zastanie. — A ty — zwróciła się do Lusi — mogłaś też była zrozumieć moje znaki i nie wchodzić z temi rzeczami.

Byłoby się dało chustkę służącej a fajkę stróżowi.

— Jakto? przecież to miało być dla...

— Dla twoich rodziców, ale ci starzy nie są nimi. Wygadali się. Niepotrzebnie sobie narobiłam wydatków.

Woźnostwo tymczasem, znalazłszy się za miastem, na zupełnie wolnym powietrzu, wśród woni pól i ciepłego przewiewu wiatru, uczyli potrzebę odpoczynku, zбочyli więc bardzo ciężąciami im nogami w dojrzałe zboża i tam się układli.

Nader przyjemnym było przebudzenie pod pociemniałym już niebem, na które wstępował niewyraźny jeszcze, niby własne widmo, księżyc. Miłą niespodzianką wydał im się widok otrzymanych podarków, o których przez sen zapomnieli, oraz wspomnienie przedniej uczty. Nie mogąc się odchwalić przebiegu wycieczki i przyjęcia, zbyli zaniebanie dla braku czasu praktyk odpustowych uwagą, że się to naprawi kiedyindziej.

Jedna tylko rzecz wytrzeźwionego woźnego przygniotła troska. Zwierzył się żonie:

— Nie trzeba było mówić, że Salka nie nasza.

— Czemu?

— A bo nam już od tego czasu nic do niej.

— Prawda. Po cóżeś się wygadał?...

— A bo ci mnie tem jadłem i piciem tak za gębę chwyciła, żebym jej był duszę z pod serca wyszeptał, nie dopiero co!...

Umilkli na chwilę pod wyrazistszem jeszcze niż przedtem wspomnieniem poczęstunku, wywołanem jego słowy.

Nakoniec, dźwigając się ociężale z posłania kłósów, z westchnieniem wyrzekł woźny:

— Po pańsku tam sobie żyją, po pańsku... Co stara?... Nie ma to jak dziewczusze!

KRZYK.

Nakoniec ustąpiła radczyńni złączonym prośbom tych dwojga rwących się do szczęścia dzieciaków i męża. Zgodziła się na odjazd natychmiastowy młodej pary, uznając, że noc, spędzona w sąsiedztwie huczącego zabawą mieszkania, nie dałaby nowożeńcom tak potrzebnego im odpoczynku przed udaniem się nazajutrz rano w podróż do rodziców pana młodego, której nie można było odkładać. Lepiej im będzie w wagonie.

Poczęli ją za to całować oboje jak szaleni, zięć wygniótł radcy boki, córka wytarła wąsy ojcu swoim delikatnym buziakiem a podczas kiedy stary dziewczynie troskliwie dopinał paltocik, z rozdawanych na wszystkie strony przez młodego męża pożegnalnych uścisków i całusów najczęściej dostawało się młodej żonce, którą zabierał z sobą. Nie pozwolili się oczywiście odprowadzać, odsyłając rodziców do gości, przed którymi odbyła się ta poślubna ucieczka w zupełnym sekrecie, skoro objad weselny, wbrew planom i rachubom, przedłużył się aż do wieczora.

Wyprowadzono ich więc do przedpokoju tylko, gdzie nastąpiło krótkie pożegnanie ze służbą, jeszcze jeden gorący uścisk z rodzicami, któremu przyświecała lampa z ręki radcy i łez pełne oczy obojga starych — i młoda parka frunęła na schody.

W pojeździe dwoje upojonych szaleńców pogrążyło się teraz w potopie pieszczot tak wezbranym, jak fale potoku, co przedarł tamę z wiosną.

Należeli więc do siebie! na zawsze!...

Na myśl, że oddaną jest teraz zupełnie jego mocy, topniała w rozkosznym omdleniu — jego zaś pochłaniał bliski wybuch ogień namiętności a zarazem łagodziła bezgraniczna czułość.

Otoczona jego ramieniem, upojona szczęściem, wpośród turkotu pojazdu i blasku wpadającego co chwila to z prawej to z lewej strony światła latarni ulicznych, patrząc na wymijane szeregi domów, zdające się przesuwać przed nimi w pożegnalnej defiladzie, doznawała pełnego błogości uczucia, jak gdyby w tej brzęczącej skrzyni o małych spoconych szybkach uwozili z sobą i dla siebie wszystko szczęście całego miasta...

Naraz, w rynku, ujrzawszy parę wysoko, jakby w powietrzu zawieszonych kwadratów pomarańczowego światła, przetarła dłonią w rękawiczkę obleconą wilgotne okienko i odezwała się do męża:

— Popatrz no Stasiu, u Ludwików się jeszcze świeci. Te dwa okna na drugim piętrze... widzisz?...

— Widzę. Więc to tu mieszkają?..

Dotykając ręką jego twarzy, wznowiła z tą czułością, w którą kochankowie oblekają najbliższe prośby.

— Gdybyśmy tak wstąpili do nich na dwa słowa? Dobrze?... To moja najlepsza przyjaciółka... Nie była na

ślubie, nie pożegnałyśmy się nawet. Jej by to sprawiło taką radość...

— Ale czy nie zapóźno Maniu na wizytę?..

— Przecież to kuzynka! nie obrazi się!... Poświęćmy im parę minut, mój mężusiu!

Mężus przystał z uśmiechem, rozumiejąc i dzieląc tę pohoć nadmiernie szczęśliwych do chwalenia się przed całym światem z swem szczęściem, rozsypywania uśmiechów, uścisków, pocałunków, których namiętnym pragnieniem dusza wzbiera...

Wysiedli przed domem Ludwików i ona pierwsza wpadła w bramę a potem na schody.

On, zetknąwszy się niespodzianie z przechodzącym znajomym, musiał zatrzymać się na chwilo dla wysłuchania życzeń, poczem podążył za nią i odszukał bez trudu drzwi z kartą Ludwików na drugim piętrze.

Były uchylone, wstąpił w nie.

Lecz w przedpokoju zaraz, jako zapowiedź czegoś niezwykłego, owiał go zapach karbolu i jakaś kobieta w białym fartuchu, z naczyniem, buchającym parą wody grzanej w rękach, wyprzedzając go, zagroziła mu w pierwszej chwili wstęp do mieszkania, w którym uderzył go osłupiały wyraz twarzy jego młodziutkiej żony, stojącej na środku pokoju przed matką pani Ludwikowej, strapioną bardzo.

Nim je zapytał, co to znaczy, nim się domyślił — wyleciał naraz z drugiego pokoju stłumiony zrazu a rosnący jęk, i rozdarł mu uszy przejmującym okrzykiem bólu kobiety. Równocześnie, jakby wypchnięty tym krzykiem, ukazał się we drzwiach wystraszony mężczyzna, i nie zważając na przybyłych, gorączkowo przywołał staruszkę:

— Mamo! na miłość boską, prędko!...

Powstał ruch, zamieszanie, zaczęto wchodzić i wychodzić z tego drugiego pokoju, ukazał się lekarz, przepasany białym płótnem, sięgającym mu aż na piersi, i wydawał szybkie rozporządzenia, które w lot spełniano, stąpając cicho, z pośpiechem.

Gospodarz, nie przywitawszy wcale gości, otarł spocone czoło i zrobił ruch głową, podobny do otrząsania się z jakiegoś nieznośnego brzemienia, poczem na pół do siebie rozpaczliwie wyszeptał:

— O Boże! Boże!...

I wyszedł za innymi, zostawiając ich samych.

Tylko stamtąd, z po za tych drzwi wółprzymkniętych, wpośród błagalnych prób i przekładali, łagodnie i troskliwie wypowiedanych kilku głosami, raz po raz zaczął teraz wylatywać w powietrze jak raca przeraźliwy, dreszczem i litością przejmujący krzyk kobiety rodzącej, który niby zgrzyt fałszywy i ostry, rozdzierał brutalnie błogą i słodką harmonię, jaka napelniała dusze dwojga nowożeńców.

Naraz mężczyzna, napotkawszy źrenice swej młodej żony, z wzruszeniem i lękiem utkwione w te drzwi tajemnicze, ochłonął w jednej chwili i chwytając ją za rękę, uprowadził co prędzej z tego miejsca cierpień, w którym znaleźli się tak nie w porę..

Oszołomieni, zbiegli na dół, jakby uciekając, wsiedli spiesznie do doróżki i pojechali w milczeniu, wracając myślami do opuszczonego co tylko miejsca — a wspomnienie strasznego krzyku męczzonej przez naturę kobiety nie pozwalało im odzyskać dawnego nastroju.

Rozdrażniony, pełen niesmaku, wyrzucał sobie w duchu, że mógł zapomnieć o powodach, dla których kuzynka, młoda mężatka, nie wzięła udziału w ich zaślubinach...

Wtem usłyszał ciche szlochanie. Żdziwiony, objął żonę co prędzej i spytał z niepokojeni:

— Maniu! dziecko! czego ty płaczesz?...

— Ach Boże! — wyłkała z twarzyczki] łzami zalaną — czyż mogę... nie płakać?... To takie smutne... biedna Zosia!... nieszczęśliwi ludzie!..

— Jakto? — szepnął czule — nie rozumiem cię aniółku...

— Przecież to jasne — chociaż tak... okropne!.. Czyż nie słyszałeś?... Ależ ona... ona umrze!...

I zanosła się od płaczu, on zaś, rozsunawszy się szczerze, przytulił ją do siebie jak dziecię, i zaczął przekładać zwolna, łagodnie, pobłaźliwie:

— Cóż znowu!... Co ci się zdaje!... Skąd nawet takie przypuszczenia!...

— Słyszałeś przecież!... — odparła z łkaniem — Takie męki!... Czyż można wyjść z takich rzeczy!... A jak oni wszyscy wyglądali!... O Boże! ja... ja ci mówię... Ja mam niedobre przeczucia... Ona umrze!...

— Ale nie bądźno dzieckiem i nie przesadzaj... Po co by zaraz miała umierać!...

— Więc masz jaką nadzieję? powiedz!...

— Naturalnie, że mam... Nawet pewność. Wszakże tyle kobiet przez to przechodzi, a mimo to żyją.

— Więc i inne... tak samo?..

Zawahał się z odpowiedzią. Brakło mu wyrazów, nie wiedział, jak jej objaśnić to, o czym widocznie za

dnych lub bardzo niedostateczne miała wiadomości, do czego zbliżyła się po raz pierwszy w życiu, co ją wstrząsnęło i zaniepokoiło do głębi.

— No tak... rozumie się — odrzekł wymijająco. Ona zaś, wielce zajęta, gorączkowo pytała:

— Wszystkie?

— Mniej więcej — wymusił na sobie raz jeszcze, niekontent z podobnej rozmowy i aby pieszczotą ukoić jej obawy, całując jej wilgotne od łez policzki, wesoło dodał:

— Nie myślałem doprawdy, Maniuchna, że z ciebie taki dzieciak jeszcze. Powiadam ci: bądź zupełnie spokojną o Zosię, nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo.

Przybyli na dworzec.

Kupno biletów, staranie się o przedział, ruch podróźnych, służby i rozwożonych na wózkach bagaży, cały ten harmider pracy i pośpiechu, poprzedzający wyruszenie pociągu, rozerwał ich, a ponieważ było już po drugim dzwonku, zajęli więc wskazany wagon i usiadłszy naprzeciw siebie, trzymając się za ręce, zadowoleni, że się nareszcie znajdują u celu, patrzyli na peron.

Naraz zabrzmiały sygnały, wagon drgnął niby człowiek ukłuty szpilką, rozległ się stuk uderzających o siebie buforów, syk pary w oddali i cała ta wielka platforma dworca, pełna ludzi, rzeczy i światła, poczęła się usuwać z przed ich oczu coraz szybciej nakształt olbrzymiej ruchomej sceny — poczem w jednej chwili okienka wagonu pociemniały, znalazłszy się wobec grubego mroku nocy, który zaczerniał niebo i ziemię.

— Coraz częstsze uderzenia kół o spojenia szyn, coraz głośniejszy szum i dudnienie rozpędzającego się

pociągu — wreszcie łańcuch klatek, napełnionych ludźmi, pomknął gołęmbim lotem w dal. Znikło im już z oczu miasto z oznaczającymi je, coraz rzadszemi światełkami, nie było już nic widać zewnątrz okien. Wtem dostrzegli oboje w szybach odbite wewnątrz przedziału, a w niem siedzących naprzeciw siebie mężczyznę i kobietę, ją i jego, z drugiej strony coupe to samo. Spojrzawszy na siebie, uśmiechnęli się i ucałowali, a tamte dwie pary uczyniły to także. Wtedy Stanisław rzekł wesoło:
— Trzeba zasłoni okna, będziemy bardziej sami. I oboje, on z pośpiechem z jednej strony, ona drżąc po drugiej, skrzętnie poczęli zapuszczać firanki. Już wszystko było gotowe, kiedy ich wstrząsnął trzask otwieranego zamku, poczem z podmuchem zimna ukazał się w drzwiach konduktor, aby poznać bilet. Rumiany, tęgi, brodaty mężczyzna, w mundurze obwieszonym trąbkami i gwizdkami, ogarnąwszy ich oczyma, już, kiedy w drzwiach miał zniknąć, rzekł z ukłonem:
— Dobranoc państwu. Staniemy na miejscu o piątej. Po tem tak pożądanem zapewnieniu samotności na noc całą, młody mąż, zauważywszy, że kobietka zapłonila się, nie dając jej ochłonąć ze wzruszenia, przysiadł się do niej i łakomie począł obcałowywać każdy kawałeczek jej ciała, nie zasłonięty suknią, twarz, włosy, ręce, chętnie wracając ustami po raz wtóry i trzeci na te same miejsca i szepcząc gorące wyznania miłości bez granic. Wtem spostrzegł w wyrazie jej twarzy coś, co zdawało się ją niepokoić, mącić i odciągać jej myśli

wbrew woli gdzieindziej, do czego innego... więc w połowie pieszczot zapytał:

— Co tobie maleńka?

Cała w łunie i z uśmiechem nieszczerym, który nie zdołał pokryć jej roztargnienia, szepnęła:

— Nic... nie...

— Dlaczego mi nie chcesz powiedzieć? Milczała chwile, nakoniec przytulając się do niego, nieśmiało, jak gdyby wypowiadała cześć tylko swych myśli, odważyła się wyznać:

— Widzisz... boję się... tak się boję... o Zosię!...

— Co, jeszcze?!... mówiłem ci przecież..

— No tak... ale przynasz, że zdarzają się wypadki...

— Niezawodnie, że się zdarzają, ale czyż warto myśleć o nich. Na kolejach zdarzają się przecież także katastrofy, a jednak tysiące ludzi jeżdżą nimi i wychodzą cało. Zresztą...

Chciał jej powiedzieć coś jeszcze, coś takiego, coby ją uspokoiło do reszty, w zupełności rozwiła jej obawy w tym niemiłym przedmiocie, tak dla nich drażliwym w tej właśnie chwili. Gdy naraz, dziwnym odruchem nerwów zaświdrował mu w uszach ów odgłos rozdzierający, bolesny, który był sprawcą wszystkiego i ujrzał się jakby przeniesionym do pełnego nieładu i trwogi mieszkania młodego małżeństwa, wpośród tych nieprzytomnych ludzi, pod owe drzwi, po za którymi jęczała położnica... I doznał uczucia, jak gdyby komuś zasiadającemu do smacznej uczyty stawiono naraz przed oczy szczegółowy obraz procesu trawienia. A pojawiwszy, jak ją dopiero, jak jej wyobraźnię kobiecą, jej półdziecięcą, nieświadomość zasepiać i przerażać musi to wspo

mnienie szpitalne, Uczuwszy, że ten natrętny intruz całą noc wkładać się będzie między nich i zatruwać im chwile tak uroczne, zniecierpliwiony sarknął:

— A! nie przebaczę sobie nigdy tej niewczesnej wizyty...

— To ja winnam — szepnęła kobietka potulnie.

— Nie, to ja winienem.

PULARES.

Maciej Puchta, zamożny majster murarski, ojciec dwóch żonatych synów i jednej córki, wdowy, sam owdowiały od lat wielu, postanowił nakoniec po trzydziestu kilku latach pracy wycofać się z rzemiosła, sprzedać realność, na której osiadł, a uzyskaną sumę podzielić między swe dorosłe, własne już gniazda mające dzieci.

Napierały one oddawna o to na staro. Walka o pieniądze, ten cudotwórczy talizman szczęścia, toczyła się w rodzinie od lat kilku — w ciągu których młode pokolenie starało się zwolna na swą korzyść wywłaszczyć starca z majątku.

Egoistyczne swe cele zaś osłaniano miana dbałością o jego domagający się zasłużonego spoczynku wiek i względami na opinię, która ich pomawiać gotowa, że staro ojca zmuszają, aby bez wytchnienia gromadził majątek, dzieciom w przyszłości przeznaczony.

Nie mógł się jednak zdecydować, wstrzymywany trochę niedowierzaniem, czy dzieci będą umiały roztropnie użyć pieniędzy, głównie jednak przez nałóg starości

do wszystkiego, co stanowi życie przeszłe, przez przywiązanie do grosza, własną ciułego pracą, przez obawę zmian. Myśl o tem, aby miał skazać na bezczynność swe spracowane ręce, przerażała go, jakby była zapowiedzią ostatecznego niedołęstwa i rychłej już śmierci.

Całe jego życie dotąd składało się z tych nieustannych narad z architektami, targów z dostawcami, instrukcyi i kontrolowania podmajstrzych, z tego wznoszenia własnym dozorem świeżych, nigdy przedtem niezamieszkałych murów, przeznaczonych na siedziby ludzkie, które stwarzał, tchnąc w nie niejako siłę i życie, w trwałe i piękne oblekając je kształty. W przymusowem próżnowaniu zim rady sobie nie mógł dać poprostu bez tego wszystkiego, a z zawitaniem wiosny odradzał się, zdawało mu się, iż żyć zaczyna, tak się zrosł duszą całą z swym zawodem, tak nie mógł bez niego się obejść. Nieustanne stąpanie po skrzypiących deskach rusztowań, przykładanie metra i kontrwagi. do mokrej jeszcze ściany widok czerwonych stosów cegieł, kup piasku i buchających mleczną parą dołów gaszonego wapna, nawoływanie werkfirerów. bieżanina chłopców, stuk młotków, skrobanie kielni i to jakby kierunek pracy i ochotę do wytrwałości nakazujące skinienie sterczących ku niebu pali rusztowań — wszystko to niespożyty miało dla

starego murarza urok. A jakże miłym był po tych z każdą wiosną podejmowanych na nowo trudach i znojach całego lata, oczekujący na wstępie zimy spoczynek, w zadowoleniu sumiennie dokonanej pracy i ubezpieczającym przyszłość, zdającym się ją uprawniać i przedłużać powiększaniu się zasobów.

I naraz miał opuścić to mrowisko, w którym przeżył swe nadzieje, rozkosze i zawody, w którym do dzisiaj tyle znaczył, a które odtąd miało się bez niego obejść i zapomnieć o nim, jak gdyby już nie żył?...

Ale przeżyta ostatniej zimy choroba i wywołana nią niemoc, szczególnie zaś zdradliwe starania, jakimi otoczyły go teraz dzieci, zachwiały go, podsycając w nim poczynający się ferment duszy i ciała, w których wygasa energia samodzielnej pracy dla siebie, ustępując miejsca wzrastającej w starcu potrzebie spoczynku, pomagania drugim do szczęścia, zagrzewania się odblaskiem cudzej radości, otaczania się kochającymi i wdzięcznymi sercami.

Postanowił więc wreszcie oddać majątek dzieciom.

Dzisiaj załatwione zostały ostateczne formalności sprzedaży kamienicy i w tej chwili, wieczorem, rodzina cała zebrała się w domu młodszego z synów, Józefa, murarza jak ojciec, który przy nim mieszkał.

W czysto uprzątniętym mieszkaniu zapalono lampę. Honorata, wdowa, córka Puchty, heródbaba o krwistej cerze i ruchach mężczyzny, o której przebąkiwano, że popija i wdaje się z pewnym żonatym kotlarzem w tajemne stosunki, typ kłótlivej i chciwej kramarki, żyjącej z małego, źle idącego sklepiku z wiktuałami, przybyła tu z najmłodszą córeczką, ponieważ stary lubił dzieci.

Okrywszy stół świeżym białym obrusem, pobrzękiwała garściami noży i widelców wraz z Janową, żoną starszego z braci, kobietą pospolitej, nie niemówiącej powierzchowności, właściwej szaremu gminowi miejskiemu. Rozstawiały obie na stole talerze, dokoła których zgromadzona familia miała niebawem zachwycić ojca obrazkiem harmonii i ciepła rodzinnego i do największej szczodroblewości pobudzić.

Gospodyni domu, Józefowa, zbliżonego do żony Jana typu, zapracowane ograniczone, nie złe w gruncie kobiecisko, przybiegała tutaj raz po raz z szumem spódnic, z dźwiękiem zawieszonych u pasa przy świeżym fartuchu kluczyków. Rozgorączkowana pracą w kuchni, spocona od pary, bijącej z rondli, paśowa od wystawiania się na żar rozpalonych blach pieca, miała minę, osoby bardzo zafrasowanej, zgryzionej niemal, a zarazem przyjemnie upojonej efektywnością swej pracowitej krętaniny. Za każdym wejściem przynosiła w sukniach woń pieczonej gęsi, ulubionej potrawy starego, której w tych ogólnych przygotowaniach do chwycenia go za serce nie ostatnie przypadło miejsce.

Tymczasem chłopcy Józefa, trzech małych wisusów, z trudem zachowujących dnia tego wyjątkowo czyste twarze i ręce i ledwo obracających szyjami w obroży twardo wykrochmalonych, czystych kołnierzy u koszul, zgromadzali dokoła stołu krzesła, zamieniając ukradkiem kułaki. Z kąta zaś usadzona na krześle dla bezpieczeństwa w ogólnym zamęcie, mała, czteroletnia Cesia Honoraty wodziła pełnym podziwu wzrokiem dziecięcej wrażliwości po tych nieznanym chłopakach i po tem obcym sobie mieszkaniu. Nakoniec Jan i Józef Puchtowie, starszy, szklarz, skwaśniały w kłopotach ojciec siedmiorga dzieci, młodszy, zadzierający trochę nosa z powodu, względów, jakie miał u ojca i uważania, odziedziczonego po nim w kołach murarzy, poważnie stali na boku, siląc się na braterską gawędkę, do której

nie bardzo nawykli, a jednocześnie z biciem serca nasłuchując ku drzwiom, czy nie doleci ich stamtąd stuk ojcowskiego obuwia.

Wspólny interes nadawał pozór harmonii temu rodzeństwu, które aż dotąd podejrzania, zazdrość i niechęć, wywołana drobnymi wypadkami codziennych stosunków, trzymały w dawnej rozterce, jeszcze z czasów ubiegania się o rządy w pozbawionym gospodyni domu. Ojciec bowiem, ciągle zajęty, zjawiał się tu tylko na chwilę, aby krzyknąć na widok zawsze świeżych kłótni: "zgoda! zgoda bestyje! bo na psy zejdziecie!..." Dzieci zaś, zostawione samym sobie, nie dozorowane przez nikogo, opanowywała stopniowo i psuła nadzieja i żądza gromadzonych przez starego pieniędzy, które stawały się zarazem jedynym łącznikiem rozprzężonych węzłów rodzinnych.

Czekali teraz niecierpliwie, w nastroju uroczystej gorączki, jaka poprzedza bardzo radosne wypadki, budząc lub stwarzając przelotnie w głębi duszy jakieś lepsze instynkta, napełniając serca obcą im dobrocią, oblekając w niespodzianą poczciwość twarze, niecąc zabobonną chęć zasłużenia na wielkie i upragnione szczęście chwilowem udoskonaleniem swej istoty, potępieniem swych grzechów, jak najlepszymi na przyszłość zamiarami. Pod despotycznym naciskiem upragnionego woru ojcowskich pieniędzy chyliły się ich harde karki i dusze samolubne, kurczyła się w nich i kryła lęklonie cała największa, zła część ich istoty, zdając sztucznie przybranej, uśmiechniętej czule masce nagle zbudzonych uczuć rodzinnych pracę przyjęcia pożądaney chwili tak, aby jak najobfitsze wydobyć z niej owoce.

Nakoniec dreszczyk radosny przeszedł wszystkich na odgłos szmeru nóg, wycieranych w słomiankę przed Progiem, zaskrzypiały zawiasy i stary Puchta, czerwony, potem oblany ze zmęczenia, zasapany trochę po prze

byciu schodów, ukazał się w szeroko roztwartych drzwiach mieszkania, ku którym spojrzano naraz zewsząd.

— Wszyscyście są? — zapytał od progu tubalnym, okrzykami na wolnem powietrzu wyrobionym głosem — to dobrze, przyniosłem wam cosik.

I mrugnął oczyma znacząco, z filuteryą, aż serca zabiły zebrany miłością dla staruszka, który nigdy nie wydał im się równie miłym i droгим, jak po tych słowach. Bo to "cosik" oznaczało od dawna wiadomą, przerachowaną, należycie ocenioną w ich myślach sumę trzydziestu tysięcy guldenów. Ona to weszła wraz z starym, ją to mieli za chwilę ujrzeć, dotknąć i posiadać, na zawsze.

Rzucono sio co prędzej, aby mu odebrać łaskę, kapelusze, poczem zaczęło się całowanie rąk przez starszych i przez dzieci, nadzwyczaj czule. Ale Puchta zajął się wyłącznie maleństwem w spódniczce, które z piąstką w buzi i z wylękłemi oczkami, schowane w fałdach matczynej sukni dojrzał. Wyłowił je delikatnie i zaczął całować i pieścić ku wielkiemu zadowoleniu Honoraty. Obaj bracia patrzyli na to wszakże z pewną niecierpliwością, znajdując te karesy z bębnem niestosownemi w tak uroczystej chwili.

Na szczęście ukazanie się gospodyni, z gęsią na półmisku, położyło temu koniec. — Puchta posadził wnuczkę na krzesło, obok stołu i kazał innym również pozajmować miejsca

— Siadać dzieci, siadać. Ja tu zaraz wrócę — a żebym zastał ruszające gęby co do jednej, pamiętajcie. Rozśmiano się z konceptu, jak wypadalo, Józef zaś, sięgając po flaszę, zapytał ojca, czy będzie pił wódkę.

— Nie, piłem w mieście. Wody się napiję, bom okrutnie spragniony.

Po tych słowach ogarnął raz jeszcze oczyma ten wieniec twarzy różnego wieku, wszystkie należące do niego, wszystkie z jego krwi i ciała — i szczerze, uczciwe zadowolenie człowieka, który miał sprawić za chwilę drugim wiele uciechy, po ojcowsku radością ich napełnić, oblokło jego twarz wyrazem ciepła i rozrzewnienia. Poczem zniknął za drzwiami przyległego pokoju.

Starsi spełnili teraz kolejkę, ogólną zaś wesołość wywołał grymas wstrętu, z jakim mała Cesia odwróciła główkę od podsunętego jej żartem próżnego kieliszka. Tymczasem gęś, szybko rozczłonkowana ręką gospodyni, zapełniła talerze, a najpierw dziadowski, gdzie przed oczekującym go poważnie fotelom, na honorowym miejscu, umieszczony został najsmaczniejszy kawałek.

Wśród ciszy pierwszych, silnych wrażeń zaspakajania głodu, przerywanych tylko brzękiem noży i widelców oraz pochwałami dla gospodyni, nagle zwrócił uwagę wszystkich i zawiesił na chwilę pracę szczęk głuchy, tępy odgłos, jaki rozległ się w sąsiednim pokoju, a któremu towarzyszył ostry dźwięk rozbitego szkła.

Józefowa. zerwawszy się z krzesła, poskoczyła ku drzwiom, lecz rozwarłszy je, cofnęła się natychmiast i zawołała do męża:

— Jezus Marya!... ojcu się coś stało.

Porwano się. z miejsc, mężczyźni wpadli co żywo do drugiego pokoju.

Twarzą naprzód, obok szczątków rozbitej szklanki, leżał ojciec nieruchomo na podłodze.

Podjęli zaraz bezwładnego starca, aby go złożyć na łóżku i ujrzeli twarz martwą, granatową od przy

plywu krwi. Powstał popłoch, spotęgowany krzykiem wciskających się przez próg dzieci, przed którymi matki zamknęły drzwi. Wśród łamania rąk i lamentów minęło pierwsze osłupienie przestrawu, pierwsze domysły ogłuszonych niespodziewanym a strasznym wypadkiem, bieganina za środkami do trzeźwienia, za cyrulikiem i lekarzem.

Nakoniec po godzinie, która spłynęła na tem gorączkowym zajęciu się martwym, niedającym się już do życia przywołać ciałem, wyczerpawszy wszelkie środki ratunku, pozostali sami wobec tkniętego apopleksją starca. Wówczas to Honorata, najwięcej ze wszystkich panująca nad sobą w ogólnem przerażeniu i żalu, wygłosiła po jakiejś dłuższej chwili ciszy:

— Nie mamy już ojca!

Fakt ten, określony tak wyraźnie i uroczyście, wywołał w nich naraz jakieś bolesne uczucie osamotnienia, dobył zatarte życiom przypomnienie ich stosunku dzieci do zmarłego, uczucie słabości, bezradności i rozsypki wobec ubytku człowieka, który dotąd stał nad nimi, był ich głową, łącznikiem, doradcą, opiekunem — ojcem. Kobiety podniosły chustki ku twarzom — obaj synowie uczyli także łzy w oczach.

Milczenie jednak szybko wyczerpało niebogaty zasób wzruszeń tych ludzi prostych i wystygłych i po kilku urywkowych uwagach na temat doli ludzkiej odzyskali zwykły swój nastrój.

Należało zostawić ciało i odejść.

Gdy jednak nikt jakoś nie umiał się na ten krok zdobyć, Honorata ujrzała się zmuszoną zabrać głos w tej sprawie, głębokim westchnieniem poprzedzając słowa:

— Żal żalem, ale nie mamy tu już co robić. Nie ożywimy już ojca...

Nikt nie ruszył się z miejsca. Wyrzekła tedy znowu, ciszej nieco:

— Jakże będzie?

— Z czym? — bąknął Józef.

— Przecież wiecie — odparła — ojciec miał pieniądze...

Bracia spojrzeli po sobie nieznacznie, trochę zmieszani, nie wiedząc, jak postąpić i niecierpliwiąc ją, swemi niezdecydowanymi minami. Józef zdawał to w duchu na Jana, jako starszego brata — Jan sądził, że przykry obowiązek przypada Józefowi, jako gospodarzowi domu.

— Jasiu, — ponowiła siostra po chwili przykrego milczenia — to należy do ciebie, boś ty najstarszy.

Jan skrzywił się. Nie znajdował w swem sercu wymówki a mimo to obowiązek sięgania do ojcowskiej kieszeni w tej chwili wprawiał go w kłopot. Spojrzał ukradkiem w stronę łóżka. Wreszcie, skoro wszyscy przywtórzili słowom Honoraty głowami, postąpił zwolna, z rodzajem trwogi wyciągając rękę, jak ktoś, co się lęka, aby go za nią nie schwycono.

Drżącymi palcami rozpiął surdut na piersi starca i wsunął dłoń. Oczy wszystkich towarzyszyły tej czynności, on zaś, sądząc, że nie trafił, gdzie należy, nachylił się i powtórnie sięgnął do kieszeni, potem do innych. Następnie stanął na chwilę nieruchomo, rozglądając się po pościeli — wreszcie oświadczył z pewnem wahaniem:

— Nie wiem... ale zdaje mi się, że nie ma... Honorata, zniecierpliwiona już poprzednio jego powolnością, wybuchnęła z oburzeniem:

— Cóż ty znowu pleciesz!

I odsunawszy go porywczo od łóżka, powtórzyła gorączkowo wędrowkę rąk po odzieży starca, wykonaną poprzednio dyskretniej przez mężczyznę.

— Cóż to znaczy? — wyrzekła zaniepokojona, nic nie znalazłszy, — przecież ojciec nosił zawsze pulares tu, w tej kieszeni...

— Miał go i dzisiaj. Nawet na wychodnem, wyrzucając z niego jakieś szpargały, żartował, że potrzebuje dużo miejsca

— objaśniła Józefowa, a mąż jej dodał:

— Oczywiście na te pieniądze.

— Więc cóż się z pularesem stało?! — zawołała Honorata, przechodząc badawczym wzrokiem wszystkie twarze, a potem zwracając go z rozdrażnieniem w stronę trupa, jak gdyby żądała od niego rachunku, co zrobił z pieniędzmi, których część jej się należy.

Przez chwilę wszyscy stali wstrząśnięci, gubiąc się w zatrwających domysłach.

Aż Józef, którego stary najwięcej lubił, z ruchem, jakby wyrzutu niedołęstwa bratu i siostrze, ponieważ poszukiwania ich nie odniosły skutku, odezwał się:

— Ale bo potrzeba jak się należy poszukać... Przecież ich nie zgubił!

Cóż znowu! na tę myśl, tak śmiało ujęta, oburzyli się wszyscy, jak na coś wręcz niemożliwego a najpotworniejszego w świecie.

Józef zaś z pewną biegłością, nabytą przez obserwację poprzednich prób, wziął się do dzieła, zdejmując z ojca każdą sztukę ubrania, którą za jego przykładem kolejno przetrząsali wszyscy. Nakoniec zadyszany i spo-

cony, po przeszukaniu pościeli nawet i łóżka, w desperacki sposób rozłożył ramiona i mruknął:

— Nie ma!

Zapanowała cisza, wśród której zimno przejęło obecnych.

— Ależ ludzie! czy wy rozumiecie, co tutaj znaczy: nie ma?!... Trzydzieści tysięcy, na rany boskie! cały nasz majątek!

— zawołała potrząsając wzniesionymi rękoma Honorata i obejrząwszy się po wszystkich, dodała:

— Może go tutaj gdzie schował?... — to cudze mieszkanie bowiem wydało jej się naraz pełnym skrytek.

Rzucono się do poszukiwań. Przetrażnięto cały pokój, każdy sprzęt ruszono z miejsca, obejrzano, niemal rozebrano na kawałki.

Honorata pukała w grube nogi stołu, przypuszczając, że mogą być wydrążone, zaglądała za lustro i obrazy, a równocześnie ściagała wzrokiem ruchy każdej z osób, każdy krok śledziła, każde spostrzeżenie musiała sprawdzić.

W przeciągu półtorej godziny przeszukano niewielki pokój tak gruntownie, że znalazłoby w nim grosz, a cóż dopiero gruby, duży pulares majstra murarskiego, rodzaj przenośnej kasy, pełnej zawsze pieniędzy i dokumentów, będącej imponującą reklamą rozgałęzionych interesów właściciela. Nic nie znaleźli.

Kiedy o północy przyszło im opuścić to miejsce, len przybytek zmarłego, który był może zarazem grobem ich przyszłości, rozpacz, ogarniająca ich na myśl o utracie tysiącem już planów zrosłych z ich marzeniami sum, które niepojęty wypadek porwał im nagle, krał, rabował, przerodziła się w głuchą, bezsilną wściekłość,

lękliwie omijającą tego, który zdawał się wołać o nią, dopominać, bo na nią zasłużył, będąc sprawcą wszystkiego, on, co swym martwym spokojem i obojętnością urągał ich rozpaczy...

Odeszli wreszcie, z myślami, pełnymi niewypowiedzianych oskarżeń, na które nie było dlań usprawiedliwienia w ich oczach, które wykluczały go na zawsze z ich uczuć, na zawsze stawiały pod pręgierzem ich zarzutów. Skrzywdził, ograbił, unieszczęśliwił swoje dzieci!...

W jadalni, gdzie zaczął się ten wieczór nieszczęsny, zapowiadający się zrazu tak pomyślnie, ujrzeni stół z niedokończoną wieczerzą, a na nim, obok swoich do pół wypróżnionych talerzy, nietknięte nakrycie ojca i nienapoczętą jego część pieczystego przed krzesłem, zdajacem się, jak przez drwiny, dotąd jeszcze oczekiwać starego, podobnie jak oni cztery godziny temu nań czekali.

Honorata, w której się gotowało, trąciła pusty fotel w przechodzie, zaciskając zęby, aby nie zelżyć, martwego sprzętu słowami, które cisnęły się jej na usta: "na kogo ty czekasz? na kogo? — ten stary już zimny!..."

Nie myślano ani o spożywaniu wystygłych potraw, ani o dzieciach, które w ubraniu, wpół siedząc, na krzesłach pozasypiały. Ponura cisza wśród widoku pochmurnych twarzy potęgowała ogólne przygnębienie i zgryzotę. Wtem Józef, zapatrzony przed siebie, szepnął w odpowiedzi swym myślom:

— Nie ma co... musiał zgubić po drodze..

W jednej chwili wywiodło to przypuszczenie ich ożywione nagle myśli za dom, na drogę, którą przebył, idąc tu, na wszystko, co mógł robić przed powrotem.

— A gdyby tak pójść szukać? — prostując się, gotów do drogi, odezwał się Jan.

Honorata wyśmiała opryskliwie niedorzeczny pomysł. Szukać! Teraz? pociemku?... Kto miał znaleźć, znalazł dawno, nim lampy pogaszono.

Zaczęto teraz surowo potępiać ojca za to, że sam załatwiał interes takiej wagi, za skrytość, za ten kieliszek wódki, który pił po drodze, kto wie czy jeden, kto wie z kim i gdzie. Wyrażano się o nim ostro, jak o słudze niemal, który zawiódł ufność chlebobawców. Wyrwały się nawet z ust klątwy, bez objaśnienia, bo było zbyt cichym, do kogo się odnoszą.

— Wszystko to bardzo ładnie, ale pieniędzy nie ma! — wybuchnęła po dłuższym milczeniu zachmurzona. Honorata, aby przerwać bezpożyteczne utyskiwania. Doprowadzała ją bowiem do wściekłości myśl o niezmiernej. stracie i o tem, że nikt nie znajduje rady na tę klęskę, która za każdym wspomnieniem bardziej pęczniejąc, coraz potworniejszą się stawała, coraz mniej w głowach chciała się mieścić tym prostym obrazem: było — nie ma, nie ma raz na zawsze! Byliby do białego dnia siedzieli, gdyby dogasająca lampa nie przypomniała Janowej na opiece sługi pozostawionego domu i dzieci.

— Czasby to już do domu — szepnęła. Gospodarz widząc, że oboje podnoszą się, zaproponował, aby dla spóźnionej pory zostali.

Lecz zanim odrzekli cokolwiek, Honorata odezwała się:

— Ja tam nie myślę tłuc się z Cešką po nocy na drugi koniec miasta — i wzięła się do rozbierania małej, aby ją do snu ułożyć.

Jan, nie zachęcany ponownie, zaczął się wybierać z żoną bez pośpiechu, zatrzymywany nieokreślonymi obawami. Znalazłszy się na ulicy, pod żalobnie czarnym niebem, z spotęgowaną zgryzotą pomyślał, z czym powracają, a z czym wracać mieli do domu. Pustka, ciemność i zimno ulic, na których echo powtarzało ich kroki, przejęły ich takim wrażeniem, jak gdyby byli nędzaczami bez noclegu, których od jutra czeka żebranina, wygnanymi z pod dachu, z ciepłych izb, wyzutymi z dostatków.

Wtem schylił się, a żona, spostrzegłszy ten ruch, zadrżała. Lecz rzucił napowrót, ze złością, podjęty przedmiot. Była to resztką starego, schodzonego buta.

Pomyśleli nagle, że dokoła nich, tu na tej ulicy, i na wszystkich innych, leżą w załamkach bruku, w ściekach, w szczelinach pomiędzy kamieniami, tysiące takich przedmiotów, z których jednym może a nawet musi być zgubiony pulars ich ojca, a obejrzawszy się naokoło i zrozumiałwszy, że szukać, wypatrywać, schylać się za każdym takim przedmiotem teraz, w nocy, i na takiej olbrzymiej przestrzeni, jest czystą, tysiącokrotnie przechodzącą ich siły

niemożliwością, mieli ochotę ryczeć i tarzać się z rozpacz, bo wydało im się, że te pieniądze, dające się odnaleźć a jednak niepodobne do znalezienia, po raz drugi tracą.

W miarę oddalania się od domu Józefów, rósł w Janie inny jeszcze niepokój. Strzelając oczyma po bruku na wszystkie strony, myślał, co się też teraz dzieć może u brata, czy po ich odejściu nie zabrano się do ponownych, szczęśliwszych poszukiwań. Nie mógł się powstrzymać od mruknięcia:

— Ciekaw jestem, dlaczego Honorka została,

— Dla małej — odparła naiwnie żona.

— Czyś ty naprawdę taka głupia? — zapytał przystając.

— A po cóżby zostawała?

— To ja mam ci to tłumaczyć? to ty jeszcze nie znasz mojej siostrzyczki ?

I urwawszy, ruszył w drogę. Żona zaś, czekając na objaśnienie, nie śmiała jednak wprost zapytać męża, aby go nie drażnić.

Po jakimś czasie dopiero wyjawiał bez ogródki podejrzenia swe względem siostry i brata, przejmując się niemi stopniowo, w miarę jak je wyrażał.

Została, aby szukać, poprostu. Ba, może już nawet coś dostrzegła i zachowała umyślnie w tajemnicy, aż do ich odejścia, a teraz podzieli się z tamtymi po cichu i basta. Jak najnieroztropniej więc postąpili, opuszczając Józefów, u których należało pozostać, mieć ten dom na oku.

Kiedy w nią wreszcie przelał swoje obawy, widząc, że je podziela, sam się zapaliwszy, gniewnie zakończył:

— Aleś ty nie miała nic lepszego do roboty, jak wyrwać się z tem pójściem do domu!

Uznając swą winę, szepnęła:

— No to wróćmy jeszcze.

— Czyś zwaryowała? teraz?!... To będzie tak zupełnie, jakby im się w oczy powiedziało: przychodzę was pilnować, bo was mam za złodziei!...

— Powiesz, że zachorowała po drodze.

Rozśmiał się ze złością i zawołał:

— Uwierz!

— Cóżby w tem było dziwnego?... Po takim nieszczęściu !

— Głupstwo! — ofuknął ją. — Lepiej było trzymać język za zębami, kiedyś głupia.

Spuściła głowę przed słusnością, zarzutu i biegła drobno naprzód, obok jego długich męskich kroków, chociaż coś ustawicznie zdawało się ich w tył ciągnąć.

Naraz mąż zwrócił się w miejscu w wprost przeciwnym kierunku i rzekł krótko:

— Wracaj.

Pobiegli żywo z powrotem, doznając naglej ulgi w powziętem postanowieniu. Spieszyli się teraz bardzo z obawy o każdą chwilkę opóźnienia, która ich przybycie mogła uczynić bezskutecznym. Mówili przytem wiele, gorączkowo, o

przebiegu fatalnego wieczora, to samo mniej więcej, co mówiono niedawno tam, u Józefostwa, tylko swobodniej, jak mąż z żoną.

Kiedy zadyszani znaleźli się przed mieszkaniem Józefów, ciemne okna uspokoiły ich nieco, ale zarazem zbudziły w nich nieokreślone uczucie zawodu.

Wszystko tam już spało, tylko bratowa, obudzona stukaniem w drzwi, wpuszczając ich przy słabym świetle woskowego stoczka, wpół. rozebrana, z zmrużonymi przed blaskiem oczyma, wysłuchiwała ich wykrętów, poczem oddała im do użytku wywleczony z pod śpiących dzieci materac i poduszkę, które rozłożywszy w jakimś wolnym kącie, zajęli.

Starszy brat, zasypiając, mruknął do żony:

— Zdaje się, że się niepotrzebnie wracało. Natomiast, kiedy Józefa żona obudziła z półsnu wiadomością o powrocie brata i bratowej, dodając z oburzeniem:

— Ścierwa, przyszedli nas pilnować... — mężczyzna, ziewając przeraźliwie, z zamkniętymi oczyma wybełkotał niewyraźnie:

— Tak myślisz?...

I zdawało się, że usypia, bo umilkł. Pracował jednak głową, gdyż po oliwili ponowił:

— Gdzie śpią?

— W nyży, z Honorką.

— Postawno co pod drzwiami, żeby stuknęło, iak kto będzie wychodził. Usłyszysz?

— O, usłyszę, mnie byle co zbudzi...

Wszyscy mieli noc niespokojną i pobudzili się wcześniej. Z wyjątkiem gospodyni jednak, którą śniadanie i wyprawienie dzieci do szkoły powoływało do wczesnej pracy, długo nikt nie otwierał oczu, w mniemaniu, że zamkniętymi łatwiej da się co podpatrzeć.

Niestety jasność poranku oświeciła tylko w całej wyrazistości ich stratę, nadając mieszkaniu pozór dziwnej pustki.

Lecz białość dnia przeredziła zwolna chmurne myśli i dodała im nieco otuchy.

Orzeczone po dłuższej gadaninie, że obaj mężczyźni powinni udać się do miasta i zbadać dokładnie okoliczności, towarzyszące sprzedaży, co niewątpliwie naprowadzić powinno na ślad zguby. Dla odszukania jej uczyniono zresztą dotąd tak niewiele — nie prawie — że nie ma żadnego powodu rozpaczać.

Bracia odeszli z na pół odzyskaną fantazyą, Czerpiąc otuchę w oczach kobiet, które widziały w nich już przyszłych wybawców.

Od chwili, kiedy uciły kroki oddalających się, oczekiwano ich powrotu z rosnącą, niecierpliwością, wśród

zmiennych uczuć nadziei i zwątpienia, w miarę nasuwających się przypuszczeń.

Ale o trzeciej z południa widok dwóch przygnębionych, jakby postarzałych i chorych twarzy rozczarował je od jednego rzutu oka.

Wrócili z niczem.

Zgryzieni, zmęczeni, ledwie mając siłę mówić, poczęli niedbale wystękiwać dzieje doznawanych na każdym kroku zawodów chciwym dowiedzenia się wszystkiego kobietom.

Sumę odebrał ojciec w obligacjach (widzieli pokwitowanie) — na nieszczęście wymienił je na stureńskowe banknoty (stary głupiec!), których numerów, ponieważ świeżo wpłynęły, jeszcze nie zanotowano w kantorze i oto wszystko, wszystko, czego zdołali się dowiedzieć. Przytem wymachiwali swemi pustemi rękoma tak po desperacku, że opłakany rezultat ich wyprawy nabierał kształtów okrutnej i nieodwołalnej rzeczywistości.

— A w policji byliście? — zapytała nagle Honorata, spragniona okazji wybuchnięcia złością, jakiej była pełna. Nie, nie byli.

Burza spadła z ust jej na ich głowy.

To dopiero niedołęgi! Nie być w policji w podobnym wypadku! Toż to najpierwsza rzecz!

I przedstawiła ten zaniedbany środek odzyskania zguby tak, jak gdyby ono w połowie od niego było zawisłem.

Cóż, kiedy po pierwszych przygnębiających wynikach energia i pomysłowość opuściła ich ze szczerem.

— A plakaty — daliście wydrukować? Także nie.

Ależ to niesłychane! — zapomnieć o plakatach, które dają drugą połowę pomyslnych szans w tego rodzaju przypadkach.

Nie! ci głupcy kompletnie nie umieją się wziąć do rzeczy. Warto ich było wyprawiać do miasta, aby zmarnowali, po upłynionej nocy, jeszcze i dzień prawie cały, wtenczas, kiedy każda chwila, jest drogą!...

Splunęła im pod nogi wzgardliwie.

Bracia, porwani siłą jej oburzenia, uznawali w duchu popełniony błąd i mieli już widoczną a szczerą ochotę naprawić go, wstyd im było jednak zaraz po wybuchu siostry z miejsc się porywać, aby się nie zdawało, że są pod jej rozkazami.

Wtedy Janowa, która zaczęła odczuwać skrupuły męża, poddała delikatnie:

— Możeby to i dobrze było, żebyście się tem zajęli, Jasiu...

Bratowa zaś, domyśliwszy się, że i jej mąż oczekuje z jej strony zachęty, poparła prośbę.

Poszli tedy obaj, zostawiając żony na łup rozirytowanej Honoraty.

— A cóż to za kapuściane głowy ci wasi mężowie! Chryste uchowaj od takich chłopów.

— Twoi bracia — perswadowała jedna z kobiet, nieco urażona.

— Rodzeni! aż mi wstyd! W tatusia się wdali, jak ula! — bryzgnęła, gorsząc je niezmiernie i odbierając ochotę do dalszej dyskusji.

Oddanie swej sprawy w cudze, fachowe niejako ręce, bardzo pokrzepiło obu braci. Druk, władza — potęgi te tajemnicze otoczone były w ich umysłach aureolą ślepego podziwu i zaufania. Dziękując się szczegółami

swego wypadku, doznawali błogich wzruszeń chorego, który po raz pierwszy zasięga porady lekarskiej z wiarą w wszechmoc medycyny i nieomylność recept. Spisywanie protokołu, takiego długiego protokołu!... wydało im się pełnym obietnic i pociech aktem najgorętszej troskliwości o ich dobro.

Z pewnym tryumfem komunikowali obecnie znajomym poczynione kroki, mniemając, że teraz spełnienie ich pragnień jest już jedynie kwestią czasu i niektórych biurowych formalności.

Jeszcze więcej podniósł i rozradował im serca widok różowych, żółtych, błękitnych płacht papierowych, wielkimi głoskami obwieszających z rogów ulic ich stratę, niby wołających na całe gardło: "szukać pieniędzy! szukać złodzieja!" — Teraz już nikt nie będzie mógł schylić się po nie, aby go w tej samej chwili litery najbliższego plakatu nie pokazały strażnikowi, wołając: łapaj! — Zresztą nie przypuszczali tej ewentualności. Odwołanie się do "rzetelnego znalazcy" napępiało ich zbyt wielką otuchą. Czuli potrzebę uwierzenia, że świat się roi od pocziwców i uwierzyli w to na puczekaniu — a widok przechodniów, czytających afisze gromadkami, wywarł na nich pocrzepiające wrażenie, że całe miasto bierze udział w ich nieszczęściu, współczuje z nimi, pragnie im dopomódz, że ich wypadek zaprzęta wszystkie umysły.

Już niedaleko domu jakiś znajomy, na widok ich tryumfalnych min, zapytał:

— Cóż to? może zguba już odszukana?

Kiedy go jednak objaśnili, jak niewiele do tego brakuje, uśmiechnął się pobłaźliwie, bardzo sceptyczne roztaczając poglądy na kwestyę odzyskiwania zgubionych

pieniędzy obraną przez nich drogą, Przytoczył nawet kilka przykładów, gdzie cennej zguby, mimo najskrzętniejszych poszukiwań, nie odzyskano nigdy..

Rozstali się z puszczkiem niemal obrażeni i niezbyt dalecy podejrzeń, że on chyba jest w zмовie z czyhającymi na ich krzywdę łotrami.

— Tenby kanalia pewnie nie oddał złamanego szeląga, gdyby tak znalazł — mruknął Jan gniewnie, a Józef zawtórował klątwą uwadze brata.

Obowiązek rozprowadzania żonom i znajomym, którzy jedni po drugich przybywali stwierdzić na miejscu pogłoskę o zgubionych tysiącach, powrócił jednakowoż pogodną myśl obu braciom. Wmawiając w ludzi przez cały wieczór swe nadzieje, utwierdzali je zarazem w samych sobie.

Późno w noc udała się istną gorączką dotknięta rodzina na spoczynek, aby w spoczynku jeszcze śnić o tej wielkiej liczbie banknotów, z niewiadomego im ukrycia zdających się zrywać do lotu jak stado płochliwego ptactwa, a które zejść niepostrzeżenie i wszystkie, wszystkie pochwycić — tak niepoohamowanie pragnęli.

Zaraz rano udali się nazajutrz obaj mężczyźni spieszenie do urzędu policyjnego, z silnem przekonaniem, że pieniądze już zastaną. Nie wyjawiali go jednak, ale tłumili w duchu w przesądnej obawie spłoszenia szczęścia.

Po drodze żalowali tylko zamieszczonej w afiszach obietnicy "sowitej nagrody". Wystarczyłoby samo słowo:

"nagroda". Zresztą plakaty wydały im się dzisiaj nieco mniejsze, jakby się skurczyły przez noc. i nie tak krzyczące jak wczoraj — raczej mówiące.

W biurach policji zastali wielki natłok. Odbywał się tu właśnie przegląd i klasyfikacya kilkudziesięciu

indywiduali, złowionych przez nocną obławę: włóczęgów, opojów, rzezimieszków i kobiet, omijających opiekę władzy.

Niecierpliwie czekali końca tych dziwnie błahych w porównaniu z ich sprawą rzeczy.

Skoro wreszcie nadeszła ich kolej, skłonili się urzędnikowi niby dobremu znajomemu — to też niemile tknęło ich zapytanie, czego żądają.

— Ach, te pieniądze — rzekł chłodno, objaśniony — przypominam sobie. I cóż, czy wpadliście panowie na ślad, czy może już znalezione?...

Bracia spojrzeli jeden na drugiego wielkimi oczyma. Jakto? ich się o to pytają? Ależ po te właśnie wiadomości tutaj przybyli.

Urzędnik stłumił uśmiech i zapewniwszy ich uprzejmie, że w danym wypadku zostaną niezwłocznie uwiadomieni, przyzwał skinieniem nową stronę, z łańcuszkami na rękach.

Za najbliższymi drzwiami bracia spojrzeli na się ponownie osłupiałym wzrokiem, daremnie szukając w swych oczach iskierecki pociechy.

Wyszli przybici zawodem. Nikt tu nie zajmował się nimi.

Teraz plakaty wydały im się urągowiskiem. Miasto odczytało je wczoraj, nikt już na nie dziś nie spojrział — milczały. Wracali zgnębieni, w ostatniej rozpaczce.

Honorata, którą dotknięte jej przycinkami żony braci, wyniosłszy się do kuchni, zestawiły samą, na pierwszy rzut oka zrozumiała ich miny zgrzyzone i nie omieszkała wysypać pełnych uszczypliwości i wzgardy ogólników, jakie miała zawsze w pogotowiu.

Wtedy Jan postąpił ku niej w wybuchającej żądzy zwady nieokrzesanica i dalejże ją lżyć po swojemu, słowo za słowo, zarzut za zarzut.

I wywiązała się kłótnia dwojga ludzi grubych uczuć i grubych obyczajów, dwojga długie lata zawiści, długie lata obserwowania swych słabości i błędów mających za sobą brata i siostry, którzy krępowaną do czasu, a teraz niepowściągniona nienawiść zaczęli sobie miotać w oczy pociskami słów obelżywych, kłującymi jak ostro zęby, wymierzanych w dobrze znane słabe i drażliwe strony przeciwnika, aby mu dojeść do żywego. Aż pełna jadu kobieta, nie dotrzymawszy siłą bratu, porwała dziecko i płacząc z wściekłości, wyrzucając plecyma do nich zwróconemu Józefowi, że pozwolił ją poniewierać w swym domu, wybiegła z tego miejsca, w którym nie było już więcej co robić.

— Bobyś też i mógł być dać babie spokój — mruknął Józef, nie bacząc, że ta uwaga uczyni go niejako obrońcą siostry.

— Powiedz po prostu, że z nią trzymasz! — wykrzyknął Jan wyzywająco, czego tamten nie mógł znów pozostawić bez równie hardej odpowiedzi, przez familijny popęd podejmowania każdej zaczepki, byle się tylko wydać nieustraszonemu. Przyszłoby niewątpliwie do bójkki, gdyby żony, wpadłszy z bekiem, nie rozdzieliły obu braci.

Zaraz potem najpierw Józef, nie śmiąc wypędzać brata, porwał czapkę i wybiegł, trzasnąwszy drzwiami — wkrótce po nim uczynił to samo Jan.

W chwili, kiedy żony obu, zgrzyzone, wzburzone udreńczającymi je od dwóch dni niesnaskami rodziny mężów w które poniewolnie były wciągnięte, a przecho

dzącami wszystko, na co patrzyły dotąd, biadając wśród łez wylewu, nad swą dolą, zaczęły się sobie zalić i przejednywać się wzajem, zbliżone wspólnością losu — wpadł do pokoju najmłodszy synek Józefowej. Kilkoletni chłopczyka, namówiony przez braci, chwytając matkę za suknię, zaczął się dopytywać o dziadka, którego od dwóch dni nie widział. Dzieci bowiem domyślały się zaledwie tajemnicy zamkniętych drzwi jego pokoju, o której nie mówiono przy nich, ba, nie zajmowano się nią wcale w natłoku pilniejszych spraw. Na te słowa obie kobiety spojrzały sobie w oczy, tknięte, jak gdyby przebudzone. Usta dziecka zatem przypomnieć miały starszym najpierwszej, najświętszą ich powinność?! Toż ten sędziwy dziadek — myślały — o którego malec pytał, który dał życie jego ojcu, leżał tam przez własną rodzinę zapomniany, porzucony, jakby niegodzien pośmiertnej posługi, ponieważ śmiał zgubić przez samego siebie zapracowany majątek, na który liczyły jego dzieci!... I kiedy synowie ścigali po mieście marę zaginionych pieniędzy, gdy córka o ścianę od trupa pieniała się ze złości, że nie będzie bogatą, ten siwowłosy starzec za sześćdziesiąt lat uczciwego i pracowitego życia dwa dni, jedyne ostatnie dwa dni pobytu zmarłego na ziemi, tego pożegnalnego pobytu, który jest już troską innych, — spędzał w wzgardliwym zaniedbaniu dlatego tylko, że w kieszeniach jego sukni nie było wypchanego banknotami pularesu!... Zerwały się synowe Puchty, zgorżone tą niegodziwością, której część i na nie spadała, bo i one dały się porwać straszemu obłędowi chciwości, zabijającemu w człowieku wszystko.

Odziawszy się na prędcie, same jedne podzieliły się spiesznymi zachodami przygotowań do pogrzebu i pobiegły co żywo do miasta, odrywając na chwilę myśl od fatalnego wypadku, którego wspomnienie miało członków rodziny do końca życia różnić i jątrzyć wzajemnymi podejrzeniami i skargami — bez wypoczynku, bez satysfakcji, dopokąd zarodek zepsucia, jak rak złośliwy, na wskroś ich nie przejmie, nie spodli.

OJCIEC

W drodze do chorego — opowiadał lekarz — dowiedziałem się od przyslanej po mnie dziewczyny, że był nim aktor wędrowny, który po rozprószeniu się trupy, zapadłszy ciężko, pozostał w miasteczku z kobietą, z żoną, bez wszelkich środków do życia. Przez litość tylko nie wyrzucano ich mi bruk. Znalazłszy się w izbie, dusznej od wyziewów choroby i nędzy, nie mogłem zrazu pojąć, w jakim właściwie celu zostałem wezwany do tego wyschłego, steranego człowieka, którego organizm dogasał w oczach prawie, trawiony gorączką ostatniego stadium suchot. Obok niego siedziała z brzegu łóżka zapłakana, wynędzniała kobieta, znajoma mi, spotykałem ją bogiem na ulicach miasteczka, jak obchodziła domy po zebraniu. Na mój widok schyliła się nad nim i szepnęła: "Pan konsyliarz!" On zaś, nie otwierając oczu, zaczął niecierpliwie stękać, jak chore dziecko, którego upartą zachciankę starają się zbyć czem innym.

Zrozpaczona kobieta zwróciła się wtedy do mnie ze skargą, że mąż, zubożniały na wszystko w dniach ostatnich, od kilku godzin zdaje się czegoś chcieć, na coś oczekiwać, lecz nikt nie wie, na co, bo go zrozumieć niepodobna, gdy stękać zacznie. Nie może również i napisać, zbyt osłabiony, aby utrzymać ołówek w drżących palcach.

Poczęła mu na nowo zadawać pytania, wpatrywać się z nateżeniem w jego chorą twarz dla przeniknięcia gasnących myśli suchotnika — daremnie.

— Może pragnie się wypowiedzieć? — poddałem.

— Ksiądz był przed tygodniem — odparła z suchem łkaniem, nie mając dość sił, aby płakać łzami.

Ale dosłyszawszy naszą rozmowę, chory otworzył oczy i zwrócił je na nią, dziwnie pałające.

Gdy powtórzyła skwapliwie moje słowa, skinął głową i od tej chwili nie spuszczał już drzwi z oczu aż do nadejścia wikarego.

Po przybyciu kapłana chcieliśmy wyjść, aby nie przeszkadzać spowiedzi, zatrzymał nas jednak, kazał podnieść się na łóżku i zaczął mówić.

Mówić!... Ach, co to była za męka dla niego i dla nas!...

Przejęci, tłumiąc oddech i unikając najłżejszego nawet szelestu sukni, wsłuchiwałem się w to dziwne, odrażające, straszne rżenie przeżartej chorobą krtani, która sili się na dobyte głośno, zamarłego na zawsze.

On zaś, aby wyrzucić z swojej wąskiej, ptasiej piersi każdy z tych charczących skrzypów, siniał, oblewał się potem, z nateżenia żyły obrzmiewały mu na czole i skroniach a oczy wyskakiwały niemal z obsady, jak oczy duszonego, wśród wstrząśnień straszliwego kaszlu.

Napróżno powtarzał raz po raz coraz niecierpliwiej, niewyraźniej, słabiej te same szmery, których znaczenia nie rozumieliśmy i nie byliśmy w stanie zrozumieć, chociaż widocznym było, do jakiej go to rozpacz doprowadza.

Naraz omdlał z wysiłku. Lecz skoro ocuciwszy go z trudem, chciałem zalecić spokój, zaczął na nowo męczyć siebie i nas tem cierpieniem, które przechodząc jego siły, zdawało się wylewać zeń i udzielać otoczeniu.

Aż w końcu chrapliwym jak ostatni dźwięk popsutego do reszty instrumentu, przedrzeźniającym ludzką mowę głosem, wskazując na kobietę, zdobył się na słowa, które w połowie trzeba było odgadnąć:

— jesteśmy nieślubni... mamy chłopca, bez chrztu, u moich rodziców... któremu nie zostawię nic... nic!... nawet nazwiska... jeżeli...

Zemdlał powtórnie, nie dopowiedziawszy reszty.

Ale zdołałem mu wrócić przytomność i tym razem, aby wypełnić to życzenie, ostatnie, rozpaczliwe życzenie nędzarza, którego żądza zostawienia dziecku jedynej rzeczy, jaką mu mógł zostawić, nikomu nieznanego nazwiska, tego śladu ojcostwa, broniła jeszcze przed wszystkimi szponami biorąc go już w posiadanie śmiercią.

Kiedy po odmówionych przez duchownego modłach, odpowiedziawszy na zadane pytania, związany z ręką, kobiety zdrewniał po raz trzeci, nie pomogły już żadne środki trzeźwiące — z połączonych stulą dłoni jedna tylko była żywą.

PIERWSZY MAJA.

Ale dajżeż już raz pokój tyra robotnikom, mój drogi. Słyniesz nie od dziś jako zacofaniec i nie potrzebujesz wykładać mi swoich społecznych poglądów, bo je znani na wylot a zbijać ich nie myślę. Nie jestem zresztą ani po twojej stronie ani po tamtej i wszystko mi to jedno, kto jest z nimi a kto przeciw nim. Lubię obserwować fakta, lecz nie cierpię mięszać się do nich. To człowieka ogłupia, czyniąc go niewolnikiem stronnicych zaślepień. Skoro zaś i tak skazani jesteśmy na to, aby całe życie kroczyć po omacku, nie widzę, dlaczegobym miał zarażać się cudzym zezem lub ślepotą, zamiast ulegać własnej.

Co się tyczy robotników... kiedy już o nich mowa, mani dla nich nawet pewną sympatyę, a to z powodu osobliwej w swym rodzaju, a nader dla mnie miłej przysługi, jaką mi bezwiednie oddali.

Było to w zeszłym roku, w wilię pierwszego maja, tego głośnego "pierwszego maja", święta robotników —

pamiętasz? — który tyle tygodni naprzód na wszystkie tony zgrozy i postrachu otrębywano po dziennikach całej Europy, począwszy od jej stolic a skończywszy na najmniejszej mieścinie, w której znajdował sio bodaj jeden prenumeratorka jakiejś drukowanej bajezarki. Oczekiwały też tego dnia salony, warsztaty i ulice, przestrzegali przed nim kościoły, zastanawiały się nad nim władze, nie było damy ani przekupki, którejby on się nie obił o uszy.

W naszym niewielkiem miasteczku o dwudziestu tysiącach ludności są, jak wiesz, tylko dwie fabryki: jedna — pierników, druga — cykoryi, obie obsługiwane przez jaką setkę najwyżej robotników, poczciwych z kośćciami piernikarzy i dobrych jak owieczki ugniataczy figowej kawy, którym ani przez myśl nie przeszłoby gorszyć się w swej dobrodusznosci! lub zastanawiać nad prawem pochodzeniem brzusków ich pryneypałów i robić z tego kwestyę społeczną. Uważają oni bowiem dostatki za coś wrodzonego, z czem przychodzi się na świat, jak skłonność do tycia lub łysienia.

Jest oprócz nich jeszcze trochę hałasującej po szynkach w dniu wypłat czeladzi rzemieślniczej, ale ci kłóć, się z szynkarzami o ilość wypitych kieliszków, nie o niesprawiedliwy rozdział kapitałów. Na tem też koniec. Wszystkim tym ludziom ani się śniło o jakichkolwiek rozruchach — i niktby u nas nie pomyślał o zbliżającym się "pierwszym maja!" — gdyby go nam nadchodzące codzienną pocztą z stolic gazety nie przypominały. Łącząc w gzygzak po ulicach ku wieczorowi w wilię fatalnego dnia, byłem właśnie na bocznej uliczce, w której wznosi się ładna kamieniczka Mimskich, młodziu

tkiego stadła, zaliczającego mnie do grona najbliższych znajomych. On jest młodym próżniakiem, który rozkochawszy w sobie posażnego podlotka, przeszedł w próżniactwie na etat — ona, ośmnastoletni dzieciak, naiwnie nadający sobie pozory kobiety, pełen czułości dla męża, nie dlatego, aby go tak czule kochała lub by zbytnią czułość leżała w jej naturze, ale poprostu, że koniec końców jest jego żoną i uważa się za obowiązana do tego. Stąd poufalsi goście, jak ja, mieli, bywając u nich, stałe widowisko ich pieszczot, którymi popisywali się, aby nie uchodzić za stadło oziębłe a pouczali zarazem, że Wilek jest pospolitym drągalem, Ola zaś istną przylepką. Pokażę ci kiedy jej fotografię — a przekonasz się, co to za szczęśliwe połączenie pulchności z wdziękiem, jaki oryginalny okaz kobietki, przez którą przeziara chłopiec wesoły i swywolny, o małej, figlarnej, ciemnowłosej główce.

Wracam do rzeczy. Przeszedłem ową uliczką ze zwyczaju zaglądania w okno pani Mimskiej, zasłaniając go jednak pretekstem, iż czynię to dzisiaj, aby sprawdzić, jak się zapowiada u nas jutrzejsze święto robotników — ponieważ ulica ta łączy obie fabryki. Nie — cisza, spokój, pusto, stare jakieś psisko drzemie na środku drogi, wzdychając przez sen bardzo sielankowo.

Wtem, kiedy znalazłem się visavis kamienicy Mimskich, z parterowego okna ich mieszkania dolatuje mnie dźwięk stukania w szybę. Zwracam głowę, składam ukłon pukającej i na jej widok powtarzam sobie po raz setny w duchu, że ten pustak w spódniczce, nad którym jak fatalność zawisła tradycja, przekazana przez matkę, obok swego dozgonnego mazgaja prędzej czy później złoży niewątpliwe swej pustoty dowody; że

temu, kto się do tego przyczyni, trafi się. co się nazywa doskonała gratka i że nakoniec powinna ona zostać przynajmniej między znajomymi.

Przyzywany żywo gośćmi młodej kobiety, podszedłem do okna, powtarzając ukłon i usłyszałem:

— Niebo mi pana zsyłał... Chodźże pan do środka: Kiedy niezwłocznie wstąpiłem na stopnie domu i minąłem drugą, oszkloną bramę sieni, niezmiernie uradowana, sama mi drzwi otwarła i wyciągnęła ku mnie rękę z szczególną serdecznością.

— Co to za szczęście, że pana zobaczyłam. Ma pan czas? — wyrzekła i jakby w obawie zaprzeczenia z mej strony dodała spieszenie:

— Zresztą wszystko mi jedno, czy pan ma, czy nie ma, zatrzymuję pana u siebie.

Wprowadziła mnie do saloniku, prawie używając gwałtu, który jako żywo nie był potrzebny. Tu przymusiła umie zaraz, bym usiadł i nie wychodząc z jakiegoś dziwnego, gorączkowego nastroju, poczęła rozmowę od kwestyi:

— Jakże tani w mieście?

— O co pani pyta?

— Spokojnie?... — objaśniła, wpatrując się we mnie z przenikliwością.

— Jak zwykle — obojętnie odparłem.

Usiadła na brzegu krzesła, poprawiła na piersiach chusteczkę z pąsowej sznelki i szepnęła z drzeniem; jakby do siebie:

— Co to będzie!...

Otwarłem szerzej oczy, trochę zdziwiony — ale ona już mówiła dalej, z minką żałośnie nieszczęśliwi gorączkowo, spieszenie:

— Męża nie ma — wie pan?... wyjechał do znajomych, służąca także gdzieś wyszła i nie wraca, wróci kto wie kiedy... może nad ranem (ona zawsze tak robi, kiedy męża nie ma), i ja siedzę sama! sama jedna w całym domu... w taki dzień !!... Od godziny jestem jak w febrze!... Wyglądam zrozpaczona przez okno, czy nie zobaczę kogo znajomego, aby go poprosić do siebie, bo chronić się do znajomych, dom zostawiając na łaskę losu, w takiej chwili, niepodobna!... Poszłabym do którego z lokatorów, żeby był kto porządny... Ale mieszkają sami żydzi — pan wie: kupiliśmy realność w ciągu roku i umowy były pozawierane. Zresztą do żydów pójść to jeszcze niebezpieczniej, z nimi będzie najgorzej... Niechże pan teraz jednak pojmie moją mękę: sama, samiuteńka!... kiedy się zanosi na takie rzeczy!..

— Jakie rzeczy? — przerwałem.

— No to, co ci mają robić, ci, robotnicy... Czyż pan nie wiesz? — przerwała mi trochę niecierpliwie, wskazując śliczną jak ona cała piąstką stopy różnych gazet, zalegających stół, kanapę i niektóre foteliki. Udałem, że mam niedokładne wiadomości.

— Ach! panie! — unosząc się i dłoń przykładając do policzka, aby swe słowa tem donioślejszemi uczynić — wyrzekła: — Będą się dziać niesłychane rzeczy!

— Tu? u nas?...

— Wszędzie! Czytałam. To się już zresztą zaczęło: rabunki, podpalenia, napady, zabójstwa... W Londynie strejkują, w Wiedniu wzmocniono załogę, wojsko stoi pod bronią...

— No w Wiedniu, tak... ale nie sądzę, żeby u nas...

— A dlaczegoż u nas miałyby być inaczej?...

— U nas ludzie spokojni.

Uśmiechnąwszy się pobłażliwie, przybrała minkę doświadczonej osoby i rzekła z siłą:

— To ich pan nie zna!

Pozwoliłem jej mówić, zawsze bowiem powabna, stawała się wyborną w tym dziwnym nastroju.. Ona zaś poczęła uzasadniać swe obawy.

Robotnicy z obu fabryk od tygodnia gromadzą się w pewnym szynku (nawiasem: chodzą tam jak rok długi) — jeden z piernikarzy, wyrzucony z powodu niewypłacalności z mieszkania na Zielonem, wygrażał zeszłego piątku pięścią właścicielowi, mówiąc (są świadkowie): "Poczekajcie tylko na go maja!..." a wreszcie, ile razy teraz idą do fabryk lub wracają, zawsze po kilku i zawsze rozmawiają z sobą bardzo wiele, bardzo gorąco i bardzo cicho. Oczywiście gotują się tutaj okropieństwa, podobne do tych w Wiedniu i Londynie — zbliżają się czasy, w których lepiej będzie mieć śmiertelną chorobę, niżeli kapitał lub realność — tak przynajmniej sądziła pani Ola.

Widziałem z doboru frazesów, z przytaczanych argumentów, z bielejących mi przed oczyma pism, co jej dało tak wyczerpującą znajomość sytuacji i nie siliłem się na perswazyę.

Znałem dobrze tę młodą mężateczkę i nerwowe paroksyzmy jej zmiennego humoru, który raz robił z niej rozkosznego łobuza, kiedyindziej pogrążał ją w melancholijnej zadumie, albo przeobrażał w rozgoryczoną grymaśnicę, pozwalając każdej chwili spodziewać się po niej rzeczy niespodzianych.

Teraz przyszła kolej na strach, na wielki, od stóp do głowy ogarniający strach, którym nasiąknęła w sa

ulotności, oddawszy swą wyobraźnię na pastwę banialukom dziennikarskim, źle zrozumianym w dodatku.

— Więc pani naprawdę tak się obawia? — spytałem wreszcie.

— Cóż pan myśli! Sama jedna, kobieta, na co ja jestem narażoną, gdyby tak tutaj wpadli... A na nieszczęście męża nie ma, nie wrócił dotąd, mimo zapowiedzi, sama się obawiam dlaczego... Może go po drodze zatrzymali przemocą?!... Bo przecież pisał do mnie przedwczoraj — gdzie ja tu mam ten list... Aha, jest... O! "będę się starał koniecznie wrócić pojutrze, ze względu na pierwszego maja!" — to ostatnie podkreślone, więc on sam także coś przeczuwa i tembardziej mnie to dziwi, że nic przyjechał... Wie przecież, że jestem samą... Niepocziwec. Ach! Boże!...

I potrzęsawszy rozpaczliwie główką, wzniosła oczy ku niebu.

Nie odrywałem od niej wzroku, tak była ładną i z mimowolnym uśmiechem słuchałem tych utyskiwań.

Cała swą troską zajęta, pomyliła się co do znaczenia tego uśmiechu, bo rzekła:

— Niech się pan nie śmieje, nie... Zobacz pan, że to się na niczem nie skończy!...

Aby ją dłużej widzieć tak uroczą straponą, pospieszyłem z zapewnieniem, że nie lekceważę bynajmniej jej obaw, uchowaj Boże! Przeciwnie... wszystko na tym świecie jest możliwe... Robotnicy — ktośby śmiał przeczyć?! — jestto potęga nielada, do której kiedyś świat będzie należał (nawiasowo: ani mi w głowie przepowiadać to lub temu przeczyć). A nawet już dzisiaj trzeba się bardzo z nimi liczyć, bo też mają oni w istocie niektóre słuszne powody do niezadowolienia.

Łakomie zasłuchana w me słowa, przerwała składając obie dłonie na piersiach:

— Ale cóż my im jesteśmy winni, drogi panie?! — tak że po raz drugi musiałem się uśmiechnąć.

— No, państwo w samej rzeczy nic... Ale trudno, w walce klas muszą padać ofiarą najniewinniejsze często, jednostki.

Przelekniona powstała, szepcząc:

— Usunęmy się w głąb pokoju, niebezpiecznie jest siedzieć przy oknie... Jeszcze kamieniem kto rzuci...

Zastosowałem się do jej życzenia niezwłocznie i zamiast na dwóch fotelikach, co bardzo rozdziela, zamiast wobec tuzina okien, patrzących na nas z przeciwnej strony ulicy — znaleźliśmy się bardziej zbliżeni i swobodniejsi na szezlongu, w zalegającym głąb pokoju półcieniu. Zamierzając ją uspokoić, by się mną więcej zajęła, spytałem:

— Czyż pani naprawdę lęka się aż czegoś podobnego?

— Ach nie. uwierzy pan! nie uwierzy pan, do jakiego stopnia!...

— Niech pani lepiej nie myśli o tych rzeczach. To panią niepotrzebnie denerwuje.

Wziąłem ją za rękę.

— O! drży pani cała... Nie, nie dam pani zajmować się tem, dręczyć się w ten sposób..

— Sama obecność pańska uspakaja mnie znacznie... Ale pan mi nie ucieknie?

— O nie! i z daleko liczniejszych powodów, niż pani myśli, choć dla nich właściwie powinienbym od pani uciekać zawsze...

— A to czemu?

— Bo panią uwielbiam...

Dała rai klapsa i uśmiechnąwszy się z dąsem:

— Nie mówi się; takich rzeczy — rzekła — kiedy męża nie ma w domu.

— Kiedyż więc je mówić?

— Nigdy.

— Na to musiałbym stracić mowę i wrodzoną mi szczerość.

— Żeby tak pana Wilek słyszazi!...

— Dlaczegoż go tu nie ma? chociaż być powinien... Ja nie ręczę, czy on tam nie został ze strachu przed robotnikami!..

— Ach ! ci robotnicy!...

Nie! nie należy jej uspokajać — zdecydowałem.

— Których się pani tak obawia — a przed którymi nie mąż (och! czyliż wart nim. być!...), lecz kto inny panią ochrania, ochroni! — proszę się tylko starać, aby tu został jak najdłużej...

Zmrok zaczął padać, przynosząc tę szarą, tajemniczą, pozorną śmierć przedmiotów, odbierającą im złudnie połowę ich istnienia, odmieniającą postać rzeczy i zdającą się odmieniać czyny. Skradała się owa godzina, w której postępki nawet rażący i trudny na jawie, staje się dyskretnym i łatwym, w której tak pełnym pokus bywa sam na sam, bo przestając niejako być świadkami własnych i cudzych czynów, słabiej oceniamy ich brzydotę lub zuchwalstwo, a nawet nie widzimy ich wcale oczyma, przysłoniętemi zdradzieckim skrzydłem nocykusicielki.

Przed tą, już rozpoczętą, godziną niebezpieczeństwa i przed splątaniem figla Wilkowi, o czym napomykałem tak lekko i wesoło, aby jej samej nie przyszło na myśl

brać tę rzecz tragicznie, otrząsnęła się naraz Ola i odbierając mi ręką zawołała:

— Pora zapalić lampę.

I chciała powstać. Ale ją zatrzymałem z pośpiechem.

— Niechże pani tego nie robi, na miłość boską!... Oświetlać okna? w taki wieczór? żeby myśleli, że się tu ucztuje, zabawia wesoło, gdy oni przymierają ze zgrzytot i głodu?!... żeby pokazać im przy świetle obrazy w złoconych ramach i portyery u drzwi, które im przypomną ich własne odrapane i brudne ściany?!

Przestałem na chwilę, dla pokonania szalonej chętki śmiechu, budzącej się we mnie zawsze, ilekroć przyjdzie mi udawać lub kłamać coś, w co sam nie wierzę, tak śmieszna mi się wydaje rola wywodzonych w pole. Nic nie odrzekła, słyszałem tylko jej oddech przyspieszony.

— Zresztą — prowadziłem dalej zmienionym tonem — czyż nam tak źle w tej ciemności? przecież mnie się pani obawiać nie potrzebuje...

— Właśnie, że zaczynam wątpić... — odparła. Próbowwała przytem ręce swe wysunąć z moich, ale tak lekko, że dla mnie stało się to tylko pretekstem do tem silniejszego ich uściśnięcia oraz do odpowiedzi:

— A wie pani, że wyznanie obawy czyni przeciwnika zuchwalszym?

— Nie wiem, czy już zuchwalszym od pana być można!

— Można być zuchwalszym lecz nigdy bardziej kochającym.

To rzekłszy, wpadłem w ów szept gorączkowy i mywany, naprzemian błagalną i rozkazującą, pieszczotliwą i brutalną, mieszaninę, wyrazów, bez wielkiego sensu

lecz z ogniom ze zdyszanej piersi i oszołomionej głowy wylatających dla oszołomienia drugiej. Zamiast się oburzyć:
— Panie!... — wyszeptala proszaco — niech pan tak do mnie nie mowi... Przeciez to nie wypada... To bylyby szkaradnie...

— A jezli ja pania, uwielbiam, co tyle razy starałem się pani okazać... Czyliż mnie pani nienawidzi?

— No nie... ale ja pana proszę... mów pan o czym innym...

— A jezeli to jest nad moje siły?

— Staraj się pan !

— Dopóki obok pani jestem, nic mogę! nie potrafię!.. czuję to nie po raz pierwszy... więc chyba... Ale tak! masz pani słusznosc... to jedyny sposob... odejde.

Nie dala mi nawet powstać z szezlongu, przerażona.

— Co? pan chcesz isc?!...

— Muszę! — inaczej.. widzialas pani przed chwila. Nie ma tutaj przeciez wyboru.

— Czyz nie potrafisz pan zapanowac nad soba?...

— To przechodzi moje siły.

— Alez ja sama nie zostane.

— Jezeli mnie pani zatrzyma, popełnie szaleństwo!...

— Jezeli pan pójdziesz, umre ze strachu.

— Alez ja pania kocham!...

— Alez oni mnie gotowi napaść!... zabic!.., Wrywałem się — ona mnie zatrzymywala, zatrzymywala nietylko slowy, ale i para rączek, pulchnych, drzacych, cieplych, ktorzych odpychaniem musiałem sobie zadawac gwałt straszliwy...

Naraz — huk!!... huk ogłaszający, jakby o dwa kroki runęło sklepienie gotyckiej katedry, wstrząsnął

powietrzem i naszymi nerwami. Ola krzyknęła: "ach!" — rzucila się do mej piersi i w moich objęciach, cichutko, żalownie, z płaczem szepnęła przerażona:

— Widzisz pan!...

A ja, całując ją na początek tak nieznacznie, że raczej wiedziałem, niż czułem, co robię, odrzekłem:

— Widzi pani!... — i ani mi w głowie było puszczać z rąk tej ciepłutkiej, pachnącej, strwożonej zdobyczy. Oczekując spokojnie nowego huku wysadzanych w powietrze przez rozwścieczony tłum roboczy domów, myślałem:

— Wy róbcie swoje — a ja swoje. Co mnie do waszego pierwszego maja!..

Wyznać jednak muszę, że nigdy rozruchy robocze nie budziły we mnie większej sympatii, niż owej chwili.

Tymczasem huk się nie powtarzał. Więc po dziesiątym czy jedenastym pocałunku moim, szepnęła drżącym, suchym głosem, ale już ochłoniwszy nieco:

— Co to było?

— Zobaczę.

Wyrzależ oknem na ulicę — ale nie zobaczyłem nie, nawet ulicy, której organa miejskie u nas skapią światła, zapewne, aby nie gwałcić praw natury, zsyłającej na świat ciemność w porze nocnej.

Wyszedłem tedy do przedpokoju i otwarłem drzwi do sieni, gdzie ujrzałem wprost progu barczystego, zasmolonego mężczyznę, na widok którego Ola, nie odstępująca mnie ani na chwilę, ścisnęła spazmatycznie moją rękę, podzwaniając ząbkami.

— Co to był za łomot? — spytałem złowrogą postać. Pocziwiec oświetlił czarną twarz dwoma szeregami Małych zębów i skrobiąc się w głowę przyjaźnie odparł:

— E, nic, proszę łaski panu, tylkom tu węgle do paczki zruciał.

Był to węglarz i właściwy węglarzom a tak miły sposób opróżniania koszów z ładunku.

Wróciliśmy z wystraszoną jeszcze Olą do pokoju. Śmiać mi się chciało co się zowie bałem się jednak popsuć sobie sprawę. Tymczasem czując, że ręce jej drżą jak w febrze, ucałowałem je, z jej zgodą.

— Niechże się pani nie lęka — szepnąłem tonem wielkiej serdecznej prośby, który rozszerzał i pogłębiał znaczenie wyrazów. Intonacja bowiem czasem staje się sama przez się tak wymowną, że wystarczy dobrać do niej pierwsze lepsze słowa.

— To mi dokucza.... — dodałem czule.

— Ale nie odejdziesz pan V

— Och, nie!...

I nie przestawałem, pod pozorem dodawania jej odwagi i spokoju, brać ją w posiadanie, mimo miękkiego, uroczego oporu z jej strony.

Wtem: "brzdęk!..." — i przeraźliwy dźwięk rozpryskującego się na atomy, pod ciosem, szkła, którego ostre kawałeczki razem z tym brzękiem zdawały się w ucho wpijać, wstrząsnął ją całą dreszczem i po raz drugi, z nowym okrzykiem przestachu rzucił ją w moje ramiona, tym razem już nie bez następstw.

A ciągle drżała, jednak teraz z innego powodu.

Pierwsze jej słowa, zmienionym głosikiem wyszeptane, były:

— Co to było? zobacz pan, proszę..;

Co to było — była to szyba, rozbita w sieni przez węglarza jego ogromnym koszem. Klócili się właśnie ze stróżem o zrzędzona, szkodę.

Posłyszawszy z saloniku odgłosy ich kłótni, zapytała mnie zdławionym ze strachu głosem, gdy wrócił:

— To oni?!

— Co za "oni"?

— Robotnicy! — dodała głucho.

Rozśmiałem się na całe gardło i nie chcąc się dzielić nią dłużej z jej strachem dzieciennym, uspokoiłem teraz co rychlej.

Natomiast jednak obudziły się w niej gorzkie wyrzuty sumienia z powodu popełnionego grzechu, więc osobno wykladać musiałem, iż całą winę biorę na siebie, że i tak zanadto ją kocham, aby prędzej czy później, przez samą dobroć serca, nie była, zmuszoną do współczucia i tak dalej.

Zresztą, siła to, przed którą drży świat cały — mówiłem patetycznie — rzuciła ją w moje objęcia. Niewiele zaiste kobiet znalazłoby coś podobnego na usprawiedliwienie swej słabości.

Odważyła się w końcu wraz ze mną wyśmiewać pierwszego maja, zastrzegając się swoją drogą:

— Ale pan nic odchodź.

— Gdzież znowu! nie byłbym tego zrobił i przedtem — cóż dopiero teraz!...

— Och! jaki szkaradny obłudnik z pana!

Po jakichś dwóch godzinach tego tak rozkosznego pierwszego sam na sam, na których wspomnienie po latach jeszcze człowiek się uśmiecha i zamyśla, turkot rozległ się przed domem, poczem zastukano do drzwi w przedpokoju. Zrobiłem wtedy niesłychanie przerażoną minę i kuląc się, z wytrzeszczonymi oczyma szepnąłem dygoczącym głosem:

— Teraz to już napewne oni! Zginęliśmy!...

— To Wilek!... — odparła ze śmiechem, ale nieco zmięszana, i poskoczyła do lustra.

— Ślicznie! — wsiałem na męża, skoro tylko próg przestąpił — pan mąż w najlepsze bankietuje u przyjaciół, kiedy żona w niebezpieczeństwie uciekać się musi pod opiekę znajomych.

— Co się tutaj stało?! — zawołał wystraszony. — Widziałem wybitą szybę w sieni.

Rozśmialiśmy się hałaśliwie, zamieniając spojrzenia — ja zaś pospieszyłem Wilka objaśnić co do szyby, aby Olę wybawić z kłopotu.

— A rozruchy?! — pytał gorączkowo.

— Nie ma żadnych rozruchów.

— Więc nic się nie stało?

— Cóż się miało stać?... co zresztą mogło się stać, kiedy ja byłem przy pani.

— Ale jak ja się bałam!...

Pochwycił mnie i żonę za ręce i przenosząc z jednego z nas na drugie spojrzenie człowieka wzruszonego, który chce przeproszać i dziękować, potrząsał naszymi dłońmi czas jakiś, a potem żonę i mnie serdecznie wycalowałszy, kazał nam usiąść i opowiedzieć sobie wszystko.

Wziąłem to na siebie i roztoczyłem niebawem przed jego oczyma przebieg wieczoru w obrazach pełnych takiej grozy, że nadziękować mi się nie mógł za opiekę, jaką dałem jego żonie. Była to formalna owacya!

NOWA ERA.

Gdy w Kącie, tej małej, w tak dziwnym odosobnieniu położonej, okolonej milowym pasem pustkowi, mieścinie, odkryto naftę — ruch się tu zaczął niebywały. Zrazu nie domyślano się w miasteczku, na co się zanosi. Widziano tylko garść obcych ludzi, zajętych po ugorach niezrozumiałymi robotami, a mroz i śniegi zimy na kilka miesięcy przysypały tajemnicę.

Lecz skoro z wiosną ziemia rozmiękła, zjawiła się naraz tutaj, w tem zapadłem i cichem ustroniu, niby najazd, cała horda robotników z inżynierami i ich pomocnikami na czele, z długim korowodem wozów, wiozących części składowe jakichś dziwnych maszyn. Powznoszono w okolicy wysokie wieże, rozległ się świst motorów, zaczęto wiercić tę tak dotąd skąpą dla swych mieszkańców ziemię kątecką i oto ta ziemiamacocha okazała się naraz najhojniejszą z matek, z własnych ran, sobie zadanych, wylewając potop złotodajnego płynu, a koło tych smrodliwą, ale cenną ropą ciekących

czeluści, zaroilo się ludźmi, jakby łakomem pokarmu robactwem.

Dwa zaś były szczególnie obfite źródła oleju skalnego. Jedno na gruntach od miasta nabytych drogo przez przedsiębiorcę, drugie, eksploatowane do wspólki z właścicielem tegoż, szewcem Migdałem, burmistrzem miejscowym.

W ten sposób Kąt stał się naraz miastem żywym, otwarły mli się widoki zdobycia wielkiej zamożności i wzrostu, przebąkiwano nawet coś o budowie odnogi kolei żelaznej. Zaczęła się dlań nowa era, której przedsmak dawał przybytek kilkuset dobrze, za gotówkę żyjących mieszkańców w personalu górniczym, rozgoszonych, dla braku mieszkań w mieście, w umyślnie na ten cel wzniesionych porządnym barakach tuż pod miasteczkiem.

W Kącie, którego ludność zbudziła się z długiego uśpienia w tym zamęcie a psy nauczyły się szczekać, ujrawszy obce twarze, ukazały się także inne nowe i nieznanne dotąd rzeczy — między temi parę przybytków, tak potrzebnych po całodziennym trudzie pracy dla robotników. Jednym była jadłodajnia w barakach — drugim lokal Fajwlowej, żydówki, mającej dotąd źle rentujący się krainik z drobiazgami w pobliżu kościoła, a zamieniony teraz na kawiarnię z żeńską obsługą.

Mie od razu spostrzeżono się w miasteczku co do znaczenia tej nowej instytucji wobec mnóstwa innych nowości, zaprzatających umysły. Poznała się jednak na tem pewnej niedzieli burmistrzowa Kąta, osoba już z tytułu godności swego męża najpierwsza w mieście, cóż dopiero obecnie, odkąd Migdałowi ropa tryskając na

dziesięć metrów w górę, każdego dnia, bez żadnej a żadnej pracy, napelniała beczki setkami guldenów.

Idąc w należytej napnuszystości z dwiema córkami, dorosłymi dziewczętami małomiasteczkowego typu, na minię, dama ta spostrzegła ze zgrozą prawem okiem w otwartym oknie żydówki kilka młodych, niedostatecznie odzianych dziewczek, które bardzo wesoło zdawały się bawić kosztem spieszących na modły wiernych.

Ludzie na prowincyi, niewiele mając sposobności do wywierania efektu, łatwo wszystko biorą do siebie, to tez pani Migdałowa oblała się pąsem, pewna, że gromadka śmiejących się bezwstydnie ją i jej córki wyśmiewa, ją, burmistrzowa Kąta!... Pani Migdałowa przechodziła w tych czasach proces rozwijającej się manii wielkości. Odkąd bowiem w pierwszym pokoju ich mieszkania chłopcy przestali wyklepywać młotkami na podszwach i obcasach z całego miasta znoszonych butów rzemiosło jej męża, odkąd Migdał, przestawszy obuwać swych współobywateli, nie potrzebował schylać się do ich stóp dla wzięcia im "miary" i czyhać na każdy nadarzający się "przyszczypek" lub "kapkę", — ona coraz bardziej sądziła się nietykalną i ponad powszechność wzniesioną osobistością. Po sumie tej tedy, odsiedzianej w kościele bez nabożnego skupienia, objad świąteczny w domu Migdałostwa burzliwy miał przebieg, gospodyni ciskała łyżkami, a znalazłszy się z mężem na osobności, zmyła mu głowę, tę głowę, która uchodziła niby to za głowę miasta, a dopuszczała, aby się w mieście działy podobne okropieństwa. — Co takiego? o co ci idzie kobieto?, — zapytał otylej małżonki chudy mąż, które to przeciwieństwo w tem stadle było rażącym.

O co jej idzie.... O to, że ona, której nikt nigdy ubliżyć się nie ważył, stała się naraz, w dzień boski, pośmiewiskiem tych... tych... najostatniejszych od Fajwłowej. — Gdzie? jak? co ci się zdaje?! Nie zdawało jej się wcale. W żywe oczy wyśmiewały ją, może nawet wytykały palcami, w chwili, kiedy szła w towarzystwie córek. Były zaś na domiar tak mało ubrane, że tego jeszcze w Kącie nie widziano, aby się jakakolwiek kobieta pokazywała w ten sposób w oknie. Z uszyna, pełnemi jej utyskiwań, uczuwszy się osobiście dotkniętym, porwał Migdał za kapelusz i wpadł do żydówki. Przyjętego uniożoną miną i słodkim uśmiechem. Tymczasem dziewczki jej, niepokojąc swą nagością rzadko dziś takie rzeczy widującego Migdała, ciekawie zerkały z drugiej izby przez drzwi niedomknięte. — Fajwłowa! Niech się Fajwłowa pilnuje, bo ja tu z wami zrobię prędko porządek!! — fuknął zirytowany burmistrz, giestykulując palcem groźnie. Przybrała minę niezmiernie zdziwioną, bo nie wiedziała, o co chodzi. — Długo gadał nie będę. Fajwłowa mi swoich dziewczek dobrze pilnuj, uczciwym ludziom tego paskudztwa nie pokazuj, dnia boskiego mi niech nie obrażają, bo jak Pana Boga kochani — jeszcze mnie Fajwłowa nie zna! ale będzie źle !!... Trzasnąwszy drzwiami wyszedł, a stara, skrobiąc się w wygoloną głowę pod peruką z nici, pobiegła do swego personalu zrobić śledztwo i skarcić winne. Było wiele szwargotu, żydówka się zapluła a żydóweczki naśmiały do kolek z afery nie wiele je obchodzącej.

Lecz w małym mieście wrażenie nie przemija tak prędko. Najdrobniejsze wypadki trwają w pamięci i urastają często do niebywałych rozmiarów, jak pleśń w nieprzewietrzanym kącie.

Nad zakładem Fajwłowej zawisła uraza burmistrzynie.

Pierwsza ta dama w mieście wespół z innymi zaczęła śledzić tok wypadków w szkaradnej instytucji, a zjednoczona ich obserwacja dała na wstępie zaraz wstręt i oburzenie wywołujące wyniki. Pewnego razu, co się teraz częściej trafiało, wracającego do domu Migdała przyjęła żona burzą. — Proszę cię — mówiła po piorunującym wstępie — powiedz ty temu werkfirerowi od maszyn, co tu do nas czasem zachodzi, żeby się więcej nie pokazywał. — Jakto? dlaczego? — Bo ja nie potrzebuję, żeby mi jakiś tam urwis dziewczęta psuł. Zamknęłam mu dziś drzwi przed nosem. — Ale dla Boga! kobieto! on mi potrzebny w interesie! nie obrażaj mi ludzi!... Czyś zwaryowała? czy co?... Co ci werkfirer winien?!... Co winien!... Należy do stałych gości żydówki, jednego dnia jest tam, drugiego u burmistrzostwa, jedną godzinę baraszkuje z dziewczkami Fajwłowej, na drugą przychodzi się zalecać burmistrzankom — i on, ich ojciec, pyta się, co werkfirer winien!... Kobieta oczywiście przesadzała i zarzut, uczyniony młodemu werkfirerowi, wydał się zbyt surowym Migdałowi, który oczyma dojrzałego mężczyzny patrzył na nieuchronne wybryki młodzieży.

Lecz jak to wytłómaczyć żonie, kiedy baba na tę Fajwłową rozchorowała się poprostu. Sądził, że to może zwolna przeminie.

Tymczasem to się wzmagalo.

Pewnego wieczora nowe zajście poruszyło rozindyczoną kobietę do ostatecznych granic.

Wracała z obiema córkami z zwykłej wieczornej przechadzki w stronę wierceń, przedsiębranej w celu zakosztowania pewnej niewinnej przyjemności. Było nią żniwo ukłonów, składanych na prawo i na lewo przez Kącian i przez narciarzy, z których najgrubsze ryby żyły z Migdałem za pan brat. W takich razach odprowadzał nieraz do domu trzy kobiety jakiś nudzący się na prowincyi technik, zdumiewając je swoim uczonym dowcipem i pobudzając nawzajem do nadludzkich wysiłków w przybieraniu pańskości i dobrych manier.

Otóż dzisiaj, w tej właśnie chwili, kiedy pełna godności czwórka miała wyminąć wyklęte okno Fajwlowej, z powodu upałów rozwarte — naraz wyskakuje przez nie na ulicę, śmiejąc się, jakiś, w niedopiętym surducie i kamizelce, czerwony junak, za nim zaś wychyla się górną połową ciała roznegliżowana, z rozpuszczonemi włosami dziewczyna, przytrzymując go wyciągniętymi rękoma za poły i przyzywając piskliwym krzykiem pomocy koleżanek. Junak uciekł, Żydóweczka opatrzyła go na drogę wielu kłótwami za swą krzywdę, które na szczęście były niezrozumiałe — lecz rodzina burmistrza musiała na to wszystko patrzeć, wszystko słyszeć, zrozumieć.

Podobnego zgorszenia jeszcze w Kącie nie widziano. Nie było też, nigdy takiego jak po tem zajściu piekła w domu Migdała,

— Takie rzeczy! Coś ty za burmistrz! Bezeczeństwa! Twoje córki! I ty to cierpisz! Sodoma! Gomora!! — sypało się z ust burmistrzynie.

Migdał się zafrasował. Jego samego oburzyło to niepomierne. Obiecał też natychmiast żydówkę zbesztać, ile wlezie. Ale nie zadowolniło to ani jego żony ani wtórującego jej nastrojowi całego miasta, gdzie "te od Fajwlowej" jako uosobienie grzechu i ohydy, jako pierwszy i niebывały w dziejach miasteczka skandal tego rodzaju, były na językach wszystkich kobiet.

Na domiar stała się niebawem rzecz niesłychana, która przeciwko właścicielce gniazda rozpusty zwróciła wszystkich Kącian sztyłem.

Oto Fajwlowa, która dotychczas zatrudniała u siebie tylko dziewczęta tego samego co i ona wyznania, — czy to dla powiększenia zbyt szczupłego personalu, czy może dla zaspokojenia wymagań klientów, kierujących się jakimiś religijnymi lub plemiennymi wstrętami, albo poprostu na domiar zgorszenia, postarała się o nową pensyonistkę, porywając ją — o szkarado! — z pod samych skrzydeł kościoła, w osobie Bronki, służącej u żony organisty.

Sąsiadki kawiarni powzięły wiadomość o tem najniespodzianiej w świecie, ujrzawszy jednego popołudnia roztwierające się drzwi przybytku grzechu, z których wyszła Bronka. Dźwigając zapomocą wspartego na ramionach nosidła dwie konewki, poszła w nie zaczerpnąć wody z przyozdabiającej środek ulicy publicznej studni. Zanim jednak nadażono się opatrzeć, co to znaczy, oddaliła się z powrotem, a chociaż jedna z Kącianek, zapalczywszej natury, chcąc dziewczkę wybadać, zawołała na nią:

— Bronka! Bronka!... — Fajwlowa jednak wciągnęła wołaną do swych drzwi, strofując.

Wieść się rozniosła i dwa dni pęczniała w oczekiwaniu, potęgującym efekt — przez dwa dni bowiem nie widziano Bronki wcale.

Kiedy się po raz wtóry ukazała, czyhające na tę chwilę Kącianki odskoczyły ją natychmiast.

— A co? namówiła cię? prawda? upiła?... Trzyma cię teraz? nie chce puścić? powiedz... Zawraca ci głowę? obiecuje?... Ale nie daj się! ucieknij! my cię obronimy... Nie gub duszy Bronka!!...

Dziewka, ogłuszona takim nawałem zapytań, przestroąg, upomnień, nie wiedziała, co odpowiedzieć. Kiedy ją wszakże za rękawy, za fartuch, za spódnicę zaczęły dbałe o jej zbawienie mieszczki zatrzymywać, nie dając wrócić do jej pani, ofuknęła je, wyrywając się gwałtownie:

— Puśćcie mnie! Co do mnie macie?!...

Poczem zniknęła.

Kobiety oniemiały. Któraś rzekła:

— Już ją przekabacili!... Przechodzący mężczyźni natomiast, świadkowie tej sceny, uśmiechali się ukradkiem. Jeden z nich nawet szepnął drugiemu do ucha: — Zasmakowała. Tego dla obrażonych uczuć moralnych, mających od wieka siedzibę w Kącie, było jednak za wiele. Utyskiwania rozlegały się po całym mieście, burmistrz nie miał spokoju od rana do wieczora, w domu i po za domem.

Wreszcie przyparty przez żonę do muru, zdobył się na krok stanowczy i kazał zrewidować papiery mieszkańek potępionego miejsca, w nadziei odkrycia jakichś nieformalności.

Niestety zawiodły go rachuby — Migdałowa pieniała się.

— Ależ kobieto! na rany boskie, czego ty chcesz odemnie?... Papiery mają jak się patrzy, pomeldowane w porządku, żadna nie ukradła, nikogo nie zabiła — za cóż ja je wyrzucę?!...

— On się pyta za co!... A cóż to ty nie wiesz? nie widzi całe miasto?!...

— Widzi — ale do tego nie nikomu. Kara boska na bezwstydnice — ale człowiek nie poradzi.

— Osiół jesteś.

— Ty wiesz swoje, ja wiem swoje. Co prawo, to prawo.

Mimo tego, z poduszczeń żony i pod naciskiem opinii, Migdał uczul się w obowiązku coś zrobić i w tym celu wymyślił na żydówkę cały szereg szykan.

Miasto dotąd o godzinie dziewiątej wieczór spało zawsze snem bobaków. O wpół do dziesiątej czuwali i jeszcze stróże nocni — ale o dziesiątej spały już nawet psy co do jednego.

Teraz inaczej. Przez cały wieczór do późna w nocy przeciągali ze śmiechem i gwarem do zakładu Fajwłowej, i nazad, robotnicy, rozlegały się hałasy, klótnie, śpiewy, których odgłosem niepokojone psy na podwórkach popadły w stan nerwowego rozdrażnienia i ujadły nieraz do samej północy.

Działy się jeszcze gorsze rzeczy: pisano po murach i rysowano bezeceństwa a nieraz pijany robotnik, i pociemku, zamiast do Fajwłowej, stukał do drzwi lub okien ucziwego domu.

Otóż nakazano teraz żydówce zamykać podwoje przybytku z uderzeniem godziny tej (dbały o dobro miasta

kościelny przyspieszył od dnia tego bieg zegaru na wieży o dziesięć minut) — i zabierano jej za byle co dziewczęta do aresztu, utrudniając w ten sposób zarobkowanie. Nie było bowiem dnia prawie, aby któraś nie dostała się pod klucz gminny, przyczem policyjanci miejscy, ludzie żonaci i lubiący kiedyindziej czas swój przepodzać w domu, nader gorliwie strzegli uwięzionych. Można powiedzieć, że nigdy pod tym względem nie cieszyła się gmina ze strony tych ludzi gorliwszą obsługą.

Działo się to zaś pod pierwszym lepszym pretekstem, które władze miejskie, patrzące dotąd na lżejsze przewiny ludności przez palce, z perfidyą nauczyły się teraz wyszukiwać, zdobywając sporą biegłość w śledzeniu i ściganiu najdrobniejszych nawet występków. Pokazać naprzykład która z dziewcząt trochę za wiele bielizny lub własnej skóry — znajdowali się zaraz świadkowie i konstatowano zgorszenie publiczne; rzuciła obelżywe słowa albo wystawiła język spluwającym na ich widok mieszczkom — pociągana była do odpowiedzialności za obrazę honoru; kiwnęła palcem na przechodzącego wiertacza — dalejże ją pod rygle za stręczenie do nierządu.

Miała ta Fajwłowa za swoje — miała.

Ale zakład istniał — prosperował — o sto kroków od kościoła urągał mu swoją obecnością, drzwiami swemi, otwieranymi raz po raz. progiem coraz bardziej wydeptanym. Usta burmistrzowej nie przestawały męża nazywać niedołęgą — a powtarzały mu to samo za nią w Kącie niejedne oczy, bo ten i ów, wtórując żonie (wszystkie żony bojąc się o swych mężów czulsze były dla nich niż kiedykolwiek) myślał, a nawet głosił wśród

zaufanych, że przecież takie rzeczy, jak u tej żydowicy, w porządnym mieście dźać się nie powinny.

Migdał słyszał niejedno, reszty się domyślił — i gryzł się, bezradny.

Cios stanowczy zadała żydówce i jej gorszącemu przedsiębiorstwu inna ręka: ręka Kolki, stolarza, uchodzącego za mówcę, stąd naczelnika opozycji w radzie gminnej i zdeklarowanego przeciwnika Migdała, który w nim widział rywala. Tak bowiem, na codzień, burmistrz czuł się bezsprzecznie najpierwszą osobą w mieście, mogąc przez dzień cały paradować po ulicach w próżnowaniu, podczas kiedy Kolka musiał się dobrze napocić nad heblem, aby obzywić liczną swoją rodzinę. W święta wszelako i w przeróżne, zręcznie przez Kolkę wynajdywane uroczystości, mąż ten, dowódca miejscowej ochotniczej straży ogniowej, w swoim przepysznym mundurze i srebrzystym kasku z pióropuszem, bezwarunkowo stawał się najokazalszą figurą w mieście i postać Migdała całkowicie usuwał w cień. W wyniku z tego głównie początku współzawodnictwie obaj ci najteżsi obywatele Kąta przy każdej okazji usiłowali prześcignąć się nawzajem i zaćmić w pogoni za popularnością.

Najświeższy czyn Kolki, acz ogólnej pożyteczności, inne jeszcze, bardziej osobiste miał pobudki — a począł się tak. Kazik, siednastoletni syn stolarzowy, z szczególni zamiłowaniem przesypiał od pewnego czasu noce nie we wspólnej rodzinnej sypialni, lecz w spichlerzu na sianku. Wobec ciepłej pory wydawało się to z pozoru zupełnie naturalnem. Pewnego wieczora jednak wypatrzone go, jak wymknąwszy się z domu, wkraść się do kawiarni Fajwłowej, gdzie spędził dobre dziesięć

minut, tyle, ile potrzeba na wypicie szklanki kawy z rogalkiem a nawet z dwoma. Ale gdy się zdarzenie rozniosło, nikt nie przypuszczał, ażeby chłopiec chodził tam na kawę. Nie przypuszczał też tego i ojciec, który wyspał wyrostkowi

oblewane baty — a błagania Kazika i krzyki starego: "ja, urwisie, byłem już pod wąsem!..." rozlegały się w pryncypalnej ulicy Kąta aż po drugą przecznice na prawo, licząc od studni

W najściślejszym związku z tym wypadkiem zjawiła się, nazajutrz rano w domostwie Fajwlowej gromadka poważnych mieszczan, którzy nie zdejmując czapek obeszlili wszystkie ubikacje mieszkalne i niemieszkalne, strych i podwórze, przyglądając się z wielkim skupieniem sufitom i ścianom, opukując mury i kiwając głowami, jak to czynią lekarze nad bardzo chorym człowiekiem. Następnie bez słowa objaśnienia oddalili się w kierunku urzędu gminnego, zostawiając żydówką wysoce zaniepokojoną tajemniczością tego epizodu.

Tego samego dnia właścicielce kawiarni z żeńską obsługą doręczył policjant miejski opatrzony w pieczęć gminną papier, na mocy którego rozporządzeniem władzy nakazywano jej opuścić w złym stanie znajdujący się i grożący zawaleniem budynek, ze względu na bezpieczeństwo zdrowia i życia ludzkiego, w przeciągu godzin dwudziestu czterech.

Żydówka podniosła wielki lament, obleciała z błagalnym wrzaskiem wszystkich radnych, prosząc, aby jej nie rujnowali, zapewniała, że mury jej domu są w kwitującym stanie, że u niej nie dzieje się nic takiego, co by wstrząsało fundamentami i narażało na szwank czyjeś życie. Zresztą jeżeli się tu ktoś w ogóle naraża, to prze

dewszystkiem ona i jej dziewczęta, a ona się narażać gotowa chętnie i nadal, i one także.

Nie skruszyły wywody te nikogo.

Wtedy zaczęła się uganiać za innym lokalem. Któryż jednak z Kącian przyjąłby ją do siebie?!...

Zanim upłynął wyznaczony termin dwudziestu i czterech godzin, pod asystencyą straży wczesnym rankiem dnia następnego, zaczęto wynosić z domu Fajwlowej ruchomości, między niemi sześć czy też siedm łóżek, spracowanych łóżek, i tyleż tłomoków pościeli, których sam już widok miał w sobie coś grzesznego.

Fajwłowa, rozgorączkowana pilnowaniem swego dobytku, wbiegała i wybiegała z domu, wrzeszcząc na całe miasto i przeplatając rozporządzenia kłótwami. Aż wkońcu obok dziewcząt, bardzo wesoło przyjmujących swój los: i świecących zębami z pod nasuniętych na czoło chustek, usiadła ostatnia, poczem wozy z brzękiem okucia, i trzeszczeniem sprzętów, potrząsając na nierównym bruku miasteczka swym ciężkim ładunkiem, ruszyły zwolna, ścigane spluwaniem, trzaskaniem drzwiami, ujadaniem psów i chmarą bosych dzieciaków, które z podniesionemi rękoma wybiegały zewsząd naprzeciw taboru.

Z złorzeczeniem na ustach i nienawiścią w sercu opuszczała Fajwłowa niegościnnie gród, dom swój zostawiając pustką. Cały ten, tak pomyślny obrót sprawy, która zaprzętała umysły od paru miesięcy, był zasługą stolarza Kolki. Im więcej jednak wznosił on teraz głowę, wieńczoną uznaniem całego miasta, tem niżej opuszczał swoją burmistrz Migdal. Ani żona bowiem, ani on sam darować sobie nie mógł, że dał się rywalowi ubiedz w inicjatywie tak ważnego dzieła.

Przez dwa dni był w Kącie spokój — w najbliższą zaś niedzielę w nocy, obrzucono błotem i wybito szyby w domach: burmistrza, stolarza i w urzędzie gminnym. Nikt nie wątpił, że jest to zemsta nafcjarzy. Ponieważ jednak stróżom nocnym zakazano najsurowiej odtąd noce przespiać, przypadek ten zatem więcej się nie powtórzył i przez dwa tygodnie był spokój, cisza, miasto zdawało się jakby owiane atmosferą czystości, obyczajności i zdrowia, coś tak, jak

gdyby mu wycięto raz na zawsze wrzód bolesny i cuchnący. Żony wprawdzie, spokojniejsze teraz o mężów, stały się dla nich znowu mniej czułem, ale natomiast nadzieje obudziły się w ojcach i matkach. Przewidujący mianowicie nie bez sprytu obliczali, że persona! górniczy, pozbawiony sposobności do grzechu, zacznie Kącianom dostarczać zięciów. W rzeczy samej kilku młodych górników, nie wiadomo, czy koniecznie w intencji zenienia się, zaczęło odwiedzać rodzin}', mające córki. O Fajwlowej dowiedziano się, że osiadła o półtoej mili od Kąta, na granicy sąsiedniej gminy, w karczmie.

Jednego razu powstał wszakże mały ruszek, kiedy się rozeszła przygoda służącej Zakładzińskiego, powroźnika, mieszkającego na krańcu miasteczka, od strony terenu naftowego.

Dziewczyna ta miała kochanka, z którym schodziła się tajemnie, wieczorami. Wczoraj wielbiciel jej przybył na schadzke z towarzyszem i polecił go jej względem, utrzymując, że on i tamten to jedno, a kiedy zaprotestowała, zdecydował ją trochę, niegrzecznie, tak, że wróciła do domu spłakana, skarżąc się na zawód w miłości.

Wypadek jej obudził pewne współczucie w delikatniejszych umysłach, ale w ogóle sprowadził na nią potępienie. Gdyby się nie zadawała po nocy z chłopakami, nie byłoby jej spotkało coś podobnego.

Więcej już wagi przypisano innemu zbliżonemu zdarzeniu sługi w tej samej okolicy zamieszkałego mieszczanina Krupiarza.

Dziewczyna tu nie miała pośród nafiarczy kochanka (fakt niewątpliwy, miała go bowiem w osobie syna swego chlebodawcy) i nie wykradała się też po za dom na schadzki, — lecz wysłana o zmroku do źródła za wzgórzem po wodę, została napadniętą przez wcale sobie nieznanych dwóch ludzi, którzy postąpili z nią jak najdowolniej a potem jeden pozostał przy niej, drugi zaś odszedł, aby wnet przyprowadzić jeszcze kilku i ci naśladowali obu swych poprzedników tak bez litości, że pokrzywdzona nie pamiętała nawet, ilu ich było i czuła się poprostu chorą. Otoż, kiedy sługę, która idzie do źródła po wodę dla użytku swych chlebodawców, spotka tak oburzająca krzywda, skrzywdzeni są tem samem — jej chlebodawcy.

Prawdziwą sensację wywołał wszakże dopiero w trzy czy cztery dni po obu tych, prawie równoczesnych zajściach, wypadek u Gwiazdoniów. Tu już nie o jakaś tam służącą, ale o obywatelkę, o żonę uczciwego mieszczanina chodziło. Rzecz się miała tak mianowicie. Gwiazdoń, wysledziwszy kradzieże, chodził co noc oglądać swe półko kapusty. W powrocie z jednej takiej wyprawy omal nie został przewróconym w progu własnego mieszkania przez uciekającego mężczyznę, którego rysów nie rozpoznał, a który jego żonę zostawił we łzach i rozpaczy...

Wielka zgroza podniosła się w mieście po tak zuchwałym napadzie. Zaczęto rozumieć, skąd się te szkaradne wypadki biorą, co ich powodem.

Ale i tym razem jeszcze opinia ochłonęła po bliższem rozpatrzeniu sprawy, albowiem wykazało ono, że Gwiazdoń wychodzi co noc do kapusty nie dla jej dopilnowania, ale aby nie słyszeć gorzkich wyrzutów swej młodej żony (w stadle tem znajdowano rażącą różnicę wieku...) Okazało się dalej, że Gwiazdoniowa romansowała z jakimś technikiem od dawna i że mąż o tem wiedział a narobił obecnie hałasu tylko ze względu na służącą, która owego wieczora była przypadkowym świadkiem katastrofy zderzenia się gospodarza z gościem we drzwiach i byłaby je i tak sama rozniosła.

Uspokojono się więc rychło, ale w nastroju było już teraz coś wyczekującego, jak gdyby wszyscy czuli, że czasy nie są bezpieczne.

Naraz, po upływie dni kilku, stała się rzecz niebywała, straszna, potwornością swą przechodząca wszystko, co się tylko przypuścić dało.

Było to w niedzielę po południu, w jasny dzień sierpniowy.

Rodziny dwóch mieszczan, garncarza Pichdy i Działewicza, wybierając się za miasto na przechadzkę, ku obrastającemu je z jednej strony gąszczowi wikliny, po nad zjeżoną badyłami szuwaru sadzawką, szumnie nazywanemu tutaj lasem, w braku prawdziwego — puściły naprzód córki, pięć dziewcząt, którym spieszno było narwać skąpo wśród zarośli rosnących jagód.

Kiedy w jakie dziesięć minut po dzieciach zjawili się "w lesie" i rodzice — matki z pończochą, ojcowie gwarząc o sprawach domowych i gminnych, i paląc

fajki, — przywitał ich piskliwy lament dziewczęcych głosów i szlochanie rozlegające się na wszystkie strony.

Przywoływały matki, ojców, pomocy boskiej, ludzkiego ratunku.

Nieprędko zdołała przerażona starszyzna pozbierać piątkę, rozprószoną jak stado gęsi w popłochu, a kiedy wreszcie zgromadzono wszystkie, po pierwszym wybuchu płaczu wystękaty, że napadli je jacyś ludzie. Co za ludzie? — obcy, ale zapewne z kopalni, bo ich było czuć naftą. Opowiadając to, jedna przez drugą, wylękłe, drżące, wśród nalegań, o powrót do domu, nie przestawały szlochać. Dwie jednak szczególnie wytrwale zanosily się od płaczu i w żaden sposób utulić się nie dawały matkom, pytającym niespokojnie, co im się stało.

Za całą odpowiedź jedna, łkając, powtarzała w kółko rozpaczliwie:

— Nie wiem!... nie wiem, moja mamo!...

Druga zaś nic wymawiała się wprawdzie nieświadomością, lecz objaśnienia odkładała do domu.

Okazało się, że i ta, co nie wiedziała i ta druga, świadoma, padły ofiarą najfatalniejszej dla młodej dziewczyny napaści męskiej.

Oburzenie zatrzęsło miastem, i nie umilkło dzień cały, aż mrok wieczorny zamienił je w trwogę.

Nikt teraz nie czuł się bezpiecznym. Co spotkało dwie obywatelskie córki w biały dzień, o tysiąc kroków od miasta, to każdą obywatelską córkę, żonę, spotkać może nocą w jej własnym mieszkaniu. Nauczyciel miejscowej szkoły wspominał w pewnym kółku wypadek z historii rzymskiej: porwanie Sabinek, co jeszcze bardziej zaniepokoiło umysły i sprawiło, że posiadającym jakąkolwiek broń zazdrozczono powszechnie, na naftę

zaś, ową pocziwą, dobroczynną, światłodajną naftę, napelniającą we wszystkich domach lampki, ludzie głębszego poglądu patrzyli z nienawiścią i trwogą, jak na przyczynę i źródło wielkich kiosk społecznych, jak na element, w wysokim stopniu zagrażający dotychczasowemu porządkowi rzeczy. Kobiety zaś drżały wieczorem, bały się wyjść za próg, na własnym podwórku podejrzewając dobrze znany cień chlewika, lub biorąc za ludzką głowę garnek, wetknięty na kół w płocie.

Podniesiony hałas rozszedł się tymczasem aż do kopalni, gdzie przedsięwzięto śledztwo, ale nic nie wykryto. Dziewczęta nie pamiętały swych krzywdzicieli, wiedziały tylko, że ich było czuć naftą — w kopalni zaś pracowało pięciuset suchów, z których każdy cuchnął petrolejem, jakby im nawet w żyłach miast krwi krążył. Sprawcy tedy pozostali w ukryciu, Kątowi zaś ubyły niepowrotne dwa łyzy wylewające dziewictwa, których dalsze losy kobiety postanowiły bacznie śledzić, zanotowawszy w pamięci datę. Burmistrz Migdał miał po tym wypadku noc bezsenną. I słuszna. Kiedy miasto śpi snem niespokojnym umysłów dręczonych paniką, trudnoż głowie miasta zasypiać dobro publiczne. Myśl o niem męczyła Migdała noc całą a także obawa, która mu się nagle, dopiero po zgaszeniu światel w mieszkaniu zjawiała: obawa o córki. Nie zdoławszy mimo wysiłku nie ku zabezpieczeniu dobra powszechnego wymyśleć, postanowił udać się nazajutrz rano do inżyniera, kierującego robotami. Z tą decyzją zdrzemnął się nad samym świtem. Zbudzono go wezwaniem, by poszedł przypatrzeć się gmachowi urzędu gminnego. Poszedł.

Na drzwiach budynku bieleły się kredą wypisane wyrazy, na których widok krew skrzepla w żyłach Migdała. Słowa te brzmiały:

"To jeszcze nie koniec!"

Kto je nakreślił? Nie domyślano się wcale, a biegli daremnie wpatrywali się w charakter pisma, ścigani zdala, z za węgła domu stolarza, oczyma jego tak wczesnie rozwiniętego chłopca, Kazika, który się psotliwie uśmiechał.

Trzeba działać! — pomyślał burmistrz.

Niezwłocznie też udał się do kopalni, gdzie miał dosyć długą rozmowę z naczelnym inżynierem, który niezmiernie ubolewał nad haniebnymi wypadkami, ale otwarcie wyjawiał swoją wobec nich bezsilność.

— Obawiam się kochany panie — mówił — że to się będzie powtarzać. Wy o moralność dbacie tak surowo, a położenie Kąta jest tak nieszczęśliwe, że oni nie mają gdzie się rozerwać. Zważ pan, że to same młode chłopcy.

— Mają tę żydówkę w Dłubniach.

— A dziękuję panu! o półtorej mili ztąd! Z tego ani oni, ani ja nie mam pożytku. Proszę tylko pomyśleć, jak mi taki człowiek na drugi dzień pracuje, jeżeli poprzedniego zrobi trzy mile pieszo, tam i z powrotem, nie licząc wszystkiego innego. Nie, już to darujcie mi, ale sensu żadnego nie miało wypędzać ją z miasteczka, czego skutki widoczne.

Migdał ocknął się z przygnębienia.

— Ja jej przecie nie wyrzucałem — zawołał. — Kolka wszystkiemu winien, Kolka to zrobił! I to dlaczego? Względem swego chłopca, tego urwisa, co mu

się już wasy sypią!... Wielkie rzeczy! Ja jakem miał szesnaście lat — ho ! ho!...

Ale wnet frasunek ogarnął go znowu.

— Cóż zrobić? — zapytał błagalnie technika.

— Ja panu powiem otwarcie: jedyna rada, postarać się, żeby żydówka wróciła.

— Jakże to!... prosić ją? — obruszył się szewc.

— Choćby i prosić.

Mocno zadumany, z kielkującymi po tej rozmowie nowymi na urzędnika społeczne i na moralność poglądami, wracał szewc do domu. Kiedy, przekroczywszy próg, zobaczył żonę, trzasnął drzwiami, splunął i z aforyzmem:

— Kiepski ten chłop, co baby słucha! — wyszedł zamasyżować do drugiej izby.

Tu zapaliwszy fajkę, myślał długo — wreszcie, powziąwszy postanowienie, udał się do urzędu gminnego, dokąd też zgromadził bez czasu straty rajców kąteckich.

Tegoż samego dnia, otrzepując pył z butów, niezwykle gość stanął na progu karczmy w Dłubniach, której połać zajmowała Fajwłowa z towarzyszkami, miły gość, stary i dobry znajomy, policyant kątecki Gwizdek.

Zaledwie się ukazało jego wąsate oblicze, zarazem groźne i śmieszne, podobne trochę do grubo zarysowanej mordy młodego psa, o łagodnym charakterze ale lubiącego szerzyć trwogę ujadaniem, — obkoczyły go zaraz z oznakami radości wszystkie dziewczki, mające zawodową słabość do tego przedstawiciela władzy. Zaczęły się pytania, co tam słychać w Kącie, żarty, przypomnienia, wśród czego Gwizdek, otoczony wieńcem roznegliżowanych piękności, zniknął w drugiej izbie. Po jakimś czasie, nawiąawszy zerwane chwilowo stosunki, rozo

chocony wrócił do pierwszej izby i zagadnął Fajwłową po przyjacielsku:

— No, pani Fajwłowa, jest tutaj coś i dla pani.

— Dla mnie? co pan może mieć dla mnie! — rzekła żydówka z pewnym lekceważeniem, wyciągając z pończochy, nad którą pracowała z flegmą, zarobiony drut. Następnie zwróciła nieco w tył głowę i dodała: — Ruchła, dajno kawy z rumem. Napij się pan Gwizdek.

Otyła Ruchła, wyglądająca z powodu dysproporcji swej dużej głowy i oczu z małym wzrostem i małym nosem, na niezwyklej wielkości dziecko, przyrzadziła kawy dla policyanta.

— Widzi pani, u nas się tam trochę zmieniło — pociągnąwszy z szklanki, zaczął ogródkami mężczyzna, na co żydówka pokiwała tylko głową z złośliwym uśmiechem i mruknęła:

— Wiem, wiem.

— Cóż wiecie"?

— Wszystko.

Gwizdka zbiło to nieco z tropu. Wnet jednak znalazł sobie dalszą rolę.

— Żeby mi się tak chciało — mówił przybierając minę wpływowej figury — pogadać z Migdałem, to byś pani mogła wrócić. Jak Boga kocham!...Żydówka uśmiechnęła się w milczeniu, nie okazując ani zdziwienia ani radości. Gwizdek więc widział się zmuszonym napierać na nią:

— Cóż pani na to? —

— Co ja na to?... Po co ja mam wracać, kiedy mnie tu dobrze.

Tego się wysłannik władz Kąta nie spodziewał i nie umiał sobie też z tem poradzić. Daremnie zachęcał ży

dówkę do powrotu i obiecywał go ułatwić, traktując rzecz ze stanowiska swoich prywatnych dla niej względów. Pozostała wobec jego propozycji jak głaz zimną. Szydziła nawet trochę z wypadków w Kącie.

Używszy, co było u Fajwłowej najlepszego, odszedł wreszcie Gwizdek z niczem.

— Nie chce, nie wierzy — zdał sprawę burmistrzowi.

— Nie mówiłeś jej ani słowa, że ja cię posłałem?

— Ani słóweczka, wedle rozkazu.

Wyprawa pisarza gminnego również pozostała bez skutku, chociaż miała już otwarty charakter urzędowej misyi. Ustne zezwolenie powrotu wszakże nie wystarczało żydówce. Utrzymywała, że wypędzona nakazem na papierze, bez drugiego papieru nie wróci. Coby było, gdyby ją tak zechciano wyrzucać powtórnie?...

I otóż stało się, że tegoż dnia jeszcze wstąpił do karczmy w Dłubniach sam burmistrz Kąta Migdał, niby w przejeździe i nic o pobycie Fajwłowej tamże nie wiedząc, na dowód czego stojącej w sionce nie poznał, aż go sama zaczepiła pełnem uniżoności powitaniem:

— Kłaniam się panu burmistrzowi, całuję rączki. Dawno chciałam pozdrowić pana burmistrza i zapytać, czy sie tam już u mnie całkiem zawaliło?... Jeszcze nie?...

Migdał ugryzł się w język, by jej nie zelżyć, szło tu jednak o dobro miasta.

— Stoi jak stało — odparł niby nie zrozumiawszy uciniku. — Komisya nawet zbadała, że można mieszkać...

— Można? tak? — pochwyciła żydówka. — Aj jak to dobrze!... bo mnie się kupiec na to trafia, tylko mało dawał.

Mówił, że to się lada dzień zwali, bo tak

komisya każe. Ale kiedy teraz komisya inaczej każe, to ja będę mogła drożej sprzedać.

Wyrażnie drwiła. Nie będzie jej przecie prosił. Hamując pasyę, zwrócił się Migdał ku swej bryczce.

Lecz Fajwłowa zmiarkowała, że przekroczyła granicę.

— Proszę pana burmistrza, ja coś powiem — i zatrzymała go, zmieniając ton ironii na prośbę. — Ja wiem, że ja w Kącie potrzebna, ja wróć.

— No to wracajcie, wszystko mi jedno — rzucił.

— A gdzie moja krzywda?

— Jaka krzywda?

— Mój koszt na przeniesienie tutaj... moja strata na czynsz., na zarobek... na przeniesienie nazad...

Żydowica w rachunkach była tęga i długo wyliczała stracone korzyści i poniesione szkody, przeplatając to wszystko wynurzeniami szacunku dla Migdała, przywiązania i gotowości do usług dla Kąta, oraz zręcznie stopniowanemi żądaniami. Przytem zaś trzymała wymykającego się szewca za rękaw, za połę, za laskę, a kiedy zostawiwszy kij w jej ręku, wskoczył do bryczki, wówczas uchwyciła się prętów siedzenia i jeszcze błagała:

— A będzie mi wolno do dziesiątej mieć otwarte?

— Będzie! będzie! — Jedź Wałek.

— Prrr!... — krzyknęła na konie, ruszające. — A policyanty nie będą mi robić o cobądź kłopot?

— Nie, nie. Ruszaj Wałek.

— Prrr!... Jeszcze jedno, wielmożny panie burmistrzu ! A czy pan burmistrz nie zapomni to wszystko, co mi pan obiecał.

— Ależ nie, do stu djabłów, nie!... Jedź!

— I dostanę papier z pieczęcią?

— Dostaniesz.

Konie ruszyły z kopyta, Fajwłowa odskoczyła.

— Niech Pan Bóg prowadzi! Szczęśliwa droga! — wołała za odjeżdżającym.

Nazajutrz rano, na wybojach głównej arteryi ruchu kateckiego, zabręczała uprzęż koni, z trudem wlokących ludźmi i sprzętami ciężko naładowane wozy.

Była to Fajwłowa, na czele swoich dziewcząt powracająca do Kąta.

I znowu psy z szczekaniem i dzieci bose z krzykiem i wzniesionymi rękoma wybiegały na spotkanie wozów — a z domów, z po za niedomkniętych drzwi kobiety rachowały ukradkiem te, które, wygnane niedawno tak sromotnie, powracały teraz, gorąco oczekiwane, ubezpieczać ich zagrożoną cnotę.